

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 15 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 5 (356) • ROK XXXI • MAJ 2025



GDY SIĘ GRZMOT W MAJU
ODEZWIE NA WSCHODZIE



W roku 2025
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego,
po raz pierwszy od wielu lat, odmówiło wsparcia finansowego
miesięcznikowi społeczno-kulturalnemu „Śląsk”,
bez prawa odwołania się od tej decyzji.

Wiele pism o ogólnopolskim zasięgu,
lecz ukazujących się w regionach,
doświadczyło szkodliwego dla narodowej kultury,
firmowanego przez ministkę Hannę Wróblewską,
postanowienia o odrzuceniu ich wniosków.

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”,
ukazując się od 1995 roku,
promując kulturę literacką, teatralną, plastyczną, muzyczną i społeczną
Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, Podbeskidzia i Ziemi Częstochowskiej,
zawsze jednak otwarty na twórców z Polski i zagranicy,
został zlekceważony i uznany przez Ministerstwo za nieistotny.

Protestujemy przeciwko takiemu traktowaniu.

Zarząd
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

Szanowni Państwo, drodzy Czytelnicy „Śląska”,
jedynym sposobem, aby miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”
docierał do Państwa regularnie, na początku miesiąca,
jest PRENUMERATA PRZYJACIÓŁ.
Otwieramy ją dla Państwa w każdym miesiącu, w cenie detalicznej,
bez ponoszenia opłaty pocztowej.
Alternatywą na niedofinansowanie pisma jest zmniejszenie nakładu,
co ograniczy krąg Czytelników.

Bądźcie z nami w trudnych chwilach.

Prenumerata roczna 180 zł,
półroczna 90 zł,
kwartalna 45 zł,
miesięczna 15 zł.

Numer konta 35 1090 1186 0000 0001 3487 3929
z dopiskiem: PRENUMERATA PRZYJACIÓŁ 2025

Nr 5 (356). Rok XXXI. MAJ 2025

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA



MARIAN KISIEL
Redaktor naczelny

TOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Sztuka

JAROSŁAW STYPA
Kultura

KRYSTIAN WĘGRZYNEK
Region

TOMASZ KOWALSKI
Redaktor techniczny

KATARZYNA DZIUBAŁA
Korekta

BOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK

Felietoniści:
TOMASZ BOCHEŃSKI
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNOŹEWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ ŚLUPIK

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.com

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. z o.o.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane teksty

Warunki prenumeraty:

Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 180 zł, półroczna – 90 zł, kwartalna
– 45 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 15 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.com

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 Krystian Węgrzynek CHOROBA ZWANA DYGOTEM METAFIZYCZNYM. ROZ-
MOWA Z PROF. JERZYM ŁUKASZEWICZEM, WYKŁADOWCĄ SZKOŁY FILMO-
WEJ IM. KRZYSZTOFA KIEŚŁOWSKIEGO
8 Piotr Skowronek ZDJĘCIE TRZEBA UMIEĆ CZYTAĆ. ROZMOWA Z GRZEGO-
RZEM LITYŃSKIM
12 STO DNI JEDNEGO ROKU Alojzy Lysko WYPISY Z DZIENNIKA 2024 (5)
16 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa KONIEC MITYCZNEJ POLSKI
19 Jacek Okoń FRANÇOIS MAURIAC I ZAPASY MATERIAŁU
22 Andrzej Linert TEATR W AUSCHWITZ (W RAMACH WSPARCIA DLA ŻOŁ-
NIERZY SS)
30 Ks. Henryk Pyka REPORTAŻ Z KAZACHSTANU
32 Bożena Cząstka-Szymon OTEK, DUMNY POLAK WŁADYSŁAW MORAWSKI 13
CZERWCA 1943 – 15 MAJA 2014
46 Konrad Graczyk „ZNIESIENIE” AUTONOMII ŚLĄSKA W 1945 R.
49 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA Radosław Kobierski DWIE ŚLĄSKIE ODYSEJE LE-
ŚLAW NOWARA I WOJCIECH GRABOWSKI
50 Joanna Warońska-Gęsiarz SPOTKANIE Z NIESAMOWITYM
52 Wojciech Lipowski WYMYŚLIĆ SIĘ NA NOWO
58 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek CHIAZM ŻEROMSKIEGO: OD NIEPO-
CZYTALNEJ POPULARNOŚCI DO NIEPOPULARNEJ NIEPOCZYTNOŚCI

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 GALERIA: AGATA KUSTWAN – MALARSTWO
80 GALERIA FOTOGRAFII Jacek Durski STUDIUM MIASTA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Genowefa Jakubowska-Fijałkowska MIŁOŚĆ
11 Robert Herrick WIERSZE Przełożył Andrzej Szuba
14 Genowefa Jakubowska-Fijałkowska WIERSZE
26 Thaddeus Rutkowski WIERSZE Przełożył Henryk Cierniak
28 Konrad Kitliński FALE 4
40 Olgierd Dziechciarz PALENIE MOSTÓW WYRYWEK POEMATU EPISKAPISTYCZ-
NEGO
54 Jakub Jakubik OPOWIADANIA
66 Romuald Cudak GRA Z JEDNĄ SZANSĄ CZOŁÓWKA FILMOWA
74 Kalman Segal NADZIEJA PROWADZI DO ITAKI
79 DEBIUT Polina Kaznovska WIERSZE

FELIETONY

- 36 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich „WITAJ MAJ, PIĘKNY MAJ...”
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek ŚMIERDZIROBÓTKA I WO-
NICHLEBICZEK
38 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (21)
39 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki GRA NAZWISKAMI
45 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA Tomasz Ślupik DO CZEGO ŚLĄŻAKOM PO-
TRZEBNY JEST NARÓD?
57 BIAŁE KRUKI Jan Malicki TEATRALIA LWOWSKIE
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko O (NIE)SŁUCHANIU MUZYKI (III)

KSIĄŻKI

- 61 Weronika Górka STAN ZADZIWIENIA
62 Helena Synowiec W NURCIE MIKROHISTORII
64 Tomasz Pyzik „W PRZESTRZEŃ, GDZIE NIEDOSYT TRWANIA”

Na okładce: Agata Kustwan, obraz bez tytułu

Pismo wspierane
finansowo przez:



Województwo
Śląskie



KATOWICE
dla odmiany



Czwarta nad ranem

1

8 i 9 maja 1945. — Dekretem z dnia 8 maja 1945 r. o ustanowieniu Narodowego Święta Zwycięstwa i Wolności (Dz.U. 1945 nr 21 poz. 116) Krajowa Rada Narodowa postanowiła w art. 1: „Celem upamiętnienia po wsze czasy zwycięstwa Narodu Polskiego i Jego Wielkich Sprzymierzeńców nad najeżdzącą germańskim, demokracji nad hitleryzmem i faszyzmem, wolności i sprawiedliwości nad niewolą i gwałtem — dzień 9 maja, jako dzień zakończenia działań wojennych, stanowić będzie Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności”. — „Wielcy Sprzymierzeńcy” to wymijająca metafora. Sowiecki dyktator nakazał przeniesienie polskiego święta narodowego z 8 na 9 maja, po raz pierwszy pokazując, jak będzie wyglądała logika historii przez następne półwiecze. — W tym samym czasie, w Londynie, Tymon Terlecki pisał w gorzkim tonie: „Polskę wypchnięto ze wspólnoty europejskiej. Polskę zdradzili nie sprzymierzeńcy, «sprzymierzeńcy sprzymierzeńców», ale zdradziła kultura zachodnia” (*Do emigracji polskiej 1945 roku*, w: idem, *Emigracja naszego czasu*, red. Nina Taylor-Terlecka, Jerzy Świąch, Lublin 2003, s. 29). — Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że kiedy zaczęła świętować 80. rocznicę końca II wojny światowej w krajach Zachodu (8 maja) i Wschodu (9 maja), to będzie manifestacja nie tyle własnej odrębności kulturowej, ile okrutnej modyfikacji zdania Terleckiego: „Ukrainę wypchnięto ze wspólnoty europejskiej. Ukrainę zdradzili nie sprzymierzeńcy, «sprzymierzeńcy sprzymierzeńców», ale zdradziła kultura zachodnia”.

2

Pogrzeb Czyżewskiego. — „Przy grobie niewielka była gromadka”. Majowe słońce — „jak w głębi lipca” — doskwierało żałobnikom. „Tramwaje zjeżdżały do zajezdni pospiesznie, trzeba było iść piechotą w dyszący upał”. Cmentarz Rakowicki „nigdy przedtem ani później nie wydawał się tak bujny i niezwykle”, owego upalnego dnia przedstawiał się „ni-

czym te zielone dżungle o każdym liściu oddzielnie przez wiosnę narysowanym, dżungle malowane przez Rousseau-Celnika”. „Przyroda towarzyszyła Zwycięstwu”. I właśnie: „W Dzień Zwycięstwa odbywał się pogrzeb Tytusa Czyżewskiego” (Kazimierz Wyka, [O Tytusie Czyżewskim], w: idem, *Rzecz wyobraźni* wyd. 2 rozszerz., Warszawa 1977, s. 14). — Znamienne są te słowa o lichości pogrzebu i bujnej zieloności wiosny, i o zwycięstwie sprzymierzonych armii nad hitlerowskimi Niemcami. Wyka zanotował gdzie indziej: „Ulicami przeciągały orkiestry i bataliony, z okien niosły się pierwsze odgłosy Święta Zwycięstwa, kiedy wracaliśmy z pogrzebu Tytusa Czyżewskiego. Malarze chowali malarza, pisarze poetę. Na samym progu nowej niepodległości, na której progu poprzednim, ćwierć wieku temu, był Czyżewski jednym z głównych nowatorów i animatorów. Właśnie w Krakowie, w którym znów jak podówczas rojno od artystów z całej Polski. O tamtych, z poprzedniego progu, wspomina wzdłuż przeciągających się orkiestr Zbigniew Pronaszko: «Ubywa nas, kruszymy się. Witkiewicz, Chwistek, teraz Tytus»” (*Czyżewski-poeta*, tamże, s. 17). — Zwróćmy uwagę na trzykrotnie powtórzone słowo: „próg”. Jeśli krytykowi chodziło o konstatację, że nowa rzeczywistość żegna jednego ze współtwórców literackiej rzeczywistości poprzedniej, to w jednym i drugim wspomnieniu ustanawia się bardzo wyraźne znaki wartości. Śmierć Czyżewskiego w roku 1945, jedna z wielu zwykłych, szarych, nieheroicznych śmierci twórców dwudziestolecia międzywojennego, zamykała tamtą epokę. I tak, jak dwudziestolecie umierało wiele razy w czasie wojny (osobowo i programowo), teraz — już naocznie — odchodziło do wieczności. Ostatecznie odejście to przytwardziło młotkiem i gwoździem do nieheblowanej deski referendum ludowe.

3

Literatura żyje! — W 1945 roku otworzyły się szuflady i wysypały teksty. Literaci nie przespał wojny, również w latach następnych nasza literatura ujawniała serię arcydzieł. Ale wtedy, na progu nowego świata, powojennych ruin, to było coś wyjątkowego. Ze zgłiszcz miast i wsi, z dołów śmierci w KL wielu nazw, z rozsianych po polach, cmentarzach i byle gdzie grobów żołnierzy różnych narodowości i przynależności, literatura wyjęta z szuflad obwieszczała: *Śmierci nie ma!* (to tytuł debiutanckiego tomu Wiktora Woroszyńskiego, Książ-

ka i Wiedza, Warszawa 1949). Albo jak pisał później Jürgen Kaumkötter: *Śmierć nie ma ostatniego słowa* (przeł. Bogdan Baran, Muzeum Sztuki Współczesnej, Kraków 2015). — W 1945 roku ukazały się arcydzielne utwory Jerzego Andrzejewskiego (opowiadanie *Wielki tydzień*), Czesława Miłosza (tom *Ocalenie*), Tadeusza Różewicza (wiersz *Ocalony*). — „Każdą wojną stwarza swój ocean” — pisał Kazimierz Wyka (idem, *Życie na niby. Pamiętnik po klęsce*, oprac. Henryk Markiewicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 236). — Również i dzisiaj mamy nadzieję, że czas naszego istnienia, który bezustannie zakłócają rosyjskie, amerykańskie czy inne hegemonie, pełen niepokoju i śmierci, oblecze się w dobrą literaturę — dla następnych pokoleń.

4

Wybory. — Maj to miesiąc naznaczony okrutną symboliką. Polski maj to złogi radości i nieszczęść. W tym roku będziemy wybierać Prezydenta Rzeczypospolitej. Wybierzmy mądrze. W naszej historii było wiele bezecnych zwrotów, nie jesteśmy bezwinni w głoszeniu kłamliwych haseł, szkalowaniu oponentów i odsądzaniu ich od czci i wiary. Niech nikt nie sądzi, że oczyści go udawana spowiedź. Kto rzuca kalumnie, te — jak na portrecie Doriana Graya — odbijają się na jego twarzy. Mówi Syrach: „W mowie jest chwała i niesława, a język człowieka bywa jego upadkiem (Syr 5,13). Warto o tym pamiętać, „jak bowiem złe imię odziedziczy hańbę i naganę, tak również grzesznik o dwoistej mowie (Syr 5, 15). — Jestem starym człowiekiem i śmiesz mnie kłótnie starsuszków w windzie na temat aktualnej historii Polski. Chciałbym powiedzieć starszkom, moim rówieśnikom: nie oglądajcie toksycznych telewizji, nie komentujcie beczelnych kłamstw, jakie wywalają się z każdego kanału, do którego macie dostęp. Idźcie na spacer, cieszcie się wnukami, zaproście dawnych przyjaciół na kawę i cieszcie się, że Bóg dał wam 80 lat pokoju, i żaden idiota nie zniszczył tego stanu. — Bądźcie mądrzy doświadczeniem przeżytych lat, nie udawajcie, że macie więcej w rozumie niż macie. Pomyślcie nie o sobie, ale o tych, których pozostawiacie. — Wykształcenie, językowe obyczaje, umiejętność rozmowy z drugim, nie oszczerstwo ale chęć wyjaśnienia różnicy zdań, a wreszcie: дума z tego, że będzie nas reprezentował ktoś, za kogo wstydzić się nie będzie my... — Tyle miałem do powiedzenia.

Marian Kisiel

Miłość

przez twoje oko cierpliwie nitki żył
żrenice

ślepo na pamięć dotyku wilgotnej pościel
uronię jak gorzką łzę

zostanę na język soli na palec boży
na ogon psa



W roku 1964 zdałeś do szkoły filmowej i siadłeś w jednej ławce z Krzysztofem Kieślowskim. Jak go zapamiętałeś?

Spotkaliśmy się na pierwszym roku łódzkiej filmówki. Mimo że on studiował reżyserię, a ja byłem na Wydziale Operatorskim, to zajęcia były wspólne. One miały nie tylko ukształtować nas jako kandydatów na filmowców, ale i ze sobą zintegrować. Krzysztof już wtedy wydawał mi się osobą bardzo dorosłą i skupiał wokół siebie gro-
no wtajemniczonych. Pamiętam go z egzaminu po pierwszym roku. Zrobił wtedy film dokumentalny zatytułowany *Urząd* – gdzie pokazał wręcz arogancję urzędników, co można było odczytać tak, że to władza chce upokorzyć społeczeństwo. Krzysztof już zaczynał wojować z systemem. I pamiętam reakcję Wandy Jakubowskiej, niekwestionowanego wówczas autorytetu, która powiedziała, że to jest jedyny film na tym roku, który się tak zdecydowanie wyróżnia. Takie były początki.

Spotkaliście się jeszcze później?

Spotkaliśmy się po wielu latach, kiedy chciał mnie zaprosić do współpracy przy serialu *Dekalog*. Wprawdzie ostatecznie się nie udało, ale to było bardzo miłe spotkanie.

Czy akurat taki patron nadaje jakiś charakterystyczny rys tej uczelni?

To bardzo niesforna postać, która – wydaje mi się – bardzo przylega do Szkoły Filmowej w Katowicach. Ale zaczniemy od tego, że ja się czułem Ślązakiem, bo tu się urodziłem, w Chorzowie i mam przynajmniej połowę takiej niesfornej duszy, takiej, która bez przerwy szuka, *kajś sznupie*, czegoś chce, czegoś się domaga i chce więcej. Jest w tym taka dobra śląska dynamika. A taką na pewno miał Krzysztof. I tak mocno, jako wykładowca, zapisał się w świadomości studentów i absolwentów. Był dla nich po prostu guru. A Krzysztof, który wyrastał z dokumentu, już wtedy zaczynał w swoich poszukiwaniach zmierzać w kierunku filmu fabularnego. A potem już mocno wszedł na drogę niezależną od władzy. To również była dusza niespokojna, dusza, która zawsze czegoś szukała, tak jak my na Śląsku, zawsze pomimo trudności *sznupujemy, sznupujemy, aż się dosznupujemy* do tego, co potrzebne.

Czyli w zasadzie ten niespokojny duch Kieślowskiego towarzyszy ci jako twórcy od początku. A od 30 lat jesteś wykładowcą w katowickiej filmówce. Zatem: jak się pracuje u Kieślowskiego?

Skoro 30 lat, to znaczy, że dobrze (*śmiech*). A prawda jest taka, że ciągnie mnie na Śląsk, tu mieszka mój najstarszy brat. Kiedy jeszcze żyła mama, chciałem ją odwiedzać i tak sobie pomyślałem, że może się uda tutaj zdobyć pracę – bo przedtem byłem asystentem w szkole filmowej w Łodzi – i w końcu się udało. Zaczynałem najpierw od asystenta, a potem trafiłem do władz dziekańskich.



Choroba zwana dygotem metafizycznym

Z prof. JERZYM ŁUKASZEWICZEM, wykładowcą Szkoły Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego rozmawia KRYSTIAN WĘGRZYNEK

Skoro już rozmawiamy o tych dwóch miejscach, o Łodzi i Katowicach, to czy da się powiedzieć, że tutejsza filmówka różni się od tej łódzkiej?

To oczywiście jest zrozumiałe, że kiedy działają dwie szkoły filmowe, to wiadomo, że będą się ścigać i porównywać. Oczywiście łódzka szkoła filmowa ma większą tradycję, której symbolami są chociażby Polański i Wajda. Ale zastanawia mnie jedno. Mianowicie: dostajemy takie feedbacki od producentów, że absolwenci szkoły w Katowicach absolutnie sobie dają radę w najtrudniejszych warunkach.

Czyli tu ich po prostu hartujecie?

Na czym polega hartowanie w filmie? Ano na tym, żeby uruchomić przede wszystkim myślenie kreatywne – ono pozwala ominąć pułapki i przeszkody finansowe.

Jak to wygląda w praktyce?

Studenci mają za zadanie, na przykład, wykonać etiudę. Przychodzą i pytają o budżet, a my mówimy „*Low-low budget*”, czyli zero. To właśnie, jak się okazuje, daje taki asumpt

do tego, że zaczynają myśleć, kombinować, obchodzić, budować jakąś alternatywną przestrzeń i po prostu omijać przeszkody. I to jest ta informacja zwrotna przychodząca od ludzi, którzy mają zdrowy osąd takich możliwości, a przede wszystkim ambicji i tego, co my możemy nazwać pełną oceną zdolności do zawodu. A trzeba to wyraźnie zaznaczyć, że jesteśmy w tej chwili w takiej przykłej fazie procesu, kiedy producenci właściwie żądają wykonawców, a nie twórców, nie reżyserów ze swoją wizją. Ważniejsza okazuje się wizja producenta, czyli ta, która ma zasady finansowania i dystrybuowania, w związku z tym reżyser, operator i cała ekipa są tylko od twórcami. I wydaje się, że właśnie umiejętność zdobycia czegoś sposobem, błyskiem, obejściem, znajduje uznanie w oczach producenta. Być może uprościłem, ale tak to teraz wygląda.

Wobec tego mam pytanie generalne – jak w ogóle uczyć w szkole artystycznej? Czy to jest sztuka inspiracji? Czy to jest uczenie warsztatu? Czy to jest po prostu wy-

miana zdań na temat wizji?

Od zawsze toczy się dyskusja, czy jesteśmy w stanie nauczyć myślenia artystycznego i obudzić talenty, czy jesteśmy w stanie tylko i wyłącznie nauczyć rzemiosła. Te dwie przestrzenie, rzemiosła i tego czegoś, co my nazywamy myśleniem artystycznym, się przenikają. Ten dylemat dotyczy zresztą wszystkich szkół artystycznych: teatralnych, plastycznych, muzycznych. To jest kwestia: łamać charakter, czy otwierać? U nas o tyle to jest skomplikowane, że każde otwieranie takiego żywiołowego talentu nie kończy się – niestety – za dobrze na rynku. Bo rynek eliminuje indywidualności, które mają swoje poglądy i swoje światy. Specjalności, których uczymy, stały się zawodami usługowymi. A przy tym wiele zależy od roczników. To jest również zastanawiające, że czasem mamy wysyp ludzi z pasją, ciekawych, którzy uwielbiają eksperymentować, niespecjalnie dbając o rzemiosło, o warsztat; a czasami są ludzie, którzy wyłącznie poprzestają na takim, powiedziałbym, lustrzanym odbiciu wszystkich reguł i zasad rzemiosła. Gdybyśmy chcieli odpowiedzieć na pytanie o metodykę działania pedagogicznego, to jest takie podejście *grow creative*, czyli wzmocniania kreatywności. Redukowałoby się do powiedzenia: „Nie wskazuj drogi, tylko przygotuj do drogi”. Absolwent dostaje narzędzia, ale też nie jest ukierunkowany na jakieś jedno myślenie. W związku z tym konkluzja jest taka, że ani szkoła łódzka, ani nasza nie profilują studentów, tylko dają szeroki wachlarz sztuki i wrażliwości.

Tymczasem zmieniła się technologia.

Wcześniej to było w zasadzie rękodzieło. To była taśma filmowa, proces fotochemiczny, ręczna obsługa przy montażu, przy dźwięku. A teraz to właściwie wszystko się dzieje poza takim ceremoniałem dotknięcia czegoś, naznaczenia, nadania mu jakiegoś ducha. Ale ja wcale nie płaczę, że czasy się zmieniły, wręcz przeciwnie, cały czas jestem zdziwiony, jaki jest łatwy dostęp do tej technologii. Bo prawda jest taka, że się nie zmienił język narracyjny, nie zmieniła się konfiguracja dramaturgiczna, bohaterowie w zasadzie w podobny sposób oddziałują na odbiorcę, tworzą ów cały świat emocji. Zmieniło się tylko narzędzie. To oczywiście powoduje pewne nowe problemy. Mówią studenci tak: „Proszę pana, ja mogę w tej chwili zrobić 30 dubli, a wyście wtedy mogli zrobić najwyżej dwa – trzy”. W związku z tym ten proces wyboru jest o wiele dłuższy. Każdy dubel może być inny, ale my nie wiemy, który jest dobry, to się okazuje dopiero w procesie montażu. Czyli ta selekcja wszystkich wartości, które są w ujęciu, a która kiedyś odbywała się na planie, teraz dokonuje się w zupełnie innym miejscu. I studenci to rozumieją. Być może jest to nawet jakiś rodzaj zazdrości, że mogliśmy mieć więcej czasu na ten proces twórczy. Więc mieliśmy i trudno, i łatwo, a oni mają łatwo, a póź-

niej mają trudno. Taka właśnie jest idea tej edukacji, która przede wszystkim polega na relacji mistrz – uczeń.

A kogo można nazwać mistrzem?

To są ludzie, którzy mają artystyczny dorobek, dzięki któremu mogą rzeczywiście coś przekazać adeptom. Przy tym dorobek młodszej kadry jest zupełnie inny niż starszej kadry. Są ci, którzy obcowali z reżyserami uznanymi, takimi jak Wajda, Kawalerowicz, Konwicki, Kutz i tacy, którzy mają na koncie telenowełe czy filmy reklamowe. Może się narażę mówiąc to, ale takie są fakty. Jedyne ratunek widzę w pogłębieniu edukacji humanistycznej, w powrocie do malarstwa czy literatury klasycznej. Tymczasem wśród starszych studentów pojawia się postawa zawierająca się w deklaracji: „Sztuka filmowa zacznie się ode mnie. Ja wiem, jak to robić. Ja wszystko odkryję”.

A nie jest to jednak naturalne złudzenie w tym momencie?

Oczywiście, że naturalne i nie będziemy się temu dziwić. W związku z tym to dohumanizowanie polega właśnie na uświadomieniu, że oni są tylko elementem pewnego procesu, a punkt, w jakim jesteśmy, to jest owoc wypracowany przez wiele pokoleń. I ta świadomość uczy tego, co jest dla artysty trudne, ale najważniejsze – pokory. Ona pozwala zobaczyć siebie we właściwej proporcji, we właściwym świetle. W związku z tym ja często powtarzam studentowi, że to, co wymyślił, to już nie jest nowe. On mnie pyta „To co ja mam robić?” Ja mówię: „Wymyśl to inaczej, znajdź inny kontekst”. Więc to jest ta droga, która pozwala unikać wojny z nowym pokoleniem, bo ona jest niepotrzebna. A młodzi ludzie są teraz, o dziwo, naprawdę wrażliwi. ... Przy tym bardzo szybko następuje wśród wykładawców rozeznanie, kto ma potencjał, a kto nie.

Spróbujmy teraz przenieść się do czasów, kiedy ty byłeś pogrążony w szale twórczym i tworzyłeś filmy z Kawalerowiczem czy z Machulskim. Bo może jest tak, że każda epoka ma swoje wyzwania. Tegoroczny laureat Oscarów, Sean Baker, zrobił dziesięć lat temu furorę, bo nakręcił film *Mandarynka* jedynie iPhonem. Zastanawiam się, jak odnieść to wyzwanie do tego, przed jakim stanąłeś, kiedy w latach 80. musiałeś zrobić karkołomne zdjęcia do *Seksmisji* czy *Kingsajza*. To chyba ma związek z Twoją dewizą, że najpierw jest myślenie, a potem jest technologia.

Ta technologia jednak dzisiaj nie powoduje, że inaczej sobie konstruujemy to myślenie, mając nawet świadomość, że wydaję telefon i nagrywam. Wydaje mi się, że ten proces twórczy był wtedy jakiś nieograniczony. Pomimo paraliżu materii i pieniądza byliśmy jednak w stanie myśleć więcej, niż dawała wówczas technika. I szukało się takich rozwiązań z bardzo

prostej przyczyny – byliśmy młodzi i każda ściana była do rozwalenia. Każdy opór wyzwalał jeszcze mocniejszą reakcję, wyrastającą z przekonania, że „My wam powiemy, jak to należy zrobić”.

Jak to wyglądało na planie?

Wyobraźmy sobie na przykład plan totalny w *Kingsajzie*. Wiadomo było, że my tych szuflad to tam mamy ze cztery.

Na ekranie wygląda to tak, jakby ich było chyba ze sto.

No właśnie! I teraz jest pytanie, co z tym zrobić bez komputera? Dzisiaj się mówi „To się robi w komputerze”, prawda? Ale to znaczy, że to robi ktoś inny. To pójdzie w inne ręce. Ktoś będzie maczał palce w mojej materii artystycznej. Natomiast myśmy mieli takie poczucie, że to jest nasze, że musimy to opanować i zwyciężyć. W związku z tym to się robiło taką techniką, która pozwalała połączyć element rzeczywistości z elementem namalowanym na szybie. I myśmy to robili. I to było ekscytujące.

Ale teraz, w dobie greenscreenów, wirtualnej rzeczywistości, sztucznej inteligencji, może dałoby się z tego zrobić remake...

Powiem Ci tak szczerze, być może ja jestem za stary, żeby o tym mówić, ale powiem: to jest ściema to wszystko. A ten duch ludzki i to obcowanie z żywą materią, z aktorem, z materią planu zdjęciowego, z obiektem zdjęciowym rzeczywistym, ma jakąś magię, która przetrwała, mówię np. o magii malarstwa. Więc wydaje się, że ten kontakt malarza z płótnem ma w sobie to coś więcej, ma jakiś naddatek wobec komputerowego obrazu, który być może kiedyś będzie bardziej finezyjny, ale jednak w jakimś sensie uprosi i zabierze tego ducha ludzkiego. Tak mi się wydaje. A studenci, proszę sobie wyobrazić, korzystają z AI, pisząc eseje.

Chat GPT pisze scenariusz w kilka minut.

Oni tego nawet później nie czytają. Kiedy ja to czytam, to po drugim zdaniu wiem, że jest to wygenerowane.

Ale może za jakiś czas, kiedy się ta sztuczna inteligencja już nasyci pewnymi treściami, to algorytmy zbudują lepsze scenariusze. Przecież mieliśmy strajk scenarzystów.

Wiesz co, ale to cały czas jest awans technologii, a nie awans myślenia, ducha, emocji, budowania emocji. Oczywiście zmiany są! Ja jeszcze nosiłem pudełko z taśmą filmową, a teraz studenci wysyłają mi link do swojej etiudy. Ale cały czas mamy problemy w rodzaju: o czym jest ta opowieść, jak jest wykreowany bohater, czy budujemy napięcie, czy są punkty zwrotne. I wreszcie, czy mnie to ciekawi, czy ten fenomen pierwszego wrażenia, to jest ta jedna z najważniejszych rzeczy, która pozwala budować i zaskakiwać także samego siebie. Właśnie to nieprawdopodobne zaczyna być sztuką. To oryginalne, to nieoswojone przez ciebie, to, które cię zaskakuje, to, które nigdy cię



Jerzy Łukaszewicz z Kazimierzem Kutzem na planie „Soli ziemi czarnej”

w życiu nie spotkało. Wydaje się to chyba bliskie temu, co Wajda zawsze mówił do młodych ludzi; „Pokażcie mi na ekranie miejsca, w których żeście nigdy nie byli”. Tam jest zagadka tego, jak przejść z tego etapu wideofilmowania, czyli rejestrowania rzeczywistości, na tę sferę i przestrzeń kreatywności. I tego staramy się tych młodych ludzi cały czas uczyć. Nie opowiadacie sobie, nie przywołujcie swoich znajomych, bliskich, swoich oswojonych sytuacji. Wyjdźcie poza ten świat, który już znacie, bo tylko i wyłącznie będziecie rejestrować, reprodukować. A wy macie stworzyć nową jakość.

Mówisz, że studenci chcą zaczynać od siebie. A czy ty, robiąc filmy, miałeś kiedyś taki pomysł, jak Filip Mosz w *Amatorze*, że chcesz kamerę skierować na siebie? Czy ona była zawsze skierowana na zewnątrz?

Świat, który pokazuję, jest nieoswojony przede mną, a kamera jest skierowana na te światy, które są jeszcze niezbadane, obce, które mają jakąś tajemnicę. Chyba zawsze uciekałem od siebie. To wynikało z tego, że zostałem wychowany w szkole filmowej przez wspaniałych ludzi, takich jak Jerzy Toeplitz, Jerzy Mierzejewski, Aleksander Jackiewicz. I ten przekaz był tak ukierunkowany, że twórca, jako centrum, nie istniał. To była grupa, to był zespół, to było cały czas granie do jednej bramki. A teraz...

...wszyscy kierują kamerę na siebie? A czy mógłbyś wymienić tytuł jakiegoś projektu, z którym czułeś się jakoś zintegrowany? Zamiast odpowiedzi bezpośredniej przywołam taką sytuację. Kręciliśmy pierwszy *Vabank*. To już była chłodna jesień i samochód, który miał prowadzić Kwin-

to, był cały zaszroniony czy oblodzony. I cała ekipa, łącznie z reżyserem, z oświetlaczami, ze scenografami, z operatorami, rzuciła się, żeby wygrzebać ten lód i przygotować auto do zdjęć. I to zadanie, które należy do pomocników, do techników, było wtedy wykonywane przez przedstawicieli najważniejszych departamentów. To była pełna zgodność ekipy z projektem.

Czy nie najbardziej spełniłeś się w *Dolinie Issy*?

Spotkanie z Konwickim było niezwykle. Na planie tego filmu działy się dziwne rzeczy. To było tuż przed stanem wojennym, czyli trwała jakaś zawierucha w świadomości. Coś się działo, jakiś niepokój był wśród ludzi. Coś, co dawało takie poczucie, że ten film jest taki rozdygotany. Tam się czuło takie, powiedziałbym, może nie zagrożenie, ale taką tymczasowość, taki bliski, może nie koniec, ale jakiś dramatyzm.

To się zdecydowanie wyczuwa po drugiej stronie ekranu.

No i to było wszędzie, i w tym plenerze, i we wnętrzach.

Zdjęcia ekspresyjne! Montaż – bo ja wiem – gwałtowny?

Taka była nasza wspólna choroba. Całej ekipy. Choroba, którą byśmy dzisiaj nazwali dygotem metafizycznym. To jest oczywiście opowieść o Litwie, ale my kręciliśmy na Suwalszczyźnie – podobnie ukształtowany teren, podobna struktura światła, która opisuje całą naturę. To dało poczucie, że naprawdę jesteśmy w innym świecie, mówimy o innych sprawach. A cały czas Tadeusz wychodził o 6 rano i patrzył na wschód, czy już jadą... Tak to wyglądało.

A ponoć się Miłoszowi film nie spodobał? Nie spodobał się. I Tadeusz był bardzo rozczulony. A on przecież oddał temu filmowi wszystko.

W ogóle takie obrazy jak *Salto* czy *Jak daleko stąd, jak blisko* mocno mi zostały w pamięci.

A *Ostatni dzień lata*?

O! To by można iPhone’em nakręcić. Studentów wypuścić na plażę...

Pewnie od razu poszliby w sensację, oczywiście – obyczajową...

Jeszcze á propos właśnie tego skierowania na siebie... Przypomniały mi się filmy Andrieja Tarkowskiego, w których skrupulatnie chciał odtworzyć swoje dawne wspomnienia. Może nie jest to ekshibicjonizm, ale powiedzmy autokreacja? To jest taki stempel indywidualności.

Tego właśnie próbuję bronić.

Ale ja jestem akurat z tej półki, w której te światy się tworzy na nowo. Natomiast tu jest jakiś element własnego twórczego „ja”, które czasami wydaje się światem absolutnie zsubiektywizowanym. I teraz jest pytanie, czy chodzi o to, że twórca jakby siebie eksponuje, czy o to, że on, znajdując siebie, swoje emocje, swoją świadomość, czuje, że to jest prawdziwe, że to jest chociażby oryginalne, bo on jest oryginalny, przecież nie ma ani jednego człowieka, który byłby taki sam na świecie. To jest tajemnica twórcy. Nie śmiem i nie mam takiej odwagi, żeby to oceniać, ale pracując z wieloma wspaniałymi ludźmi, miałem to poczucie, że oni wchodzą w nową rzeczywistość, coś odkrywają, a nie konfigurują na miarę swojej osobowości. Wiem na przykład, że Tadeusz jakby odtwarzał swoją młodość, przecież Wilno to jest i jego mała ojczyzna. Ale wiem, że on tego nie szukał. On czekał, aż go to spotka, a nie prowokował, by go to spotkało czy zaskoczyło.

Zdecydowanie trzeba poczekać... A na to czasu mieć nie mogą filmmakseri...

Tak, filmmakseri... No niestety w tej chwili to wszystko pędzi. I to są domy produkcyjne, gdzie nie ma szansy na głęboką myśl artystyczną. To wszystko zostało wypłoszone z różnych nisz i z tych dziwnych dziupli, więc właściwie jesteśmy w tej chwili w takiej płatinie. Oczywiście czasami zdarza się jakiś film, który ma taką, powiedziałbym, swoją autentyczną świadomość. Film jako opowieść zwarty, spójny. Ale to się rzadko zdarza. Wtedy, muszę się przyznać, pilnie oglądam czołówkę albo napisy końcowe i znajduję informację, że scenariusz napisano na podstawie powieści. I tu się zaczyna powrót do tego, o czym żeśmy mówili, że powieść jako gatunek, jako potężna dawka takiego hu-

manizmu, zaadaptowana w formie filmu, nadal żyje jako rzecz, która ma potężny wymiar i jest wielkim tematem.

A Kazimierz Kutz, kiedy wspominał swój debiut, powiedział tak: „Mierziło mnie, że polskie kino wisi na literaturze, że brak mu samodzielności, a film można robić nie tylko z literatury”. I dalej mówi, że „siłą polskiego kina był nieistniejący na Zachodzie związek między operatorem a reżyserem”. Czy Kutz nie chciał uwolnić polskiego kina od literatury, a bardziej skupić na obrazie? Tak przynajmniej myślał przy *Krzyżu Walecznych*.

Wtedy to była przede wszystkim literatura socrealistyczna.

No tak... Choć może już bardziej odwilżowa?

Rządzący dzielili pieniądze i wiadomo było, że ta literatura dawała taki bezpiecznik, gwarancję, że się nie przekroczy wyznaczonej linii, więc ja rozumiem tutaj Kutz'a. Natomiast mówić tu także o fenomenie kinematografii polskiej, gdzie ten niezwykły tandem reżyser-operator to było to coś, co też stworzyło szkołę polską. To było to związanie idei, tematu, treści z bardzo ekspresyjną i wyrafinowaną formą wizualną. Ja akurat patrzę na to z tamtej perspektywy, ale już w jakimś stopniu wtopiłem się w tę nową rzeczywistość. Też byłem zarażony chociażby telenowelą. A to już zupełnie coś innego i chyba upadek myślenia artystycznego, no ale taki jest wymóg rynku. Masz zawód? Pokaż co potrafisz. Wykorzystaj swoje doświadczenie, spryt i swoją wizję. Rób. Koniec. No to trzeba robić i się nie zastanawiać, czy mnie ktoś jeszcze wynajmie.

O to bym się akurat, w Twoim przypadku, nie martwił. W 2024 roku otrzymałeś Nagrodę Stowarzyszenia Filmowców Polskich za wybitne osiągnięcia artystyczne i wkład w rozwój polskiej kinematografii. Wielkie gratulacje!



Jerzy Łukaszewicz w galerii dziekanów Wydziału Filmowego UŚ

Poczułem się bardzo zaskoczony. Znalazłem się w gronie wyróżnionych wraz z laureatką Oscara, Ewą Braun i stałem przy niej jak ta lebioda... Czy wiesz, że kiedyś się robiło na Śląsku zupy z lebiody?

Tak, zupa *zielono*. Ale ja takiej z domu nie pamiętam.

Wiesz co to był za smak? Lebioda, czyli zielsko, takie dziadostwo, smakowała jak liście kalarepki. Czyli była i słodczy, i było troszkę goryczy, no ale przede wszystkim była masa i esencja.

Ależ ty idealnie wyczuwasz moje intencje, bo chciałam cię na koniec zapytać o te powroty na Śląsk. Czy wraz z nimi wracają jakieś obrazy, dźwięki, smaki? Kiedy wsiałam do pociągu, tam gdzie mieszkam teraz, jadę do Katowic i słyszę *ta ślonsko godka*, to mi się robi ciepło na sercu. *Jeronie, chopie, jo to wszystko wiym*.

Poradzisz *godać po noszymu*?

Ja, *poradza godać*, mimo tego, że nasz dom był bardzo skomplikowany w sensie pochodzenia. Ojciec się urodził w Czynkencie, koło Taszkientu, jako syn zesłańca po powstaniu styczniowym. Oni mieszkali w Wilnie, dziadka zesłali najpierw do Oranienburga, a później do tego Czynkentu. Tam był sędzią pokoju. A w 1917 ojciec wrócił do Wilna, skończył medycynę na Uniwersytecie Batorego, a później wyjechał do Warszawy. A zaś matka moja urodziła się w Kamieńcu Podolskim.

Co za kresowe korzenie!

Nieży ze mnie *krojczok*, co? Rodzice mieszkali w Warszawie, potem wybuchło powstanie warszawskie, wywózka ludzi, obóz w Pruszkowie. Najstarszy brat był już na świecie, miał wtedy dwa latka. Rodzice wsiedli w pierwszy pociąg, przekupili jakiegoś Niemca, czy też ojciec lekarz dogadał się z lekarzem niemieckim... Kiedy rodzice wsiedli w pociąg, to wysiedli już

w Ligocie, w obcym miejscu, a tu jeszcze Niemców była kupa.

Tu jeszcze wojna była?

Tak, jeszcze tutaj mocno wojna była. A później ojciec już tu został. I myśmy się tu urodzili. Pamiętam, jak żeśmy przychodzili z podwórka, ze szkoły, to *my ino po ślonsku godali*. Kiedy się ojciec zorientował, to nam zwrócił uwagę: „Jak wy mówicie? Trzeba mówić po polsku, wyraźnie, ładnie”.

Ale wasza piastunka *godała do was*. Mieszkała niedaleko moich dziadków, w Panewnikach. Nazywaliście ją piastunką?

To była dla nas babcia. Pani Franciszka Biskup. Kochana, niezwykła kobieta. Co ona przeżyła! Miała coś dziewięcioro dzieci, a one wszystkie jej poumierały albo zginęły. Pamiętam jej opowieści o obiedzie: mąż górnik jadł śledzia, a dzieci dostawały tego śledzia kręgosłup. Pamiętam jeszcze, jak jechaliśmy – *za bajtla* – z Ligoty do Katowic, to się bałem, bo na ulicach mówili jeszcze po niemiecku... Krótko mówiąc, mam pół duszy śląskiej, a pół duszy takiej troszkę wschodniej. Ale prawda jest taka, że chyba wszystko, co się teraz wydarza w naszym życiu, jest porównywane ze Śląskiem.

Chciałem cię jeszcze zapytać o te kwiaty, które ci pachniały w trumnie, kiedy leżałeś na rynku w Nikiszowcu, w czasie kręcenia *Soli ziemi czarnej*.

Rzeczywiście bardzo często mnie przesładuje to dziwaczne wspomnienie. Zimno mi w tej trumnie było bardzo. Wprawdzie był kwiecień, ale wtedy akurat przepłotło go zimą. Film musiał mieć dobry budżet, bo zazwyczaj to się dawało kwiaty sztuczne. Zimno jak cholera i ten zapach kwiatów. To było coś przedziwnego. Czułem się jak umarłak, jak prawdziwy nieboszczyk.

Jakie to były kwiaty?

To już tyle lat... Czekaj, to musiał być sześćdziesiąty dziewięć, bo ja zrobiłem wtedy magisterium i przyjechałem do Kazia na plan. A on do mnie woła: „Witaj magisterek!”, bo on mnie magisterek nazywał... To mogły być forsycje, ale nie sądzę... A może chryzantemy?

A jeszcze, oprócz lebiody i tych trumennych kwiatów, jakiś dawny zapach z tobą został?

Wodzionka. Ciągłe słyszałem: „Jak będziesz niegrzeczny, to będziesz jadł wodzionkę”.

I ciągle byłem niegrzeczny, i ciągle dostawałem wodzionkę. Ona zawsze mi się będzie kojarzyć z czymś nadzwyczajnym.

Nadzwyczajnie Ci dziękuję za te wspomnienia i całą rozmowę.

Rozmowa odbyła się 4 marca 2025 roku w Katowicach.

Monet to tylko oko, ale mój Boże, co za oko! Tak mówiono o wielkim impresjonistcie. Skąd takie oko Grzegorza Lityńskiego?

Dziękuję za miłe słowa i to już na samym wstępie. Trudno powiedzieć, skąd się bierze „wyjątkowe oko” Grzegorza Lityńskiego. To wypadkowa naprawdę szeregu rzeczy, proces powstawania rozgrywa się bowiem na wielu płaszczyznach. Jedną z nich na pewno jest inspiracja, która jest jednym z kluczowych elementów wyrabiania sobie kreatywnego spojrzenia na rzeczywistość. Mam zwyczaj wertowania olbrzymiej ilości zdjęć, ale nie tych publikowanych w Internecie, tylko tych drukowanych w różnych zestawieniach lub w monograficznych albumach fotograficznych, od których w moim mieszkaniu uginają się półki. Zanurzam się nieustannie w prace wybitnych mistrzów, do moich ulubionych klasyków należą: Francuz Robert Doisneau, twórca nostalgicznych zdjęć Paryża, Brazylijczyk Sebastiao Salgado, legenda współczesnej fotografii, Gordon Parks, pierwszy czarnoskóry fotoreporter magazynu „Life”, autor mocnych reportaży socjalnych z życia biedoty w USA i Brazylii, Dorothea Lange, fotografa projektu Farm Security Administration w latach wielkiego kryzysu w Stanach Zjednoczonych, Peter Lindbergh, niemiecki fotograf pracujący w Paryżu, który stworzył niepowtarzalne czarnobiałe portrety licznych modelek i gwiazd sceny aktorskiej. Jego album *Shadows on the Wall* oglądałem przynajmniej raz w miesiącu od deski do deski. W kolekcji moich ulubionych pozycji autodydaktycznych jest też *Zapis socjologiczny* Zofii Rydet z Gliwic, która przez dziesięciolecie niestrudzenie fotografowała w czasach PRL-u wnętrza wiejskich chat. Dzieła tych mistrzów można oglądać bez ustanku, nigdy mi się nie znudzą, a są dla mnie źródłem inspiracji. Inną przestrzenią, która pozwala mi



Zdjęcie trzeba umieć czytać

Z GRZEGORZEM LITYŃSKIM
rozmawia PIOTR SKOWRONEK

„wyrabiać oko” jest nieustanne poszukiwanie tematu, ale także zajmowanie się formą zdjęć, bo trzeba mieć z tyłu głowy, że forma – w pewnym sensie „opakowanie”, w którym podajemy odbiorcy sfotografowaną scenę – to jest bardzo istotna sprawa.

W jednym z wywiadów powiedział Pan: „Fotografowanie to nie jest już pasja, to jest sposób na życie”. Jak Pan odkrył ów sposób i co to właściwie oznacza?

Tak, to fotografia, a dokładniej rzecz ujmując, wspomniane już nieustanne poszukiwanie tematu jest moim motorem

napędowym, zmusza mnie też do robienia rzeczy, których bez fotografii nigdy bym nie zrobił, do pchania się w miejsca, do których bym nigdy nie zawędrował, gdyby nie to, że mam w aparacie w ręku i nie waham się go użyć. Fotografowałem i fotografuję bezdomnych, osadzonych w zakładach karnych, Indian w kanadyjskiej głuszy, rybaków żyjących w głębi Laosu, ale też VIP-ów, mężów stanów, aktorów, sportowców, zapaleńców i entuzjastów. Nie miałbym możliwości zerknięcia się z tymi wszystkimi ludźmi, gdyby nie moja pasja do uwieczniania otoczenia za pomocą fotografii.

Zdarza się tak, że projekty same do Pana przychodzą?

Tak, ale większość z tych, które „same przychodzą” do mnie, grzęźnie na etapie wstępnych rozmów. Są też oczywiście takie, które biorę „na klatę” bez zastanowienia. Dwa lata temu padło pytanie, czy nie podjąłbym się fotografowania pana profesora Krzysztofa Zanussiego do tekstu znakomitej pisarki, biografki i poetki z Czeladzi pani Barbary Gruski-Zych. Zgodziłem się od razu, to była dla mnie wyjątkowa okazja, by pracować z takimi indywidualnościami. Praca nad tym projektem to fascynujący okres mojego fotograficznego życia – miałem możliwość towarzyszenia Barbarze w trakcie jej licznych, wielogodzinnych rozmów z Krzysztofem Zanussim w jego domu w Łaskach koło Warszawy i w wielu innych miejscach. Uzyska-



Sri Lanka. Inwalida wojenny. Projekt „Sri Lanka – proszę, pamiętaj o mnie”

łem też swobodny dostęp do fotografowanej osoby i jego domu, a równocześnie chłonałem rozmowy z reżyserem oraz jego żoną, Elżbietą. Powstało unikatowe dzieło – książka, a właściwie album fotograficzny *Zanussi. Przez przedmioty*, który zawiera aż 213 zdjęć, wiele z nich to rozkładówki. Nie jest to jednak w żadnym wypadku katalog przedmiotów wypełniających domy państwa Zanussich, ale książka pełna refleksji o poważnych sprawach, też o prawdzie, przemijaniu i odchodzeniu.

Jeśli mówimy o przedmiotach, to pamiętam, że już raz posłużył się Pan taką formą, opowiadając o wojnie w Ukrainie.

Mówi pan o cyklu moich zdjęć o nazwie *Ukraiński Leksykon*. To jeden z moich ostatnich dużych projektów. Był wystawiony w Ukraińskim Muzeum Narodowym w Chicago, ale też w polskiej galerii sztuki w tym samym mieście oraz dwukrotnie w Niemczech, ostatni raz 24 lutego 2025 r. w Steinfurcie. Przedmioty bardzo dużo mówią o świecie. Często są symboliczne i czasami ta symbolika jest łatwa do odczytania, chociaż widziałem, że moich niemieckich odbiorców odczytywanie niektórych symboli przeszło. Podam przykłady. W barbarzyńsko zniszczonym mieście Boro-dianka koło Kijowa, gdzie dotarliśmy z pomocą humanitarną, siedział wśród ruin olbrzymi, pluszowy miś. Nam się niedźwiedź jednoznacznie kojarzy z jednym krajem, natomiast Niemcy zupełnie tego nie złapali. Dla nich to zdjęcie nie miało tej głębi, którą odbierał polski czy ukraiński widz. To zresztą dobry przykład na to, jak bardzo uwarunkowania kulturowe wpływają na konsumpcję zdjęć. Nie zawsze da się fotografować uniwersalnie, tzn. w sposób, który byłby jednoznacznie czytelny dla ludzi na całym świecie. Często komentarz jest nieodzowny.



Sri Lanka 02. Portret małżeństwa w 35 rocznicę ślubu. Projekt „Sri Lanka – proszę, pamiętaj o mnie”

Na mnie spore wrażenie wywarła stojąca pośród ruin wanna.

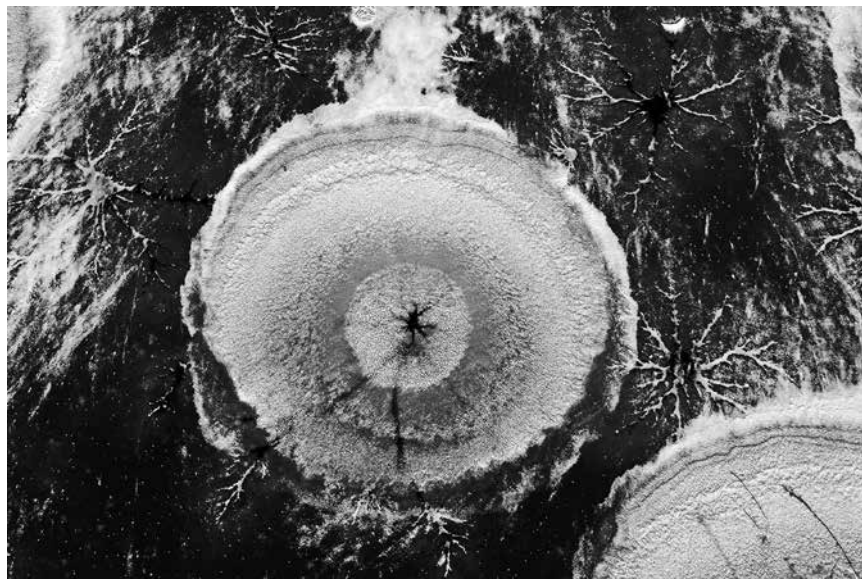
Wanna jest zupełnie surrealistyczna, powyginana, leży daleko od zniszczonego bloku. W tle zdjęcia widać spalony wieżowiec mieszkalny, niemal kompletnie zrujnowany. Zakładałam, że wanna stamtąd pochodziła, ale jak wylądowała aż kilkadziesiąt metrów dalej? Czy ktoś ją wyniósł, czy to może eksplozja wyrzuciła ją aż tak daleko? Tego nie wiem.

Wanna kojarzy się z ciepłem, intymnością, a tutaj samotna, wśród zgłiszczy symbolizuje odarcie z tych z emocji?

To jest właśnie informacja, którą potrafiłby odczytać przeciętny widz zachodni, natomiast oni gubią się w niuansach. Tak samo jest w albumie *Zanussi. Przez przedmioty*. Są tam pewne rzeczy niemożliwe do samodzielnego odczytania. Potrzeba komentarza. Tekst i obraz bardzo często się nawzajem uzupełniają. To wzajemne dopełnianie, jak to ktoś kiedyś ujął.

Trudno było się zmierzyć z intymnością domu Zanussich?

To jest bardzo trudne pytanie. Tak, dom jest z miejscem intymnym, ale tu mnie prof. Zanussi zaskoczył, dlatego że miałem nieograniczone pole manewru. Nie przeżyłem jeszcze czegoś takiego, żebym w domach VIP-ów, z reguły bardzo dbających o tzw. wizerunek, mógł poruszać się, gdzie chcę i jak chcę. W olbrzymich przestrzeniach domu państwa Zanussich w Laskach miałem nieograniczony dostęp do wszystkich pomieszczeń. Jako fotograf często wchodzę w sferę intymne fotografowanych przeze mnie osób, zarówno te fizyczne, jak i emocjonalne. Słynny fotograf francuski Henri Cartier-Bresson miał ponoć stwierdzić, że zrobienie dobrego portretu to są próby wchodzenia z aparatem pomiędzy skórę a koszulę fotografowanej osoby. Jest w tym stwierdzeniu sporo prawdy. Przy okazji stykania się z intymnością moich modeli pojawia się często problem autocenzury. Podam przykład dość odległy od projektu *Zanussi. Przez przedmioty*. Otóż realizowałem swego czasu



Lód na Missisipi. Zdjęcie z tomiku wierszy Barbary Gruski-Zych „Cały ten świat”. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, 2025

na Sri Lance projekt na zlecenie holenderskiej organizacji pomocowej, która odbudowywała zniszczone 28-letnią wojną domową wioski. Niestety, tylko część mieszkańców mogła liczyć na otrzymanie nowego domu. Fotografowałem więc szalas po szalasie i każdy blaszany barak, w których mieszkali uchodźcy, wiedząc, że zdjęcia potem będą służyły komisji przy podejmowaniu decyzji. W pewnym momencie trafiłem na bardzo sympatycznych ludzi, których poznałem już wcześniej i którzy pomogli mi w kilku drobnych sprawach. Ojciec tej rodziny wyleciał na minie w powietrze i wykrwawił się, zanim nadeszła pomoc, matka samotnie wychowywała trzy córki. Niestety w baraku panował trudny do opisanego bałagan, brud, śmieci wały się wszędzie i widać było ślady po niedawnej libacji alkoholowej. Kobiety w dobrej wierze wpuściły mnie wszędzie, do każdego pomieszczenia, przekonane, że to dla nich dobrze, iż fotografuję ich biedę. Nie zdawały sobie sprawy, że zastany przeze mnie obraz jest raczej dla nich dyskwalifikujący, czego ja miałem pełną świadomość. Więc z pojęciem intymności i wchodzenia „między skórę a koszulę” pojawia się często problem autocenzury lub raczej potencjalnej autocenzury.

Odkrywa Pan biografie poszczególnych ludzi ale również społeczności?

Tak. Oprócz fotografowania pojedynczych osób, z reguły są to tzw. portrety środowiskowe, chętnie zajmuję się wizualnym ogarnianiem całych grup, często w ramach jakiegoś projektu lub zlecenia. Jednakże to odkrywanie biografii całych społeczności jest z reguły bardzo czasochłonne. I tak mój projekt *Kalejdoskop Śląski 1919-2018. Świadkowie historii, entuzjaści, marzyciele*, w którym sportretowałem 100 osób związanych ze Śląskiem, urodzonych pomiędzy 1919 a 2018 rokiem, trwał aż 6 lat. Wymagał ode mnie bardzo żmudnych

poszukiwań w Internecie, prasie drukowanej i książkach o Śląsku. Wypytywania znajomych, bezustannego poszukiwania odpowiednich osób, no i wreszcie licznych podróży od Zgorzelca po Katowice, by przeprowadzić sesje fotograficzne i zebrać notki biograficzne. Następnie zebrane wywiady trzeba było weryfikować, co zwłaszcza w przypadku świadków historii często było problematyczne i wymagało sięgania do opracowań historycznych, a nawet konsultacji z fachowcami.

Bycie dokumentalistą nie jest więc prostą sprawą?

Często też, aby zająć się jakąś społecznością, muszę się przemieszczać do odległych zakątków naszej planety. *Kalejdoskop Polski Chicago*, jak łatwo się domysleć, wymagał ode mnie długich pobytów w USA, co niosło za sobą różne wyrzeczenia, np. wyjazdy za ocean odbywały się kosztem zatrzymywania różnych projektów i zleceń, które miały być realizowane w tym czasie w Polsce czy Niemczech. To aspekt pragmatyczny. Ale istotniejsza w zawodzie fotografa prowadzącego samodzielne, często kompleksowe projekty dokumentalne jest kwestia odpowiedzialności za zrozumienie, ujęcie i odpowiednie przedstawienie tematu. Podobnie ma się rzecz z dziennikarzami – oni też kształtują otoczenie i dokumentują w sposób (subiektywny) rzeczywistość. Ta świadomość bycia odpowiedzialnym musi towarzyszyć dokumentaliście na wszystkich etapach wykonywania projektu.

Jest Pan także wykładowcą akademickim. Chciałem zapytać, jaka jest kondycja studentów wybierających naukę fotografowania, bo w polskiej szkole sztuce fotografii nie poświęca się wiele uwagi?



Zdjęcie z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, Wydawnictwo Ursines, 2025

Nie tylko akademickim. Prowadziłem co prawda studia podyplomowe z fotografii w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach (obecnie Akademii Śląskiej), ale też sporo kursów dla młodzieży w Polsce i Niemczech, a nawet przez jeden semestr zajęcia z fotografii na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Katowicach. Przyglądając się kondycji uczestników zajęć mogę stwierdzić, że jest to dość złożony problem. Bo z jednej strony, w trzeciej dekadzie XXI wieku Polacy mają wyrafinowany sprzęt fotograficzny, posiadają dostęp do książek i albumów autorów z całego świata, materiałów edukacyjnych online bez potrzeby wychodzenia z domu, mogą jeździć i jeżdżą po wszystkich kontynentach w poszukiwaniu tematu, a z drugiej strony... No właśnie, jest to „ale”. Za bardzo wierzymy, że sprzęt ma decydujące znaczenie. To niestety wynik intensywnych działań marketingowych producentów i sprzedawców aparatów i obiektywów. Często na moich zajęciach pojawiają się ludzie sfrustrowani brakiem dobrych zdjęć, pomimo posiadania drogiego sprzętu. Trzeba zaczynać od podstaw, nauczyć się „czytać” i rozumieć zdjęcia wielkich mistrzów, które powstawały często w zamierzonych czasach za pomocą bardzo prymitywnego i często zawodnego sprzętu. Trzeba zwrócić się w stronę własnego wnętrza, zmierzyć się z własną empatią, stroną emocjonalną własnego „ja”, ale także własnych za interesowań i wreszcie zastanowić nad motywacją zajmowania się tym, a nie innym tematem. Tu najczęściej leży klucz do sukcesu.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.



Zdjęcie z książki „Zanussi. Przez przedmioty”, Wydawnictwo Ursines, 2025

Sny

W dzień – wszyscy tutaj; w nocy nas rozmiata
Szkwał snów: każdego do innego świata.

Do Elektry

Nie żądam pocałunku,
Nie śmiem prosić o uśmiech,
Po takim podarunku
Wbiłbym się pewnie w dumę.

Szczęściem będzie największym,
Czuć się będę jak w niebie,
Gdy ucałuję wietrzyk,
Który całował ciebie.



Robert Herrick (1591–1674), angielski poeta i duchowny, kontynuator tradycji elżbietańskiej, zaliczany do szkoły Cavalier Poets. Sławę przyniósł mu tom *Hesperides* (1648), zbiór 1200 liryków miłosnych i epigramatów.

Piekło

Piekło – miejsce, gdzie człek wyje okrutnie chłostany,
A nie masz tam nikogo, by opatrzył rany.

Niebo

Niebo to samo piękno; piękniejsza Istota,
Co stworzyła dla nas taki cudny Okap.

Wypisy z dziennika 2024 (5)

ALOJZY LYSKO

30 lipca, wtorek.

Upały nie do zniesienia. Szukamy w domu miejsc chłodniejszych, żeby się przed gorącem bronić. Pod wieczór, gdy słońce nieco zelżało, spacerowałem po ogrodzie i dumalem nad swym życiem. Przeleciało jak mgnienie oka, ale było bogate w przeżycia. Raz pomyślne, innym razem pełne utrapień. Niezmiennie jednak naszą radością były dzieci, które nie przysparzały nam większych zmartwień – dobrze się zachowywały i uczyły w szkołach, chętnie pomagały nam w domowych pracach, trzymały się rodziny, miejsca urodzenia, rodzinnych stron. Teraz, kiedy dorosły, dbają o nas. W tym roku sprawiły nam dwa udogodnienia: zainstalowały automatycznego kosiarza, który przyszyrzy trawniki w ogrodzie oraz urządzenie klimatyczne w domu. Właśnie dzisiaj, podczas tego dokuczliwego upału, zostało ono uruchomione. Ulga! Wystarczy wejść do pomieszczenia, gdzie owo dobrodziejstwo działa aby zaraz zaznać trochę ochłody.

31 lipiec, środa.

Panie Boże, dziękuję za przeżyty kolejny miesiąc. Nie był zbyt pomyślny, bo trapiła choroba, dokuczał upał. Jakoś jednak przeżyty! I za to przeżycie dziękuję. Dzisiaj przypadkowo natrafiłem w swojej bibliotece na jeden z Zeszytów Bieruńskich, gdzie przeczytałem ciekawy tekst autorstwa Przemysława Nadolskiego. Czytam w nim:

„Kolej Górnośląska z węzłem w Nowym Bieruniu miała być ogniwem pośrednim łączącym w europejskiej sieci kolejowej Adriatyk z Bałtykiem oraz Morze Czarne z Morzem Północnym. Tutaj zbiegać się miały trasy z Wiednia, Berlina, Drezna, Wrocławia i Warszawy. Ten odcinek kolei miał być czynnikiem przyspieszającym rozwój całego okręgu Górnego Śląska...

Pierwsze prace nad tym projektem rozpoczęły się już w 1837 roku.

W 1842 wytyczono i zbudowano trasę Wrocław-Brzeg, w 1843 trasę do Opola, w 1845 – do Gliwic a w 1846 do Mysłowic.

Oficjalne uruchomienie odcinka kolei Mysłowice-Nowy Bieruń, połączone z otwarciem nowego dworca nastąpiło 25 czerwca 1859 roku zaś przedłużenie kolei (po wybudowaniu mostu nad Wisłą) do Oświęcimia nastąpiło w 1863 roku.

Wszystkie te daty godne są zapamiętania, gdyż od nich rozpoczyna się nowy rozdział historii każdej prawie rodziny obecnego powiatu bieruńsko-lędzińskiego. Mojej także. Dużo by o tym pisać. Napomknę tylko, że z dworca nowobieruńskiego odjechał na zawsze jesienią 1942 roku na ostry front mój ojciec. Przez cały okres wojny odjechało stamtąd na wojnę kilka tysięcy mężczyzn z naszych stron. Nie wszyscy wrócili, a ci, co szczęśliwie powrócili, ze łzami w oczach chcieli na kolanach wleść się pod rodzinne strzechy, co tak dziękowali Bogu za przeżycie.

1 sierpnia, czwartek.

Wczoraj miałem umówione spotkanie z red. Tomaszem Borówką, którego publikacje wysoko oceniam. Rozmawialiśmy o niedawnej premierze monodramu *Godajom mi Helmut*, a szczególnie o Sławomirze Rosowskim – wykonawcy głównej roli. Ten emerytowany górnik, pasjonat żywego słowa, zwłaszcza śląskiego, ukazał całą głębię duchowości śląskiej. Podczas rozmowy nieustannie towarzyszyła nam refleksja: zabawy Górnoślązaków w teatr trwają już dobre sto lat. Przez amatorskie sceny przewinęło się już setki aktorów grających sztuki rodzimych twórców. Nie znamy ich wszystkich, ale na podstawie gry Sławka Rosowskiego z Bierunia potrafimy sobie wyobrazić, ilu wspaniałych aktorów, prawdziwych artystów wydała śląska ziemia. Cieszyć się więc trzeba, że teatry amatorskie wciąż istnieją, wciąż grają, wciąż ich aktorzy otwierają swoje dusze, ukazując piękno i moc śląskiego ducha.

2 sierpnia, piątek.

Ojciec urodził się w 1912 roku jako syn pierworodny. Po nim na świat przyszło jeszcze dwóch jego braci zanim na wojnę nie zabrano im rodzi-

ciela. Wojenna bieda tych młodszych pozbawiła życia. On przetrwał. Po wojnie doczekał siostry Marty a później jeszcze troje następnych, wśród nich brata Pawła. Wymieniam z imienia tylko dwoje z rodzeństwa, bo pozostałych zmiołły choroby – 1919 roku grypa „hiszpanka” i w 1926 roku epidemia czerwoni. W okresie międzywojennym żyło ich więc tylko troje. „Przoli se”, pomagali w biedzie i naiwnie wierzyli, iż nadejdą czasy na szczęśliwsze życie. Ogromnie się zawiedli, bo wybuchła druga wojna światowa. Życie utracił zarówno najmłodszy Paweł (pod Smoleńskiem), jak i najstarszy – mój ojciec (na Ukrainie). Życie zachowała tylko Marta. Jedna jedyna z ośmiu rodzeństwa.

Taki był los mojej rodziny, takie były losy tysięcy górnośląskich rodzin w XX wieku.

3 sierpnia, sobota.

A w wolnych od rozmyślań osobistych chwilach, zerkam w telewizor. W Paryżu trwa Olimpiada. Naszym idzie kiego. Na razie mamy tylko cztery medale. Wszystkie zdobyły kobiety. Pewna faworytka do olimpijskiego złota – Iga Świątek niestety przegrała z Chiną. Dostrzegam podczas kibicowania dość liczne przypadki faworyzowania Francuzów przez sędziów. Wczoraj to było jaskrawo widoczne przy sędziowaniu meczu siatkarskiego Francja-Niemcy 3:2. Odechciecia się sportu po tak żenującym popisie arbitrow. Całe Bojszowy są też zbulwersowane wykluczeniem ze startu w maratonie naszego bojszowskiego olimpijczyka Dawida Tomalę, który sie tak pięknie spisał na poprzedniej olimpiadzie zdobywając złoty medal. Doprawdy to skandal! Kto go wykluczył, kto za tym stoi? Dlaczego?

4 sierpnia, sobota.

Radosny dzień. Syn przyniósł z Biblioteki Śląskiej niezwykłą książkę: *Umykanie czyli pomyslenia z etnografii życia Wojciecha Burszty (1957-2021)* autorstwa Marcina Kafara. Zaiste niezwykła książka, pełna nowych pojęć naukowych, życiowych mądrości, gotowych cytatów. Np.

„Dokonując wiwisekcji życia, zauważy się, iż drzewo życia powoli przeobraża się w drzewo śmierci...”. „Pod koniec życia dostrzega się ze zdumieniem mitologiczny wręcz powrót do początków(...) dociera się do zasypianych w piwnicy wspomnień, nieoczywistych pokładów świadomości stanowiących swoisty kataster etnografii życia...”. „Etnografia życia jako kataster umykania jest w istocie rachunkiem sumienia, próbą odpomniania i unaocznienia tych momentów, wartości, postaci, zdarzeń i przeżyć światła, które w swoim życiu kiedyś się praktykowało lecz traktowało marginesowo albo wręcz nie dostrzegano”.

Kiedy czytałem tę książkę, widziałem w niej siebie. Przecież dzieło Krystiana Węgrzynka *Śląskiem wiedziony* o mnie jest niczym innym, tylko etnografią mojego życia. Jest niczym innym, tylko wydobywaniem z mojej „piwnicy wspomnień” zdarzeń, postaci i przeżyć mojego świata.

Uwierzyć nie mogę, że książka *Umykanie*... M. Kafara dostała się w moje ręce teraz, gdy w drukarni cieszyńskiej przygotowuje się do wydania moja „etnografia życia” czyli opowieści biograficznej Śląskiem wiedziony. Jak to się czasem w życiu dziwnie układa, że czyjaś historia życia dokładnie przylega do innej historii.

8 sierpnia, czwartek.

Żyję *Umykaniem*... Burszty. Zaczę więc od cytatu z jego książki: „Śmiertelny czas życia zamienia się powoli w nieśmiertelny czas dzieła”. Trzeba się oswoić z tą myślą, zwłaszcza dziś, kiedy mam niewesołe wieści. Całą tegoroczną wiosnę kwękałem, ale wierzyłem, że mi to wraz z pięknym ciepłym latem przejdzie. Tymczasem... Po 11 latach uśpienia mój śmiertelny wróg – szpicak mnogi, zagnieżdżony gdzieś kościach – wrócił. Wznowa! – orzekła pani hematolog, używając terminu z medycznego słownika. Zła to dla mnie wieść. Znów muszę podjąć desperacką walkę o przeżycie. Trochę pokrzepiły mnie słowa lekarki, która orzekła, iż



Oto moja żona Lucja. Razem idziemy przez życie już od 1960 roku. Wspólnie wybudowaliśmy dom, wychowaliśmy sześcioro dzieci. Pomagała dzieciom wychować ich dzieci, wspierała ich w potrzebach. Niestrudzona w utrzymaniu porządku i czystości w domu i obejściu, pieczołowita i dokładna w każdej robocie, zaradna, potrafiła wszystko naprawić, mądrze doradzić, zadecydować, pomóc w chorobach. Szanująca śląskie wartości. Znakomita kucharka i szwaczka. Pasjonatka krzyżówek. Szczęście naszego domu! Ozdoba rodzinnej ziemi. No i jak jej tu niey przoc?

nie jest jeszcze za późno, że teraz medycyna dysponuje skuteczniejszymi lekami niż było to dziesięć lat temu. Podałem się więc chemioterapii. Przez najbliższy miesiąc a może i dłużej muszę posłusznie wykonywać zalecenia lekarki: pod godziną połykać przepisane tabletki, odżywiać się według ustalonej diety, zrezygnować z wielu dotychczasowych zajęć itd. Czy ze spotkań z czytelnikami też mam zrezygnować? Tak, też! Czy z pisania? Pisać i czytać mogę, na szczęście.

10 sierpnia, sobota.

Minęła magiczna noc. Noc spadających gwiazd. Od dziecka noszę w sobie piękno tej nocy. To piękno zaszczerpała mi babka Marianna, często opowiadając, w różnych wersjach, pewną historię z życia mojego ojca.

– Kiej twój ojciec był dorastającym synkiem, trzymał się swego rodziciela. Wszystko w gospodarce go interesowało. Dużo się pytał, od małego chytał się kosi, pługa, lycop. A ino chcioł formanic, futrować konie, naprawiać rolnicze nocznia. Niy zgłobił z kolegami, niy pochoł bele kaj, niy zajmował się gupotami – ino zawdy urobił z ojcem.

– Ojciec mu strasnie przol. W nim widziol swego nostympcy. I roz uszyli my pod Korzyńnym siyrpniowy potrow. Mielimy tego siana duzo, tóż zwozili my go do późna. Już się cmiło, jak my brali ostatnio fōra. My baby szły do dom piechty. Ōni, oba gospodorze, na fōrze pełnej siana. Jak jechali bez las, nieba niy widzieli. Dopiero jak wyjechali z lasa na puste pola, nad nimi pokozalo sie piykne siyrpniowe niebo pełne gwiozd. A twój ojciec, synku, miol upodobani do wszystkiego, co było piykne. Leżoł na tyj fōrze, na tym woniōnym sianie i patrzył we wygwieżdzone niebo. Jednym razem głośno zawołał: – Tato, tato! Gwiozda! Ō! drugo... Trzecio!

Jeju! Wiele to tych gwiozd dzisio leci... Bo to było w noc św. Wawrzyńca. A ojciec mu pado: – Licz jich, licz... Wiele jich naliczysz, tela lot bydziesz szczęśliwie żył.

Niy wiedziol, borok, że on bydzie żył jeszcze ino pora miesiyncy a jego syn a twój tata, pōdzie chneda na wojna, kiero go zniszczy.

– Tela jim szczęście te spadajōnce gwiozdy wywrōżyły... Lepij, synku niy licz wieczorami gwiozd... Żyj! Ciesz się życiem, ale gwiozd niy licz!

15 sierpnia, czwartek.

„Praca przemysłowa na Górnym Śląsku stała się laboratorium społecznym, w którym testowano pokojową i efektywną współpracę ludzi różnych kultur i języków. Społeczność tę cechuje brak lęku przed maszynami, wysoki poziom kompetencji technicznych oraz skłonność do innowacji. Jak mówi śląski pisarz Alojzy Lysko: „Ślązak, jak idzie przez życie, zostawia za sobą zagospodarowany świat” – tak napisał w artykule wstępnym „Polityki” (we wkładce o Roku Nauki na Górnym Śląsku) prof. Ryszard Koziol – rektor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

W rzeczy samej. Nauka – jak ktoś inny powiedział – to ikoniczny wręcz znak naszego regionu. Trzeba ją pobudzać, wspomagać, rozwijać bo jest ona motorem postępu.

Nie ukrywam, jest mi miło czytać teksty, w których cytuję moje słowa ktoś o takim autorytecie, jak rektor uniwersytetu.

16 sierpnia, piątek.

Każdego roku o tej porze w naszej Rodzinie zbiera się na polach i w ogrodach uświęcone tradycją kwiaty, zioła, kłosy zbóż i niektóre owoce do jedynych w rodzaju bukietów. Znosi się je do kościoła, aby poświęcić. Mają w ten sposób nabrać owej magicznej właściwości pomagania ludziom i domowym zwierzętom w chorobach, strzec przed złymi mocami i stanąć gdzieś w domu zasuszone piękno minionego lata.

Żona z córkami uwiły kilka takich bukietów, które wnuczki zaniosły wczoraj Paniencie Bojszowskiej do poświęcenia. Poświęcone „zieli” (tak to nazywamy po śląsku) rozdajemy całej rodzinie.

Kocham ten zwyczaj! Atawistycznie wyczuwam w nim relikty dawnej kultury celtyckiej. Żyć z przyrodą! Nie wyrwać życiowych korzeni z prawniejszej rodnio! „Być sobą u siebie”.

A oto składniki „ziela pszczyńskiego” w ludowych nazwach: zbierane na polach – kłosy żyta, pszenicy, jęczmienia i owa, knefliki (wrotycz), nawłoc, głowocze (krwiściagi), paniencyne warkoczki (?); zbierane w ogrodzie – fefermanica (mięta), melisa, tymianek, lubczyk, boże drzywko (piołun), jabłko, grono wina, marchew, floksy, jorginie (dalie), loskowe róże (malwy), nagietek i astrzy.

22 sierpnia, czwartek.

Na nocnym niebie pokazała się kometa (z grecka: *kometes* znaczy *długowłosa*). Starzy zawsze mówili, że to zły znak, bo wróży jakąś katastrofę. Jaką? W telewizji pewien astronom wyjaśniał, że kometa to ciało kosmiczne składające się z okruchów skalnych, lodu, pyłów i gazów, m.in. dwutlenek węgla, metan, amoniak. Krążące po swobodzie, najczęściej eliptycznie, ciągnie za sobą długi ogon, ma różną wielkość – od kilkunastu metrów do kilkudziesięciu kilometrów. O jej rozmiarach decyduje *głowa* komety (jądro) i *warkocz* czyli ów ogon. Kometa, która się teraz ukazała, niesie dużo wody i zwiastuje powódzie – przepowiedział astronom. Czy można mu wierzyć?

24 sierpnia, sobota.

Doczekaliśmy z małżonką niezwyklej chwili – Diamentowych Godów czyli 60-letniego wspólnego pożycia małżeńskiego. Jubileusz zbiegł się z dniem ukazania się książki napisanej przez dr. Krystiana Węgrzynka pt. *Śląskiem wiedziony – opowieść biograficzna*. Z okazji obu tych okoliczności, spotkaliśmy się na radosnej uroczystości w Jedlinie – pięknej miejscowości nad Wisłą i razem, cała nasza rodzina, Autor książki oraz Wydawca p. Bernard Bednorz świętowaliśmy jubileusz. Dla mnie osobiście święto, choć radosne, przebiegało w stanie fatalnej kondycji fizycznej. Cierpiałem, ledwo stałem na nogach, w oczach miałem mroki, byłem bowiem w środku pierwszej rundy zniewalającej organizmu chemioterapii. Jednak po męsku dotrwałem do końca przemilej dla całej Rodziny uroczystości. Jeszcze raz pokonałem słabość ciała, jeszcze raz w życiu zwyciężyła we mnie siła ducha. Wiem, komu mam za to podziękować!

Weronika (wnuczka)

napierdała przez telefon
o dupie Marynie o Bielsku-Białej

Gemini o McDonalddie
o frytkach hamburgerach sosach

mankach na stacji benzynowej
o kotach lisach i pająkach

i tak mi przerywa pisany poemat

Psychoanaliza

kilka razy w tygodniu
na kozetce w gabinecie z oknem

opowiadam sny: o wodach płodowych

jest ciepło w macicy ciemno cicho
chcę tu zasnąć zastać

otwiera się nieomknięte okno
wpada czarny ptak

dziobie we mnie pępownię córki
pierworodnej

Fazy księżycza

środa 18 września 2024 pełnia

Księżyc Żniwiarzy ścina zboża trawy
przestrzeń kobietę mężczyznę i dziecko

czasem kota i kwiat w oknie

cztery dni po pełni równonoc jesienna
od teraz będę czekać do równonocy wiosennej

do czwartku 20 marca 2025 roku do godziny 10:00
może się obudzę

Litania

matko bogów z głową pod pachą
wysłuchaj moich jelit w słońcu

matko brzemienna pokaż swoje łono
oślinionej gawiedzi nie wiedzą co czynią w miłości

módl się za nami matko pożądliva wieżo z mleka
napelnij mnie wiarą wyciągnij z kadzi

matko mej głowy i obnażenia języka
przygarnij mnie oplutą niebem

matko święta niepokalana
matko po której przeszły hordy

wysłuchaj mojej krwi wieżo wody matko przyływu
wypluj mnie z brzucha w morze



rys. Bogna Skwara

Pielgrzym

wracasz rzeźbić w śnie anioły
krew twoja płonie w pamięci dym plugawi kości

odchodzę z tobą od stołu
otwieram tabernakulum twego brzucha

ścieram blizny tatuaże

chcesz posypać głowę w pokorze śniegu
gdy odwrócone języki zwierząt goją ci rany

gdy ziemia podnosi nogi odchodzisz słodki jak lód
ujadając na miłość na śmierć

Magdalena

ja suka mleczna wychudzona przy twoim umieraniu
ty mesjaszu biczowany wołasz przekłete Jeruzalem

ja w moim łonie ronię twoją świętość i bolesną śmierć
wiarołomna grzeszna od ziemi do nieba

Jeździec

koniom z pysków cieknie złoty pył zachodu
choćbyś z tego ognisko nieba wydłubał

i tak zdycha ci koń dłużej nie będziesz patrzył

masz serce obrzezane a nie wiesz kiedy dokonano
rytuału czystości boś w sen zapadał wieczny

sam byłeś jak bóg jak pies
językiem wysuszałeś kryptę miłości

klacz wysiadywała źrebię klęczałeś głuchy u stóp
święty byłby ci łaskaw ale odgryzłeś pierś klaczy

mleczność bieli sypie kopyta gwiazd z otwartej stajni nieba
i nic na ziemi nie słyhać prócz płaczu i ciebie i płaczu



Koniec mitycznej Polski

JAROSŁAW KAPSA

Konieczpol, wbrew nazwie, znajduje się w centrum Rzeczypospolitej, lecz zaopóźnienia i zaniedbania rozwojowe sytuują go bliżej końca. Ot, taka „ściana wschodnia”; tak, dość niesprawiedliwie, określa się podziały na Polskę A, B, C itd. Wskaźniki demograficzne potwierdzają negatywny odbiór: jest to miejsce, z którego młodzi uciekają, a starzy stracili nadzieję na lepsze życie. Chcąc pogłębić nastroj depresyjny, na wycieczkę w konieczpolskie strony zabrać można Franciszka Starowieyskiego opowieść o końcu świata Krystyny Uniechowskiej, opisującą dolę ziemianstwa na ziemi konieczpolskiej w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej.

Konieczpol był w 1939 r. niedużym miastem liczącym ok. 3 tys. mieszkańców, w tym połowa z nich była wierzącymi Żydami. Miasto, od swego powstania, przytulało się do pałacu magnackiego rodu Konieczpolskich w Chrzastowie. Rynek, obudowany niskimi, murowanymi kamieniczkami, sąsiadował z murem oddzielającym pałac od żydowskiego sąsiedztwa. Łącznikiem, dość niefortunnym, był barokowy kościół p.w. św. Trójcy. Synagoga znajdowała się po przeciwnej stronie centrum, tam, gdzie mieszkali katolicy. Zatem lokalizacja przestrzenna wymuszała sobotnio-niedzielny kompromis, zgodny ze staromodną zasadą „żyj i pozwól żyć innym”. Brutalność II wojny narzuciła inną normę: „żyj i pożrzyj innych”; konieczpolska tożsamość została wymordowana. Mieszkańców tułuskiego getta wywieziono we wrześniu 1942 r. do Częstochowy, a stąd do stacji końcowej człowieczeństwa – Treblinki. Tego końca świata Starowieyski nie zauważył. W krainie kanibali przetrwanie wymagało zamknięcia się w kokonie bezpiecznej swojskości; bliższe było cierpienie najbliższych, niż tragedia osób, których nie dostrzegano, z którymi się nie przyjaźniono, z którymi nie chodzono do szkół, na wycieczki i polowania, nie byli uczestnikami rodzinnych lub towarzyskich zjazdów. Był mur oddzielający pałac od miasta, sztetl od wsi; a nawet gdyby go fizycznie nie było, to w świadomości ludzi wyryte były wyraźne granice: kto swój, kto obcy, kto Żyd, kto szlachcic, kto chłop na swojej ziemi, kto fernal u dworu... Tych za murem nie dostrzegano...

Koniec świat Starowieyskiego nastąpił, gdy ogień zniszczył pałac Ko-

niecpolskich. Opowiadał: „Więc już po tym niby wyzwoleniu – klęski nadal pieczętowały tragiczny los polskich dworów. (...). Drugi, który uległ tragicznej zagładzie, był Chrzastów. Pamiętam, że kiedy nadeszła ta wiadomość, jeszcze się ludzono, że może to plotka. Niestety, nic tam nie ocalało (...). Chrzastów to był skarb narodu. Przedmioty, jakie tam się znajdowały, były równe absolutnie wszystkim innym z najwspanialszych rezydencji: Podhorców, Nieborowa (...) A Chrzastów to była sama historia Polski (...). Tam nawet nie dałoby się przedstawić żadnego mebla – tak zdawały się być wrośnięte przez wieki we wnętrze. Na ścianach było gęsto od portretów, pamiątek. Pamiętam szafy z orderami, gabloty z ogromną kolekcją motyli (...). Nigdy potem nie widziałem rezydencji, gdzie tak nawarstwiły się rzeczy pokoleń (...). Tak wraz z unicestwieniem Chrzastowa zdaliśmy sobie sprawę, że prawdziwa historia kraju odpływa, że spopiela się w ogniu jej materialne świadectwo” (s. 93).

Pałac w Konieczpolu spłonął 20 stycznia 1945 r. W czasie okupacji Niemcy zajęli budynek, na wygnanie udał się właściciel Paweł Potocki. Nie wiadomo nic o skali rabunku dóbr chrzastowskich przez niemieckich okupantów, opuszczających pałac 17 stycznia. Obiekt pozostał bezpieczny, właściciel ukrywał się w Krakowie przed nową władzą; tam zginął tragicznie 8 czerwca 1945 r. uciekając przed aresztowaniem. Nieznana jest przyczyna pożaru, nie wiadomo, czy miejscowa straż ogniowa próbowała ratować dobra kultury...

Pałac, a raczej jego kikuty, stał porzucony do 1958 r. Potem zaczęły inwestować w jego odbudowę miejscowe Zakłady Płyt Pileśniowych. Zakłady były klubem PRL-owskiej gospodarki, odmienić miały zaniedbany Konieczpol. W siedzibie Konieczpolskich i Potockich powstał dom kultury, obok wybudowano basen kąpielowy, hotel, inne obiekty rekreacyjno-sportowe. W 1975 r., po powstaniu województwa, ten „zespół kulturalno-sportowy” przejęła gmina. Nie był to już pałac opisywany przez Starowieyskiego, przebudowy zniszczyły oryginalny urok wnętrza, niewiadomy był los wyposażenia, bo podobno nie wszystkim pochłonął tragiczny pożar. Gdy na-

stała epoka odrodzonego samorządu, o pałac upomniał się potomek właściciela Paweł Potocki. Z obiektu wyprowadzono gminne ośrodki kultury i sportu; po czym obiekt stał beczynnie pustą, przez ciągnący się 10 lat proces reprivatyzacyjny. Gdy Potocki odzyskał „dumą rodową”, okazało się, że eks-arystokratę nie stać ani na odbudowę, ani na utrzymanie. Pałac trafił w ręce prywatne i w nich niszczał nadal. Rok temu z inicjatywy gminy, w drodze przetargu, pałac kupił kolejny prywatny właściciel. Rozgorzały nadzieje, może tym razem ktoś zadba o skarb narodowy...

Tak w PRL, jak i obecnie, agendy rządu dokumentują straty kultury narodowej spowodowane agresją i rabunkiem przez Niemców. Tak w PRL, jak i obecnie, nie liczy się strat kultury narodowej dokonanych rabunkiem własności prywatnej, nazywanym reformą rolną. Taka notacja zderzyłaby się z problemem doktrynalnym: czy można posądzać naród o niszczenie własnej kultury... Dostrzegano „błędy i wypaczenia”, ale istotniejszym argumentem była sprawiedliwość dziejowa. Sprawiedliwość wymagała, by odebrać własność z rąk klasy wyzyskiwawcy, oddać ją wyzyskiwanemu ludowi. Tylko drogą rewolucyjnych zmian prywatne kolekcje sztuki trafić mogły do narodowych instytucji kultury udostępniających je robotnikom i chłopom. Rewolucja unarodowiła kulturę. W Chrzastowie spłonęła szlachecka historia Polski, na zgłiszczach budowano historię ludową.

Gdy dyskutowano o reprivatyzacji, milczano o zwrocie zrabowanych dóbr kultury. Bez nich zubożałyby muzea w Częstochowie, Radomsku, Kielcach, Piotrkowie Trybunalskim... wyliczam tu tylko placówki, do których trafiło mienie zrabowane w regionie częstochowskim. Z podobnych względów zamarła dyskusja o reprivatyzacji majątków ziemskich. Sprawiedliwość dziejowa ponoć zakazywała odbierania chłopom ziemi nadanej w drodze reformy. Reprivatyzacja, bardziej „dzika” niż ustawowa, dotyczyła części dworów, pałaców, kamienic; opłacało się państwu pozbyć wyeksploatowanych i zrujnowanych nieruchomości. W części przypadków efekt tego jest taki, jak w Konieczpolu. Niegdyś pałace utrzymywane były z majątków ziemskich; kto dziś stać na

odbudowę i utrzymanie bez zaplecza gospodarczego...

Wojewódzki Pełnomocnik ds. reformy rolnej wyznaczył w powiecie częstochowskim 50 majątków do parcelacji. Do dużych należały: Złoty Potok (6 239 ha, w tym ziemie orne 269, park 60 ha, lasy 5656 ha; właściciel – Karol Raczyński); Lipie (1681,7 ha, orne 675 ha, lasy 798 ha, właściciel Aleksander Steinhagen); Parzymiechy (1524,9 ha, lasy 1206 ha, wł. Karol Potocki); Złotolasy (1983 orne 28 ha, lasy 1730 ha, wł. Karol Steinhagen). Część majątku należała do podmiotów gospodarczych (Huta Stara 249 ha, Tow. Akcyjne Modrzejów; Wyczerpy Dolne, 318 ha, Huta Szkła Geislera, Wrzosa-wa 297 ha, Spółka Cementowa „Wyso-ka”, Konopiska – 914 ha, orne 288, lasy 499, T.A. Modrzejów). Średniej wielkości były m.in. Zarębice (528 ha, orne 202, lasy 122 ha, wł. Stefan Stojowski), Jaskrów (489 ha, orne 330, lasy 133, wł. Cyprian Apanowicz), Kościelec (256 ha, Stefan Wereszycki), Madalin (232 ha, wł. Kazimierz Górski), Walenców (118 ha, orne 58, las 44,8 ha wł. Jan i Stanisław Szancerowie), Wancerzów-Konin (319 ha, w tym orne 209 ha, wł. Karol Łącki), Małusy W. (448 ha, wł. Adolf Steinhagen), Zagórze (241 ha, lasy 48, wł. Karol Steinhagen), Rząsawy (402 ha, orne 227 ha, las 135 ha, wł. Ludomir Rogowski). Do mniejszych należały: Kamyk (113 ha, wł. Zandstern), Klepaczka (67,6 ha, wł. Juliusz Buszel i Teofil Pol), Aleksandria (102 ha, wł. Majer), Luśławice (66 ha, wł. Mosiek Rosenblum i Regina Majer), Popów (55 ha, wł. Lucjan Matysiewicz).

W powiecie włoszczowskim więcej było dużych posiadłości: Moskorzew (1537 ha, w tym lasy 907 ha), Chrzastów (3679, w tym orne 453, lasy 2757 ha) Nieznanowice (3387 ha, orne 754, lasy 2350 ha), Siedliska (1977 ha, lasy 1280 ha), Lasocin-Oleszno (4670 ha, lasy 3700 ha), Szczekociny (1492 ha, lasy 1094), Czarnca (2177 ha, w tym lasy 2034 ha), Secemin (1153 ha, lasy 880 ha). W powiecie zawierciańskim przeważały średniej wielkości gospodarstwa, największe związane były z przedsiębiorstwami lub gospodarką leśną: Żarki (1203 ha, lasy 1153 ha), Mijaczów (761 ha, orne 399 ha, lasy 253 ha), Zakłady „Poręba” Mrzy-głód (389 ha, lasy 161 ha), Cemento-wania Wysoka (870 ha), Rudniki (607 ha, lasy 280 ha) (Archiwum Państwo-we, Kielce, 21/317/12).

Dziś odkrywa się ślady po mitycznej, ziemiańskiej Atlantydzie. Stoją jeszcze dworek w Kamyku (dziś karczma w remoncie), park podworski w dzielnicy Częstochowy Rząsawy, dworek w Kościelcu (szkoła), dworki w Małusach, Żurawiu, Skrzydlowie (odrestaurowane przez obecnych właścicieli, rodzinę Lasockich) i inne – jedne sprywatyzowane i zadbane, inne zrujnowane. Dworów było więcej niż majątków do parce-

lacji. Przed wojną także była reforma rol-na; był także kryzys doprowadzający do upadłości gospodarstwa rolne. W czasie wojny Niemcy nacjonalizowali pol-ską i żydowską własność, co szczegól-nie widoczne było w zachodniej części powiatu częstochowskiego, wcielonej do Rzeszy. Majątek Potockiego w Pa-rzymiechach zmieniono na wzorcowe gospodarstwo SS, tworząc przy okazji obóz pracy niewolniczej.

Powojenna reforma rolna przejmowała majątki niemieckie na rzecz skarbu państwa, nie zwracając uwagi na prawa przedwojennych właścicieli. Konfiska-cie podlegał majątek niemiecki, nawet tych Niemców, którzy mieszkali tu po-nad 100 lat. Na zasadzie mienia porzuc-o-nego przejmowano rolne gospodarstwa osób narodowości żydowskiej. Dorzu-cano także do puli dzielonej w reformie rolnej majątki konfiskowane w drodze wyroków sądowych.

Nawet przy tych uzupełnieniach, zie-mi do podziału było zbyt mało. Lasy przejęto na własność państwa, podob-nie – powierzając spółdzielni „Samopo-moc Chłopska” – postąpiono z wszelki-mi formami przemysłu ziemiańskiego (gorzelnie, młyny, tartaki, przetwórnictwo spożywcze). Było to wbrew rozsądko-wi. Majątek, taki jak np. Złoty Potok Ra-czyńskich, stanowił gospodarczą całość. Uprawiano zboże, mając je w należącym do majątku młynie „Kołaczków”; gorszy produkt po przemiale trafiał jako kar-ma pstrągów hodowanych w zespole sta-wów. Ziemniaki z pól dworskich kiero-wano do fabryki przetwórczej w Julian-ce, powstałej jako spółka Raczyńskich z sąsiadującymi ziemianami. Drewno z dworskich lasów obrabiano w dwor-skim tartaku. Upaństwowienie rozbi-jało logiczną całość. Zwłaszcza, że po-przedzał je spontaniczny rabunek. Ra-bowali sowiści, rabowali miejscowi mi-licjanci, rabowali fernali i chłopci. Brali z fabryk to, co uważali za przydatne: skó-rzane pasy transmisyjne, części maszyn, zgromadzony zapas surowca. Ze stajni i obór dworskich zabierali wszystko, co w ich oczach miało wartość.

Podobnie jak za okupacji niemieckiej, tak i pod „władzą ludową” obowiązywa-ły kontyngenty. „Za Niemca”, wyznacza-no ogólną wielkość kontyngentu na całą wieś, sołtys zmuszony był do obciąże-nia indywidualnych gospodarstw. „Za demokracji” obciążenia kontyngentem wskazywała Gminna Rada Narodowa, której do demokracji było równie daleko jak z Koniecpola na Księżyc. Ponie-waż miasta głodowały, organizowano „brygady robotnicze”; aktywiści z często-chowskiej hutnicy jeździli po wsiach rabu-jąc zboże, ziemniaki, inwentarz zwierzę-cy. Franciszek Starowieyski opisywał, jak taka brygada bezmyślnie zabrała z dworu Komorowskich w Siedliskach specjal-nie wyselekcjonowane ziarno siewne.

Z tych brygad tworzone grupy, reali-zujące sprawiedliwość w ramach reformy rolnej. Pełnomocnikiem ds. reformy zo-stał w powiecie częstochowskim Franci-szek Jabłoński, hutnik, od 1945 r. akty-wista PPR. Rozpoczęto parcelację w spo-sób widowiskowy, organizując 25 marca 1945 r. wiec z udziałem władz central-nych, w majątku Raczyńskich w Złotym Potoku. Raczyńskich nie było, wygnali ich z pałacu Niemcy. Zgromadzonemu w parku dworskim fernalom i małorol-nym Jabłoński, wraz z przedstawicielem ministra rolnictwa, wręczał urzędowy „papier” oznaczający przydzielenie zie-mi z podzielonego majątku.

Rewolucja nie lubi bawić się w for-malności. Zgodnie z dekretem o refor-mie majątek powinien być najpierw wy-kupiony od właściciela; konfiskacie pod-legała ta część, która przekraczała 50 ha. Jeśli nie było możliwości wydzielenia „resztówki”, właściciel powinien otrzy-mać gospodarstwo na ziemiach odzyskanych lub odszkodowanie w postaci pensji urzędnika IX kategorii. To jed-nak była formalność, na którą nikt nie zwracał uwagi. Właściciele Koniecpola, Złotego Potoku, Siedlisk itp., wcześniej uciekli ze swych domów, nie spodzie-wając się niczego dobrego. W Garnku dziedzice majątku słynnego śpiewaka Edwarda Reszke, państwo Bilewiczow-ie, dostali „od władzy ludowej” nakaz wyprowadzenia się z dworu w ciągu go-dziny; mogli wywieźć najpotrzebniejsze rzeczy jedną furmanką użyczoną przez miejscowych chłopów. Zamiast propo-zycji odszkodowania ziemianie otrzy-mywali zakaz osiedlenia się bliżej niż 100 km. od swojego majątku. Nie mogli także zabierać ze swojego domu wy-posażenia lub urządzeń, które komitet parcelacyjny uznał za „własność ludu”.

Nie tylko ta krzywdą ziemian budziła u miejscowych chłopów odrazę. Wiek-sze rozgoryczenia powodował nadział ziemi. Starowieyski w swych wspomnie-niach trafnie opisał animozje na wsiach między chłopami posiadającymi własną ziemię a fernalami i innymi bezrolny-mi. Ziemia – zwłaszcza, że w powiecie dominowały gospodarstwa małe, po-niżej 3 ha – nie dawała bogactwa; często trudno było z niej wyżywić rodzinę. By-wało, że pracownik rolny zarabiał lepiej, pracował mniej i nie przejmował się nie-urodzajem lub kryzysem gospodarczym. Ale chłop z ziemią był, w opinii społecznej, kimś lepszym od fernala; za bezrol-nych nie wydawano chłopskich córek, dla chłopskich synów nie była partią „dziew-ka ze dworu”. Ta „niesprawiedliwość” mia-ła wg ideologów „nowej władzy” zostać zartata reformą. Pierwszeństwo uzyska-nia ziemi dworskiej mieli fernali, bezrol-ni, małorolni (poniżej 1 ha ziemi), w dal-szej kolejności przeznaczano parcelowa-ne grunty na wzmocnienie istniejących gospodarstw (do 5 ha). Wieś już przed

wojną gorączkowo oczekiwała reformy rolnej. Widziano ją jednak według przedwojennego wzoru; wtedy z parcelowanych dużych majątków chłopci mogli kupić ziemię, wspierał ich w tym kredyt z państwowego banku. Było to, w pojęciu chłopskim, uczciwe potraktowanie; własność to „rzecz święta”, nie można jej kraść, trzeba kupić. Kupno dyktuje także racjonalność użytkowania: jak kogoś nie stać na zakup, to tym bardziej nie stać go na właściwe użytkowanie. Reforma raziła swoją „niesprawiedliwością”. Ziemię zabierało właścicielom państwo, czyli nieokreślona władza, nie płacąc za to. Następnie tę zrabowaną ziemię sprzedawano. Owszem, cena była niewysoka, stosowano urzędowe przeliczenia wartości zboża, wedle którego wyznaczano wartość gruntu. Należność była rozłożona na spłaty wieloletnie do 20 lat. Tym niemniej władza występowała jako paser sprzedając coś, co ukradła. Obawiano się, że taka złodziejska metoda zostanie w przyszłości zakwestionowana przez „prawowitą władzę”, tym samym ziemia będzie odebrana nabywcom i zwrócona dawnym właścicielom.

Z tym poczuciem „niesprawiedliwości” reformy wiązały się negatywne doświadczenia z podziałem dokonywanym przez „komitety” parcelacyjne. Komitety tworzone być miały z przedstawicieli miejscowego chłopstwa, ale tylko bezrolnego i małorolnego. W praktyce decydowali wyznaczani odgórnie pełnomocnicy. Podział i nadanie ziemi nie jest czynnością prostą; geodezyjne wymierzenie działki nie oddaje jej rzeczywistej wartości; ziemia jest w jednym miejscu bardziej urodzajna (zadbana, nawożona, lepiej lub gorzej skomunikowana), w innym tylko nieprzydatnym odłogiem. Hutnik Jabłoński na tym się nie znał, podobnie inni przedstawiciele „brygad robotniczych”. W dodatku wskazany w dekrete priorytet w nadawaniu ziemi byłym partyzantom i ludowym żołnierzom, zmieniał się w uprzywilejowanie „swoich”, kolegów z lasu, aktywistów w budowaniu „nowego porządku” itd. Do wojewódzkiego pełnomocnika w Kielcach płynęły liczne skargi. W maju 1945 r. mieszkańcy Kossowa pisali o faworyzowaniu „swoich” i krzywdzeniu miejscowych, biednych chłopów. W tym samym czasie mieszkańcy Urzęd domagali się aresztowania i prowadzenia śledztwa wobec pełnomocnika gminnego Matyska. Wg skargi Matyszek dowolnie odbierał już rozdzielone parcele, wybierał z nich lepsze i nadawał ponownie swoim kolegom z partyzantki. Nie były to wypadki jednostkowe, w dodatku władza nie spieszyła się z nadawaniem formalnych aktów własności. W powiecie częstochowskim formalne nadanie aktem notarialnym przyznanej w czasie reformy ziemi odbywało się w 1946 r.,

a nawet w 1947 r. Przez ponad rok beneficjenci reformy nie mieli pewności, czy gospodarują na swoim...

Wiosną 1945 r. „Głos Narodu” (nr 42) informował o przebiegu reformy. Z 49 majątków o powierzchni 6334 ha, przewidzianych do reformy, rozparcelowano 29, łącznie 5000 ha.; 668 bezrolnych otrzymało 2147 ha, 1625 rodzin małorolnych – 2347 ha. Z rozdziału wyłączono 630 ha na szkoły i ośrodki specjalistyczne. Na szkoły gminne przeznaczono dwory: Zagórze, Zakrzew, Turów, Rząsawy, Kamyk, Zarębice, Dźbów ze stawami rybnymi; na szkoły powiatowe – Libidza, Małusy. Liceum ogólnokształcące powstało w Lipiu, szkoła ogrodnicza w Łojkach, liceum społeczne w dworach Wrzosowa i Kłobukowice. Państwowe ośrodki produkcji nasion utworzono w oparciu o dwory Zagórze i Jaskrów, ośrodek hodowli pstrągów w Złotym Potoku; w dworze w Wancerzowie uruchomiono ambulatorium weterynaryjne. W sierpniu 1946 r. „Głos Narodu” (nr 195) przedstawiał wyniki reformy w powiecie. „W powiecie częstochowskim są 4 ośrodki kultury rolnej a to Zarębice, Zagórze, Małusy Wielkie i Jaskrów, wyłączone od parcelacji. Na skutek zarządzenia Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego, 11 resztek poparcelacyjnych zostało przekazanych Związkowi Samopomocy Chłopskiej, 3 resztówki (Bystrznowice, Mokresz i Łojki) przeznaczono dla Miejskiej i Powiatowej Opieki Społecznej, pozostałych zaś 15 resztek przekazano na cele oświaty rolnej w powiecie. Po parcelacji majątków ziemskich zasadniczo w całości nie pozostał ani jeden majątek ponad 50 ha, wymienione zaś na wstępie cztery majątki, które pozostawiono na cele kultury rolnej, uległy tylko częściowej parcelacji. Obecnie Urzędy Ziemskie przystąpiły do regulowania tytułów własności parcel, przydzielonych w trybie dekretu PKWN o reformie rolnej z dnia 6 września 1944 r. po uprzednim przewłaszczeniu tychże majątków na rzecz Skarbu Państwa, a następnie na poszczególnych parcelantów. Wnioski w tej sprawie są już przesłane do Wydziału Hipotecznego nowopowstałego w Częstochowie Sądu Okręgowego”. Szczegółową informację przedstawiono także w piśmie „Repatriant” (1946, nr 41). Rozparcelowano 48 majątków ziemskich o ogólnym obszarze 8643,6 ha w następujący sposób: 440 rodzin służby folwarcznej otrzymało 1344,8 ha; 770 rodzin bezrolnych 1381,5 ha; 1062 rodzin małorolnych 1618,5 ha; 1179 rodzin 1592,8 ha; 207 rodzin średniorolnych otrzymało 2161,7 ha. Pozostały obszar podzielono na Samopomoc Chłopską, szkoły rolnicze, Ośrodki Kultury Rolnej, Opiekę Społeczną, ogródki działkowe dla robotników.

Zatem w rękach państwa pozostały cztery majątki (Zarębice 528 ha, Małusy Wlk. 448 ha, Zagórze 241 ha oraz Jaskrów 528 ha), wszystkie zakłady przetwórcze, wszystkie pałace, dwory i inne zabudowania dworskie. Był to wyraźny sygnał, że „nowa Polska” pójdzie drogą sowiecką, preferując „uspołecznianie” rolnictwa. Beneficjenci reformy, bezrolni i małorolni chłopci, także nie czuli się uszczęśliwieni. Dano im ziemię, ale nie pozyskali oni narzędzi do jej uprawiania, ziarna siewnego, inwentarza żywego, nawozów. Część z nich nie miała ani wiedzy, ani doświadczenia rolniczego. Większość parcelowanej ziemi pozostała wiosną nieobsiana, pomimo tego nie zmniejszono kontyngentów wymuszanych przez brygady robotnicze.

Biuro informacji i propagandy powiatu częstochowskiego odnotowało w maju 1946 r. nastroje wśród mieszkańców wsi. Wskazywano, że społeczeństwo w większości jest apolityczne, „myślące jedynie indywidualnie o swojej gospodarce”. W dyskusji z nim trzeba się zmierzyć z argumentami: „Co rząd uczynił dla rolnictwa? Twierdzi, że rozdał ziemię, lecz jak ta ziemia została rozdana? Czy dotarła w uczciwe ręce? (...) Czy jest uczciwe, aby chłop dawał zboże, mięso, wełnę, jaja, mleko i podatki, odrabiał szarwarki; przecież przy tym wszystkim zajęta jest cała jego rodzina, poczynawszy od 5-letniego dziecka (...) zapytują, czy to dziecko, które od najmłodszych lat pracuje, nie jest godne w zamian tych świadczeń rzeczowych, otrzymać parę deko cukru (...) Ile może chłop z 2 ha (...) sprzedać (...), aby chociaż w części ubrać rodzinę (...), czy koń obrobi ziemię nie będąc nakarmionym (...), to samo tyczyć się krów, świń, drobiu (...) Na takie argumenty wysuwane na zebraniach, prelegent nie znajduje odpowiedzi realnych, a tymi którymi chce operować trafiają w próżnię” (Archiwum Państwowe, Kielce, 21/319/28).

W opowieści Starowiejskiego starsi ziemianie biernie przyjmowali, jak dopust Boży, wyłączenie z majątku, wyrzucenie z domu, rabunek wielopokoleniowego dorobku rodowego. Młodzi się buntowali, ale z poczuciem całkowitej beznadziei. Widzieli gorliwość swojej służby, swoich chłopskich sąsiadów, w rabowaniu ziemiańskiego majątku. Wojna wzmocniła mury, nadal dostrzegano tylko krzywdę swoich bliskich, nie widząc tragedii u sąsiadów. Niechęć chłopów do szlachty była paliwem politycznym nowej władzy, reforma budowana na tym uczuciu miała zwiększyć na wsi sympatię do rządu. Sposób jej przeprowadzenia spowodował, że niechęć do „jaśniepaństwa” zmieniła się w nienawiść do „czerwonych pajaków”.

Smutny jest dziś widok pałacu w Koniecpolu. Tli się jednak nadzieja, że nowy właściciel przywróci mu dawny blask.

François Mauriac i zapasy materiału

JACEK OKOŃ

Wszystkie siedziby z lat dzieci-
nych, dziś całkowicie odmienione,
tkwią w tobie niezniszczalne; na
przykład dom w Langon...

F. Mauriac, *Prowincja*, tł. B. Hłasko

Laureat literackiej Nagrody Nobla z roku 1952, François Mauriac (1885–1970), przekonywał, że powieść powstaje z materiału nagromadzonego w pamięci autora, „z małżeństwa, jakie powieściopisarz zawiera z rzeczywistością”: „Nasze twory są ukształtowane z elementów wziętych z rzeczywistości; mniej lub bardziej zręcznie łączymy to, co daje nam obserwowanie innych ludzi oraz znajomość siebie”, a w innym miejscu tego samego eseju *Powieściopisarz i jego bohaterowie*: „Jak ptak złodziej, jak te sroki, które podobno dziobem chwytają błyskotki i ukrywają je na dnie gniazda, tak i artysta w dzieciństwie robi zapasy twarzy, sylwetek, słów; uderza go dany obraz, słowo czy anegdota...” (tł. B. Hłasko). Z podobnej metody korzystał Graham Greene, uprzedzając w przedmowie-dedykacji do *Trądu* (*A Burnt-Out Case*): „postacie te powstały z różnych fragmentów, które nagromadziły się przez trzydzieści lat pisarskiego żywota” (tł. A. Olędzka-Frybesowa).

Mauriac nie szukał pierwowzorów daleko. Był nie tylko (przez znaczący czas) mieszkańcem prowincji, ale też autorem eseju *Prowincja*, piewą prowincji, winiarskiego regionu Bordeaux (Gironde, Akwitania), rozciągającego się szeroko wzdłuż Garonny, od jej ujścia ku wnętrzu departamentu. Rodzina posiadała rozległe winnice i piwnice z beczkami. Za jego czasów nie mniej ważne były tam też sosnowe lasy, które nasadzono, by przystopować wędrowną nadatlan-tych diun w głąb ładu, ale które dawały też dwa litry żywy z pnia rocznie. To Landy Girondyjskie. Tam rozgrywają się akcje jego powieści. Prowincja i jej leniwe problemy, skandale. Postacie są tamtejszymi mieszkańcami, stamtąd pochodzą.

Na swój sposób był kontynuatorem realistycznego dzieła Balzaca, ojca „typowości”, „stypizowanych indywidualności” i „zindywidualizowanych typów”. Ale Mauriac nie kładł akcentu na typowość, nosił w pamięci coś bardzo indywidualnego, własnego, rodzinnego,

bardzo prowincjonalnego, tylko jemu (wśród piszących) znanego.

Niektórym jego powieściom wprost przydawane jest miano autobiograficznych (Roussell, Milecki, Milewska). Dzieciństwo (*Toga praetexta; Uprzywilejowani*), młodość (*Ciało i krew; Młodzieniec z dawnych lat*), rodzinne tajemnice poliszyneł (*Tajemnica Frontenaków*), najwyraźniej obficie korzystały z owego „nagromadzonego materiału”, o czym upewnia nas twórczość eseistyczna Mauriaca o wymownych tytułach: *W zaraniu życia* albo *Bordeaux, czyli wiek młodzieńczy*. Materiał wspomnieniowy pozwala na konfrontację. Dziecko pełne kompleksów wobec rówieśników już w powszechniaku, młodzieniec szukający swego miejsca w życiu, pełen złudzeń nie na swoją miarę, piszący wiersze, demonstrujący swą żywą wiarę, rozglądający się za przewodnikiem, mentorem – to także Mauriac pod różnymi powieściowymi mianami, charakterystycznymi dla tamtych stron: Peloueyre, Cazenave, Frontenac.

Kuzyni, matrony, babki, ciotki, stryjowie – to wszystko Mauriacowie i sąsiedzi. Mająteczki tamtejsze bardzo są od siebie oddalone. Posiadacze lasów i winnic nabierają cech arystokratycznych, podobnych tym, które znamy ze stereotypu posiadaczy ziemskich w amerykańskich stanach południowych przed wojną secesyjną. Urodzenie szlacheckie niekoniecznie jest tu potrzebne. To raczej wszystko bordoskie sfery mieszczańskie, klasa niegdyś średnia, wzbogacona pracą własną i najemną, przemysłnością i przedsiębiorczością.

Sprawy autobiograficzności dzieła są przedmiotem badań naukowych. Zwłaszcza pionierska w tym zasługa Philippa Lejeuna, który wprowadził pojęcie „paktu autobiograficznego”, poprzez który autor informuje zawczasu czytelnika (zwykle w sposób domniemany), że przedmiotem tekstu jest prawda, że narrator i bohater są tożsami z autorem i noszą też jego nazwisko. Gdyby miało być inaczej, to inaczej już by pakt nazwano. Termin „autofikcja” zawdzięcza my Serge Dobreowskiemu.

Materiał nagromadzony w pamięci autora („zapasy twarzy, sylwetek, słów”) oznacza przede wszystkim własne autorskie przeżycia, wydarzenia prawdziwe, a zapamiętane w sposób szczególny, opisy ludzi charakterystycznych, nawet

w swej przeciętności, a w końcu odnosi się też do miejsc, w których się mieszkało, bywało, gdzie spędzało się wakacje.

Mauriac nie pisał autobiografii, choć w esejach z wczesnej dojrzałości opisał miasto, w którym się urodził i dorastał (Bordeaux), i siedziby przeszłości, majątki rodzinne, napisał *Pamiętnik mężczyzny trzydziestoletniego*, a na starość zamknął to jak kłamrą w dwóch kolejnych tomach nietypowego pamiętnika: *Pamiętnik życia wewnętrznego* i *Nowy pamiętnik życia wewnętrznego*. Lejeune przytoczył w swym dziele o pakcie autobiograficznym słowa Mauriaca (z *W zaraniu życia*), gdy tenże tłumaczył się, dlaczego poprzestał tylko na jednym rozdziale pamiętnika (chodziło właśnie o *Pamiętnik mężczyzny trzydziestoletniego*): „Czyż prawdziwym powodem mojego lenistwa nie jest fakt, że istotę nas samych wyrażają nasze powieści? Tylko fikcja nie kłamie. Uchyła ukrytą furtkę do życia człowieka, przez którą, poza wszelką kontrolą, wślizguje się jego nieznana dusza” (tł. A. Labuda).

Mauriac był „rasowym” powieściopisarzem, za tę właśnie twórczość otrzymał Nagrodę Nobla (uważa się powszechnie, że za *Kłębowisko żmij*, ale żeby być precyzyjnym, to za „głęboką przejrzystość duchową i siłę artystyczną, którą ukazuje w swoich powieściach dramat ludzkiego życia”). Do dziś czyta się i konsekwentnie wydaje, prócz *Kłębowiska żmij*, także minipowieści *Genitrix* (1923), *Teresa Desqueyroux* (1927), i to w wysoko-nakładowych seriach „Livres de Poche”, czy „Penguin Modern Classics”. Wiemy, że możliwy jest artyzm w nawet najbardziej nikłych objętościach, weźmy chociażby takie arcydzieła jak *Proboszcz z Tours*, *Stary człowiek i morze*, *Nocny lot*, *Śmierć Iwana Iljicza*, *Nie ma kto piśać do pułkownika* – dla porównania, bo choć inni tu autorzy, to przecież ta sama skala artyzmu.

Publikując powieści, pisarz nie zawierał z czytelnikiem „paktu autobiograficznego”, jego przypadek należałoby widzieć w kategoriach opozycyjnego „paktu powieściowego”, „paktu fikcji”, a przecież czytelnik domyśla się nieraz, że coś (jeśli nie wręcz większość) jednak jest „z życia wzięte”. W tym przypadku „horyzont oczekiwań czytelnicy” (konfrontowanie czytanego dzieła z poznaną wcześniej biografią pisarza) jest szeroki i niezamknięty. Mauriac już

zawczasu dał się poznać wystarczająco dobrze, gdyby który z czytelników zechciał wejść w jego życie i konfrontować je z twórczością.

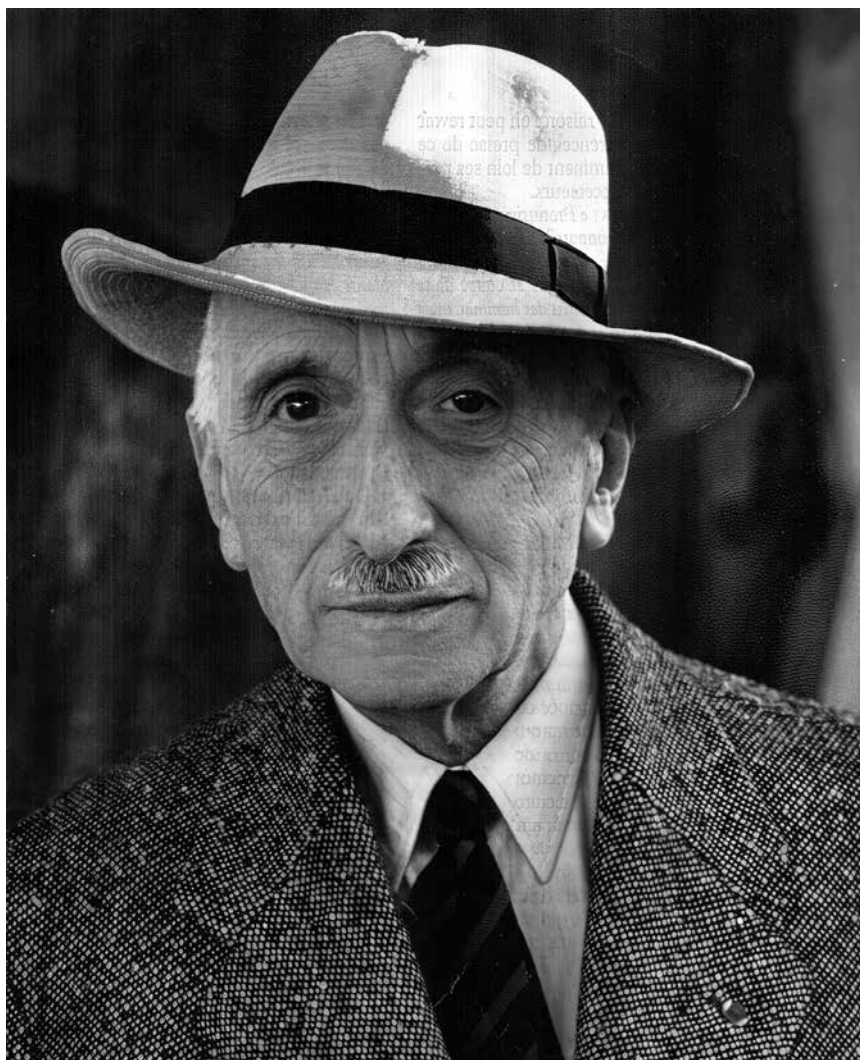
Ze znanej sobie, bliskiej rzeczywistości Mauriac czerpał scenerie: siedziby rodzinne, nawet rozkład pokoi, położenie, otoczenie domu („święty dąb” w parku w Saint Symphorien, taras Malagaru, widok na dolinę Garonny, sąsiedztwo sanktuarium maryjnego w Verdelaïs, gdzie na cmentarzu pochowany jest Toulouse-Lautrec).

W eseju *Powieściopisarz i jego bohaterowie* napisał wręcz: „Nie umiem tworzyć powieści, jeśli nie mam stale na myśli domu, w którym będzie się rozgrywała akcja, wraz z najmniejszymi jego zakamkami; muszę znać każdą alejkę ukrytą w ogrodzie, muszę znać całą okolicę – i to nie powierzchownie” (tł. B. Hłasko). Odwzorowanie budynków i wnętrz jest więc u niego lustrzane. Nie wszyscy późniejsi mieszkańcy byli zadowoleni z takiego wchodzenia w przestrzeń ich intymności. Ograniczał się wszakże w tym opisie tylko do substancji materialnej. Nie jest to rzadki sposób tworzenia scenerii w literaturze pięknej, gdy pisarz opisuje formy istniejące i miejsca istniejące. Weźmy dla przykładu cykl o komisarzu Maigrecie G. Simenona, gdzie Paryż jest prawdziwy. Pod wskazanym adresem rzeczywiście znajdziemy taki, a nie inny dom. To samo w „powieściach obyczajowych” (*romans durs*) tego samego pisarza kryminałów. W szkole uczono (uczą?), że jeszcze przed wojną można było zwiedzać Warszawę z *Lalką* Prusa jako przewodnikiem turystycznym, *baedekerem*.

Mauriac zdawał sobie sprawę, że powtarza się, że w kolejnych powieściach kopiuje „pewnego rodzaju monotonię atmosfery”; i żeby ją pokonać, rozszerzał bazę scenerii: „Zmusza mnie [to] szczególnie do posługiwania się wszystkimi domami i ogrodami, w których przebywałem i które znałem od dzieciństwa. Jednakże rodzinne posiadłości już mi nie wystarczają, a więc muszę zagarniać posiadłości sąsiadów” (tł. B. Hłasko, *Powieściopisarz i jego bohaterowie*).

W taki sposób na karty powieści weszły „siedziby przeszłości” (to jednocześnie tytuł jego eseju) – kamienica rodzinna w Bordeaux, posiadłość podmiejska babki, której dano przywilej posiadania kaplicy domowej z Najświętszym Sakramentem, okresowy przyszkolny internat (gdy matka musiała wyjechać na krótko z miasta na wieś), wakacyjne posiadłości wiejskie (*châteaux, chatelets*) w Gradignan, Saint Symphorien, Vilandraut, Jouanhaut, Langon, Malagar (tę ostatnią posiadłość odziedziczył drogą działów rodzinnych).

W Langon, w sąsiedztwie dworca linii Bordeaux – Sète, dziadek Mauriaca, noszący zresztą to samo nazwisko, postawił dom (a i dziś ten budynek, użytkowany teraz jako siedziba atelier projektowania Maison Petrusse – chusty, apaszki, szale –



ma w adresie Château Mauriac i wśród internetowej wizytówki firmowej wspomina się o związkach domu z pisarzem-noblistą). Wtedy było to ponure gmaszysko, odgródzone zapuszczonym parkiem, parkanem, żywopłotem, drzewami, chaszczami – od sąsiadów, a płotem i żelazną furtką od torów kolejowych. Dziadek mieszkał tam sam, bo dzieci wcześniej go odumarły. Za granicą zieleni przelatywały „kuriery” (pociągi pośpieszne) i długie składy towarowe. „Nocą, gdy przejeżdżały pociągi, dom drżał niby żywa przerażona istota...” (tł. B., Hłasko, *Prowincja*). Drżały podłogi, drżały szyby i naczynia, wibrowały druty staroświeckiej instalacji dzwonkowej, dym parowozów wdierał się do wnętrza. Dom miał dwa skrzydła, oddzielone od siebie długą ciemną sienią. Przyszły noblista zanotował w eseju *W zaraniu życia*:

„Ileż razy słyszałem historię jego zgonu! Owego dnia [dziadek] odwiedził wszystkie ulubione miejsca: posiadłość w Malagar, przytułek w Langon, którym zarządzał; później, po obiedzie, udał się do starych przyjaciół, gdzie każdego wieczora grywał partyjkę bostona; i tu pojawił się element nadprzyrodzony: »Panie Mauriac, idę na błogosławieństwo, czy zechce mi pan towarzyszyć?« – zapytała sędziwa przyjaciółka. Dziadek mój przez całe życie był zagorzałym antyklerykałem, przy-

sięgłym wrogiem ojców marystów z Verdelaïs. A chociaż uczucia jego złagodniały pod wpływem mojej matki, którą uwielbiał, noga jego od lat nie postąpiła w kościele. A teraz ku ogólnemu zdziwieniu zgodził się towarzyszyć starszej kobiecie i aż do końca błogosławieństwa wydawał się pogrążony w skupieniu. Wracając zasłabł, upadł na drodze przed domem panien Merlet. Zanimiesiono go na łóżko. Przyjaciółce, błagającej, by się modlił, zdążył jeszcze odpowiedzieć: »Wiara nas zbawia«... i złożył ręce” (tł. B. Hłasko).

Pisarz wyznał, że główne postacie tworzył jednak niemal w całości z wyobraźni. Nazywał to aktem naśladowczym względem aktu stwórczego Boga. Statystów wydobywał z pamięci, podobnie jak scenerie (*Powieściopisarz i jego bohaterowie*).

W *Genitrix* główną bohaterką jest leciwa matrona, zamieszkująca posępny dom wraz z pięćdziesięcioletnim synem (ale debiutującym jako żonko), który wszakże posiada wszystkie cechy nieuleczalnego starego kawalera. Poznajemy oboje w noc, kiedy w połogu po poronieniu umiera żona tegoż syna. W miarę rozwoju akcji matka (*genitrix*, rodzicielka) ustąpi miejsca synowi jako nowemu protagoniście.

Wnętrze domu opisane drobiazgowo. Ciemny salon z kominkiem, dwa skrzydła mieszkalne, długa sieni, gdzie hulają

przeciągi, kuchnia, gdzie też lubią przebywać, pokój starej wiernej służącej na poddaszu, ogród-park z drewnianym ustępem, dokąd syn z matką udają się razem przed snem. Gmaszysko-straszyno położone jest w pobliżu dworca kolejowego, ku któremu wyglądają okna obu skrzydeł i tylna ogrodowa furtka. W tekście powieści chyba z dwadzieścia odniesień „kolejowych”, takich jak te (w tłumaczeniu G. Mycielskiej): „Nocna lampka oświetlała kilka niebieskich bukiecików na ścianie, a na okrągłym stoliku zieloną szklankę o złożonym brzegu, napętnioną wodą, która drżała od ruchu przetaczanej na pobliskim dworcu lokomotywy”; „Wiatr zachodni napędzał dym ze stacji, ale zapach lip i bzu był silniejszy od zapachu węgla”; „Ostatni pociąg przed świtem zatrząsł szymbami. Teraz przejeżdżać będą już tylko nieskończenie długie pociągi towarowe, które przechodzą bez gwizdu i mieszają się ze snami”.

Rozpoznajemy już dom dziadka w Langon. W *Genitrix* pojawia się też nagle oto: „Wiedziała, że jej mąż padł na drodze przed domem panien Merlet, wracając z codziennej partyjki w klubie. Nie pamiętała już jednak co mówiono o jego agonii wśród obcych, ani tego, że w przeddzień odwiedził, co miał najdroższego na świecie: przytułek, którym zarządzał, i ukochaną posiadłość, skąd wedle jego życzenia wzięto żyzną ziemię na jego grób, ani że jego ostatnie słowa były: »Wiara nas zbawia«” (tł. j.w.).

Z tego domu (powieściowego) można było wyjść także tylną furtką, położoną niemal na wprost dworca, na ścieżkę wiodącą wzdłuż torów do miasta i na cmentarz. Do dziś w ogrodzeniu Château Mauriac nadal znajduje się w tym miejscu kratowa furtka, a ścieżka (już wyasfaltowana) nie zmieniła swej marszruty. W powieści jeszcze wzmianka, że jesienią, „na święty Michał”, przed tą kratą ogrodu rozbijał obóz tabor cygański, zapalało ogniska. I w to chyba można wierzyć jako w rzeczywistość wziętą z rzeczywistości, historyczną i doświadczoną naczyniem przez autora, gdy jeszcze był dzieckiem i na takie ciekawostki zwracał uwagę przede wszystkim.

Ale nie tylko w fotograficznie odwzorowanych sceneriach siedzib rodzinnych wyraża się u niego cecha autofikcyjności. Także w owych drugoplanowych typach ludzkich, niekoniecznie w tych podobnych do niego samego. W pewnym okresie jego owdowiała matka wzięła na siebie odpowiedzialność za stan własności rodzinnej. Czyniła to jakby w roli regentki, w zastępstwie czterech synów i córek, z których jeden zostanie wielkim pisarzem. Puszczając lasy w dzierzawę, pilnowała pracy w winnicach, prowadziła księgi, nadzorowała transakcje kupna i sprzedaży. Ten matriarchalny typ kobiety pojawia się w powieściach raz po raz, chociażby w *Losach*, w *Młodzieńcu*

z dawnych lat, w *Maltaverne* (tu bynajmniej nie ma rysów owej strasznej *Genitrix*, lecz raczej stanowi żywy przykład rozsądku, roztropności i zapobiegliwości). W *Drogach morza*, powieści, której akcja osadzona jest w jeszcze innej posiadłości rodzinnej, odczytujemy niemal syntezę takiegoż charakteru:

„Z pieniędzy, które zajmowały wszystkie jej myśli, nie korzystała jak rozrzutnicy, ale i nie korzystała z nich jak skąpca. Postępowała tak jak jej rodzice, wierząc w wypróbowanym zasadom ładu, ekonomii, oszczędności. Wydawać połowę dochodu, lokować resztę. Lokaty powinny osiągnąć pewną równowagę, opartą na zasadzie: rozkładać ryzyko, nie trzymać wszystkiego w jednym miejscu i zachować dosyć płynnej gotówki, by przy zgonie poszczególnych członków rodziny rozgrywać przeciw urzędowi podatkowemu ową partię, w której coraz trudniej zwyciężyć” (tł. H. Olędzka).

Mauriac był też poetą. Debiutował zresztą właśnie zbiorkiem poezji *Les maints jointes (Złożone ręce)*. W *Drogach morza* młodemu bohaterowi, poecie, przydzielił „do napisania” swoje własne wiersze, przytaczając je we fragmentach: „Tyś mi strawą śmiertelną, nieskończoną przecie, / A twe mleczne oblicze, co krwią jasną płonie, / Jest niby owoc żrały, spadły niespodzianie / Na podstawione bacznie, połączone dlonie...” (tł. j.w.).

To tylko takie zasygnalizowanie niektórych elementów autobiograficznych metody pisarskiej w wydaniu Mauriaca. Kto ciekaw warsztatu pisarza, niech sięgnie raczej po jego trzy eseje, układające się w zwarty system: *Powieść* (1928), *Bóg i złoty cielec* (1929) i *Powieściopisarz i jego bohaterowie* (1933). Wszystkie trzy łatwo dostępne po polsku.

Własne życie, rodzina, prowincja, siedziby przeszłości dostarczyły mu wystarczająco wiele materiału, by obficie korzystać z metody autobiograficznej, a przynajmniej z owych autobiograficznych rozbłysków, jakie tu i ówdzie rozjaśniają bieg fikcji. Leniwe życie prowincji, później nobliwie życie w Paryżu, gaullistowskie zaangażowania i wybory polityczne (de Gaulle, Chaban-Delmas, Pompidou, Giscard d'Estaing), cichy wypoczynek na tarasie w odziedziczonym Malagar, zawsze stateczne życie chrześcijańskie, wypelnione takąż refleksją, również w literackich owocowaniach – owo „życie w obfitości”, wystarczająco treściwe, by się nim hojnie dzielić. Tworzywo przeciwne temu życiu: fikcja absolutna (nie mająca związku z życiem), wymyślanie fabuły, gry wyobraźni – co najwyżej mogło go to kusić. Znał swe ograniczenia:

„Oczywiście wszyscy znamy pokusę wydania książki, która w niczym nie przypominałaby dotychczasowej twórczości. Niekiedy zastanawiałem się, czy umiałbym napisać powieść kryminalną, opowiadać w odcinkach, kierując się wyłącznie

chęcią zabawienia czytelnika i utrzymania go w napięciu. Może bym i napisał, ale jak wypracowanie szkolne, na pewno mniej udane od opowiadań specjalistów, którzy przywykli do tej pracy” (tł. B. Hłasko, *Powieściopisarz i jego bohaterowie*).

Także nie ze wszystkich swych możliwości korzystał: „powieści satyrycznej nie mam w dorobku, choć umiałbym ją napisać. Niekiedy przychodziło mi na myśl, że mógłbym takiej powieści poświęcić ostatnie lata, siłą rzeczy jednak byłby to utwór zjadliwy, pisany żującym atramentem, powiedziałbym: żółcią, i nie odzwierciedlający ostatniego obrazu, jaki pragnę po sobie zostawić tym, którzy mnie kochali” (tł. Z. Milewska, *Bloc Notes*).

W sprawach etycznych i duchowych, konstytuujących osobowość pisarza, skąd wpływa twórczość (ale przecież także z punktu widzenia celowości chrześcijańskiej najważniejszych), postulował „oczyszczenie źródła”, życie święte lub przynajmniej dążące do świętości, by – broń Boże – swą twórczością nie gorszyć maluczkich. To wydawało mu się bez porównania ważniejsze, niż kariera literacka. Tu jednak był sceptyczny: „cnoty nadludzkie wcale nie są łatwe do praktykowania dla ludzi w ogóle, a dla pisarzy w szczególności. A poza tym, czy człowiek do głębi cnotliwy nie zacząłby od zrezygnowania z pisania powieści?” (tł. J. Nałęcz).

A co do domu dziadka w Langon, tak na pozór nieważnego, gdy zestawie ten temat z eseistyką katolicką, która zdminowała tę twórczość i przedłużała jej trwanie, to w życiu prawdziwym stosunek pisarza do rzeczywistości owych murów bardzo się zmienił. Wyabstrahowana została we wspomnieniu ulotność obrazów. W eseju *Siedziby przeszłości* autor znalazł dla swej gorzkiej konstatacji miejsce już na początku, właśnie w rozdziale „Obrazy ulotne”. Bo zdaje się, że bardziej realne i może bardziej trwałe okazały się jednak w powieści. Istotną prawdę tego domu zbudowanego i wciąż stojącego w sąsiedztwie dworca linii Bordeaux – Sète można odnaleźć już tylko tam, na kartkach tej krótkiej powieści (*Genitrix*). Bo to już teraz jakby nie ten sam dom.

„W lecie niemal co tydzień mijam bramę ponurej posiadłości (obecnie już sprzedanej), w której żyli moi dziadkowie, tej, która przyczyniła się do stworzenia przede mną strasznej postaci *Genitrix*: nawet nie odwracam głowy, by spojrzeć na te drzewa, na dwie oficyny. Nie przyciskam twarzy do kraty, nie staram się odnaleźć gorzkiej woni bukszpanów zmieszanej z zapachem węgla.

A przecież bukszpany rosną tu nadal i takie same dymy z pobliskiej stacji kolejowej spowijają wierzchołki smukłych topoli zasadzonych przez mego dziadka: drzewa umarły, chociaż wydają się żywe, są niby martwe kamienie” (tł. B. Hłasko).

Teatr w Auschwitz (w ramach wsparcia dla żołnierzy SS)

ANDRZEJ LINERT

W różnych latach istnienia KL Auschwitz-Birkenau w szeregach załogi SS służbę odbyło ponad 8 tys. esesmanów i około 200 nadzorczyń. Początkowo w 1941 r. było ich 700, a w chwili ewakuacji obozu w styczniu 1945 r. już 4480 esesmanów i nadzorczyń SS. Studiując rozkazy Komendantury obozu, jak i dane opublikowane w pracy *Standort – und Kommandanturbefehle des Konzentrationslagers Auschwitz 1940–1945* (red. Norbert Frei i in., Monachium 2000), można odnotować informacje o organizacji indywidualnych wyjazdów członków załogi SS do teatrów w Bielsku i Katowicach, jak i informacje o systematycznie organizowanych gościnnych występach w KL Auschwitz niemieckich teatrów i artystów estrady.

W pierwszych miesiącach okupacji działalność teatralną na terenie Górnego Śląska prowadził wyłącznie teatr w Bytomiu (Oberschlesisches Landestheater Beuthen). W repertuarze jego były w tym czasie niemal wyłącznie komedie i lekkie utwory muzyczne. Po kilkunastu miesiącach Niemcy zdecydowali się z początkiem sezonu 1941/1942 powołać do życia Städtische Bühnen Kattowitz-Königshütte. Obie sceny teatru położone stosunkowo blisko powstałego KL Auschwitz dysponowały własnymi zespołami. Scena katowicka została obrana na siedzibę opery i jako tzw. Opernhaus przeznaczona została do realizacji widowisk operowych. Z kolei chorzowska scena, nazwana Schauspielhaus, realizowała widowiska dramatyczne. Dyrektorem obu scen był wysoki funkcjonariusz hitlerowski dr Otto Wartisch, SA-Oberführer, wykładowca Reichsführerschule der AS w Monachium. Od września 1940 roku równolegle pełnił funkcję dyrektora i dyrygenta Phillharmonisches Orchester der Stadt Kattowitz.

Organizacją wyjazdowych wizyt żołnierzy garnizonu SS KL Auschwitz na przedstawienia do teatrów w Katowicach i Bielsku zajmował się Abteilung VI – Fürsorge, Schulung und Truppenbetreuung (Wydział VI – Zaopatrzenie, Szkolenie i wsparcie wojska). Wieloletnim komendantem Wydziału VI był Kurt Knittel, urodzony 23 IX 1910 r. w Karlsruhe dyplomowany nauczyciel, posiadający stopień SS-Oberscharführera [sierżanta].

Objęcie kierownictwa Wydziału VI przez Knittla sprawiło, że już 30 października 1941 r. poinformowano zainteresowanych funkcjonariuszy SS, że na przedstawienia w Bielsku chętnym przysługiwała zniżka w wysokości 50%. Równocześnie

w kolejnym rozkazie z 23 listopada 1941 r. biuro Komendantury obozu rozkazem nr 32/41 informowało o możliwości wizyty w Teatrze Opery w Katowicach, gdzie przedstawienia odbywały się we wtorki, czwartki, soboty i niedziele. Najtańsze bilety można było otrzymać we wtorki i czwartki. Przykładowo za bilet w rzędzie pierwszym funkcjonariusze SS płacili 1 markę i 20 fenigów. Bilety te zawsze załatwiane były przez biuro Wydziału VI. Chętni mieli obowiązek zgłaszać wolę wyjazdu do biura, najpóźniej do godziny 14 w poniedziałek w wypadku wyjazdu we wtorek i do godz. 18 w pozostałe dni.

W gronie występujących dla załogi SS KL Auschwitz-Birkenau zespołów i artystów, obok muzyków i aktorów zespołu katowickiego, w Auschwitz swoje widowiska prezentowały m.in. Stattheaters Mährisch-Ostrau (Państwowy Teatr Morawsko-Ostrawski), Schauspielhausses Breslau (Wrocławski Teatr Dramatyczny), zespół Heinza Virneburga z Wrocławia, Oberschlesischen Landestheaters Beuthen (Teatr Górnośląski z Bytomia), Oberschlesisches Schauspieltheater der Stadt Gleiwitz (Górnośląski Teatr Okręgowy z Gliwic), a także Teatr Saski z Drezna, Stadt Theater z Raciborza oraz wiedeńscy artyści operowi i członkowie zespołów Burgtheateru i Volkstheateru.

Pierwsze kameralne wieczory teatralne dla załogi w Auschwitz miały miejsce w budynku teatru usytuowanego tuż

za drutami obozu macierzystego. Współcześnie wyremontowany, mieści międzynarodowe Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście. Z czasem, wraz z budową obozu w Birkenau i wzrostem liczby żołnierzy SS, powstała konieczność budowy poza terenem obozu nowego obszernego baraku z przeznaczeniem na cele socjalno-społeczno-kulturalne. Jego budowę rozpoczęto jesienią 1941 r. i ukończono 18 marca 1942 r. Pierwsza impreza miała miejsce już 4 dni później. Usytuowany był tuż za drutami obozu, w pobliżu bocznic kolejowej i budynku Stabsgebäuds, w odległości zaledwie 400 metrów w prostej linii od bramy „Arbeit Macht Frei”, zaledwie około 2 kilometrów od dynamicznie rozwijającego się KL Birkenau. Był to wielofunkcyjny barak o konstrukcji drewnianej, określany mianem Kameradschaftsheim der Waffen SS KL Auschwitz. Osadzony na murytowanych fundamentach, liczył 18 tys. metrów sześciennych. Zbudowany został na planie krzyża północ-południe. W skrzydle wschodnim mieściło się przylegające do rampy kolejowej zaplecze socjalne i doskonale wyposażona kuchnia. Z kolei skrzydło zachodnie podzielone zostało na Salę Oficerską i kantinę, w której znajdował się niewielki sklepik i bar.

Natomiast największe, 60-metrowej długości pomieszczenie centralne tworzyła olbrzymia sala, mogąca pomieścić 2000 widzów. Od południa posiadała obszerną scenę teatralną, wyposażoną w budkę suflera.



Zaplecze kuchni we wschodnim skrzydle Kameradschaftsheim der Waffen SS KL Auschwitz. Stan z 27 stycznia 2025 r.

fol. Nicolas (Mikołaj) Linert

Na scenie w razie potrzeby wyświetlane były okresowo filmy. Natomiast główne wejście na salę było od strony północnej. Tam też na piętrze znajdowało się pomieszczenie przeznaczone dla obsługujących projektorów filmowe techników. Była to zarówno tzw. Speisessale i jadalnia, w której w trakcie jednego dnia spożywanych było około sześciu tysięcy posiłków, licząc śniadania, obiady i kolacje. Powstanie budynku, jak i obsługa SS-manów, od początku nierozdzielnie związane były z martyrologią i holokaustem. W jego kuchni zatrudnieni więźniowie, w warunkach niewolniczej pracy nie tylko przygotowywali posiłki, ale i zmuszeni byli obsługiwać SS-manom w trakcie ich spożywania. Tam też wielu z nich zmuszanych było do poniżających występów ku ucieście swoich prześladowców.

Od początku budynek ten, będąc największym z wszystkich baraków na terenie ówczesnych niemieckich obozów koncentracyjnych, pełnił wielorakie funkcje. Przeznaczony był wyłącznie dla żołnierzy SS. Skupiał w sobie zarówno ich życie służbowe, jak i prywatne. Uczestniczyli w nim zarówno SS-mani szeregowi, jak i oficerowie. Był on miejscem odpoczynku, i rozrywki. Prezentowane w nim były koncerty muzyczne, widowiska teatralne, występy baletowe, estradowe i kabaretowe, więźniarskie walki bokserskie, propagandowe filmy, uroczyste akademie i wszelkiego rodzaju okolicznościowe spotkania z wysokimi funkcjonariuszami Rzeszy, a także szkolenia, zabawy, uroczyste spotkania świąteczne i państwowe. Urządzano tam także m.in. *Wieczorki koleżeńskie*, tzw. *Kameradschaftsabend*. Z kolei mniejsza sala, nazywana potocznie kantiną oficerską, przeznaczona została na kameralne spotkania. Tam niejednokrotnie oficerowie przychodzili wraz z żonami i dziećmi, kiedy to w ramach poranków filmowych wyświetlane były dla nich bajki. Ponadto było to miejsce, gdzie funkcjonariusze SS przy piwie i wódce, w atmosferze dobrej zabawy, spotykali się, mimo że dymy pochodzące z otwartych dołów paleniskowych i kominów krematoryjnych Birkenau docierały tam bez przeszkód. Po wojnie budynek-barak ocalał i w 2006 r. opieką objęła go Fundacja Pobliskie Miejsca Pamięci Auschwitz-Birkenau.

Od początku przychylności Wartischa i grona jego artystów dla tego wszystkiego, co działo się w Auschwitzu dla stacjonujących tam oddziałów SS, była spora, skoro już w listopadzie 1941 r. kierownictwo Wydziału VI informowało o możliwości wizyty w katowickim Teatrze Opery. Za interesowani jej widowiskami członkowie SS na 3 dni wcześniej zobowiązani byli imiennie zarejestrować w biurze Wydziału VI swoją chęć wyjazdu, aby następnie odebrać voucher na bilet z chwilą opuszczenia obozu. Po przyjeździe do Katowic, odwiedzający teatr wymieniali go w kasie teatru na bilet wstępu. Przy okazji w roz-



Po lewej wejście do Kameradschaftsheim der Waffen SS KL Auschwitz wraz z przylegającym skrzydłem zachodnim, mieszczącym kasyno oficerskie. Stan na 27 stycznia 2025 r.

kazie Komendantury przestrzegano tych, którzy zamawiając bilet, następnie go nie odbierali, że nie tylko będą imiennie napiętnowani, ale i zmuszeni zapłacić jego pełną cenę na rzecz Wydziału VI oraz nigdy już więcej nie otrzymają takiego biletu wstępu.

Dodajmy, że Wydział VI organizował także uroczyste spotkania i widowiska estradowe z okazji świąt i uroczystości państwowych. Przykładem tego były m.in. obchodzone 28 marca 1943 r. Dni Wehrmachtu. W ramach programu artystycznego występowali aktorzy Państwowego Górnośląskiego Teatru z Bytomia: Arturo Scalonbi – tenor, Greetje Burchbach – sopran, Georg Brand – ksylofonista z Teatru Opery w Katowicach, Leni Bach – wirtuoz akordeonu, Hildegard Krock – solistka baletowa Teatru Metropol z Berlina, Herbert Mandel z Teatru Miejskiego w Raciborzu, a także Balet Rolanda oraz kapela Zock z Zabrze, z pianistką Johanną Wynen. Nad całością czuwał Martl Hartwig, były członek zespołu Oberschlesischen Landestheaters Beuthen. Kilka dni później, 4 kwietnia 1943 r., zespół katowicki na scenie w Kameradschaftsheim zaprezentował facecje Karla Hansa Jaegera *Gitta ma ptaka* (*Gitta hat einen Vogel*), w reżyserii Willego Gade, scenografii Hansa Benescha, z udziałem Gerty von Elmpt, Elsy Petry, Bärbel Wolf, Willego Poppa, Karla Hansa Jaegera, Heinza Brenera i Bernarda Wilferta.

Komendantura obozu, organizując dla załogi SS widowiska teatralne i koncerty muzyczne, zdawała się zapewniać moment wytchnienia pełniącym „służbę” członkom SS. Zabiegała przy tym o to, aby imprezy te były powszechnie akceptowane. Przykładem tego była m.in. zawarta w rozkazie z 14 maja 1943 r. rekomendacja Rudolfa Hössa, dotycząca koncertu muzycznego zatytułowanego *Stunde heiterer Musik*,

zorganizowanego w małej sali Kameradschaftsheimes w dniu 21 maja 1943 roku. W rozkazie Lagerkomendant, zachęcając do udziału w koncercie, pisał: „Występy są łatwe do zrozumienia i od razu wciągające, dzięki czemu nawet osoby bez wcześniejszego wykształcenia muzycznego będą się świetnie bawić tego wieczoru”. Nad całością czuwał kapelmistrz Erns Zeidler-Hipold z Teatru Opery w Katowicach. W programie wieczoru były utwory Haydna, Mozarta, Schuberta, Dvořáka i Boccheriniego. Wśród wykonawców m.in. Wilma Peer – sopran, Heinz Hinszenbrock – pianista i kapelmistrz, Heinrich Münch – altówka, Helmut Auer – wiolonczela, a także Fred Maligne – skrzypce. Ten ostatni od 1940 roku był kapelmistrzem w Katowicach. W trakcie wspomnianego godzinnego występu grał drugie skrzypce. Co ciekawe, w świetle ustaleń Ernsta Klee (*Das Kulturoexikon zum Dritten Reich. Wer war was vor und nach 1945*. Verlag S. Fischer, Frankfurt a.M. 2007), skrzypce ten w 1923 roku był aktywistą KPD w kierownictwie tzw. Roten Blaskapelle, a po wojnie, początkowo w 1952 roku skomponował tzw. *Lenin-Kantate*, a w 1959 roku *Preludium i fugę* na cześć wschodnioniemieckiego ruchu związkowego.

Praktyka organizacji w KL Auschwitz dwóch, trzech w miesiącu gościnnych teatralnych widowisk komediowych dla załogi SS była stała. Prezentowane w dniach, kiedy na masową skalę mordowano, a następnie palono w dołach i w świeżo uruchomionych piecach krematoryjnych tysiące istnień ludzkich, wydają się potwierdzać uwagę Hannah Arendt o „banalności zła”, opisaną w książce *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*. Prozaiczne w swym charakterze gościnne występy artystów niemieckich w KL Auschwitz, prezentujących wyuczone role, wyćwiczone utwory muzyczne, sceny baletowe itp.

E I N I G E D A R S T E L L E R K Ö P F E

(VOLLSTÄNDIGES VERZEICHNIS NÄCHSTE SEITEN)



Vilma Paar



Walther Schulze



Otto Hermann Kempert



Hildegard Jakob



Gertrud von Elmpt



Egon Maiwald



Manfred Meuser



Krista Dierck

Czołowi aktorzy Städtische Bühnen Kattowitz-Könighütte w sezonie 1941/42

działania sceniczne, niczym nie odbiegały w swej formie od widowisk i koncertów prezentowanych na innych ówczesnych scenach niemieckich. Jedynie w tym niezwykłym miejscu zbiorowych mordów i niebawłej profesji odbiorców sztuki, czas i miejsce determinowały ich nowy, niespotykany w dziejach kultury charakter i sens. Występy te, za sprawą oddawanych do użytku niemal co dwa tygodnie kolejnych komór gazowych i krematoriów, nabierały cech czynnego współuczestnictwa w dokonywanych zbrodniach.

Przykładowo 22 marca 1943 r. ukończono budowę krematorium IV i 3 komór gazowych o pojemności 1500, 800 i 750 ludzi. Identyfikacja w konstrukcji krematorium nr V ukończono 4 kwietnia 1943 r. Prezentowana w tym kontekście informacja o tym, że 7 czerwca na scenie Kameradschaftsheimes der Waffen SS Auschwitz odbył się występ Państwowego Górnośląskiego Teatru z Bytomiu z komedią muzyczną Lee Lenza *Sekretne podróże poślubna* (*Heimliche Brautfahrt*), ma trudne do zrozumienia przesłanie. Organizatorami widowiska był Oddział VI i dyrektor teatru bytomskiego Heinz Huber. W rolach głównych wystąpili Eve Quaiser i Axel Rulfs. Orkiestrą dyrygował Egon Maiwald. Scenografię przygotowała Herta Barth.

Wracając do występów teatru katowickiego w Auschwitz, przypomnijmy, że 17 czerwca 1943 roku zespół wystąpił w programie zatytułowanym *Wielki kolorowy wieczór* (*śpiew – taniec – wesołe wykłady*) (*Grossem bunten Abend. Gesang – Tanz – Heitere Vorträge*), w trakcie którego występował m.in. tenor Paul Schmidtmann, a także Gerta von Elmpt – śpiew i taniec, Ulla Lehmann – sopran, Leni Werell – tancerka solowa, Maria Cerowska – tancerka solowa, Willi Popp – komik, Jorg Watzka – baletmistrz, Jozef Sokol – taniec solowy i przy fortepianie Heinz Hinselbrock. Prezentowano wesołe monologi, skecze i sceny taneczne.

Niestety luki występujące w ocalałych rozkazach Komendantury KL Auschwitz nie pozwalają wymienić kolejno wszystkich widowisk organizowanych dla garnizonu SS w okresie od drugiej połowy czerwca do końca września 1943 r. Wiemy jedynie, że 24 września 1943 r. na scenie Sali Kameradschaftsheim zaprezentowany został *Program rozrywkowy* (*Lustige Variété*), zorganizowany przez Wydział VI i KdF-Gaundinstelle Kattowitz, z udziałem aktorów i muzyków katowickich, iluzjonistów Guido Schaeffera, ekwilibrystów, mandolinistów, stepujących tancerzy, a także artystów biorących udział

w igrzyskach olimpijskich oraz Kapela Leo.

Następny występ „w ramach wsparcia dla żołnierzy” odbył się 4 października 1943 r. Uczestniczyli w nim wyjątkowo goście z miasta. Zespół Städtischen Bühnen Kattowitz-Könighütte wystawił sztukę Karla Hansa Jaegera *Niezakłócony ślub* (*Gestörte Hochzeitsnacht*). Całość zorganizował Wydział VI z udziałem KdF-Gaundinstelle Kattowitz, przy współudziale dyrektora teatru Otto Wartischa. Reżyserował autor, scenografię opracował Hans Benesch. W widowisku zagraли Bärbel Wolff, Gertrud Seitz, Else Petry, Olga Flitzsch, Anni König, a także Heinz Brenner, Otto Hermann Kempert, Hans Flössel i Erich Heil.

Wiadomo także, że występy muzyków i aktorów katowickich pod kierownictwem Wartischa organizowane były w tym czasie stosunkowo najczęściej. Był to czas trwających masowych transportów Żydów do Birkenau. Między innymi 23 października przywieziono z Rzymu 1035 Żydów, kobiet, mężczyzn i dzieci. Po selekcji do obozu skierowano 149 mężczyzn i 47 kobiet. Pozostałych 839 osób zagazowano w komorze i spalono. Równocześnie z Bergen-Belsen przywieziono 1800 Żydów polskich – mężczyzn, kobiet i dzieci, posiadających paszporty zezwalające na wyjazd do państw Ameryki Połu-

dniowej. Byli to tzw. Żydzi do wymiany (Austauschjuden). Rozdzieleni na rampie w Birkenau, kobiety przewiezione zostały do krematorium II, a mężczyźni do krematorium III i wprowadzeni pod pozorem dezynfekcji do rozbieralni. Wtedy kobiety zorientowały się, że czeka je śmierć. W desperackim odruchu obrony zaatakowały esesmanów. Jednemu z nich zdołały wyrwać rewolwer i trzykrotnie go postrzelić oraz ranić drugiego. Wezwani na pomoc kolejni esesmani zastrzelili część zbuntowanych kobiet, a pozostałe wpędzili do komór gazowych i zagazowali.

Kilka dni później, 26 października 1943 roku w Auschwitz występował zespół katowickiego Operhausu z operetki Willego Kollo *Kobieta bez pocałunku* (*Die Frau ohne Kuss*), z muzyką Waltera i Willego Kollo. Natomiast 28 listopada w Małej Sali Kameradschaftsheim, pokazany został wyłącznie dla dzieci funkcjonariuszy SS film *Kot w butach* (*Der gestiefelte Kater*), z udziałem 50 dzieci i dorosłych. Występy artystów z Katowic zamykał prawdopodobnie 29 listopada 1943 roku koncert symfoniczny pod kierownictwem Wartischa, zatytułowany *Skrzydła muzyka* (*Beschwingte Musik*), z udziałem solistów operowych.

Dodajmy, że tego samego dnia w Birkenau zamordowana została zastrzelona dla Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego, utalentowana 35-letnia aktorka Walentyna Aleksandrowicz-Kielanowska, żona znakomitego katowickiego reżysera teatralnego dra Leopolda Pobóg-Kielanowskiego. Wcześniej, 1 września 1942 r. zamęczony tu został wybitnie uzdolniony odtwórca amantów i bohaterów w wielkim repertuarze romantycznym, czołowy aktor katowicki w latach 1933–1937, Stefan Czajkowski. W toczącej się w okresie międzywojennym rywalizacji Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego z Oberschlesischen Landestheaters Beuthen, odgrywał jedną z najważniejszych ról, kreując wysoki poziom sztuki aktorskiej i pozycję polskiej dramaturgii romantycznej. Na liście pomordowanych w latach wojny artystów, występujących na scenie katowickiej w latach trzydziestych, znajdujemy dodatkowo m.in. zasłużonego aktora i reżysera Józefa Winiaszkiewicza, zmarłego w obozie koncentracyjnym w Majdanku 18 czerwca 1941 r.

Tymczasem załoga obozowa SS w 1943 r. posiadała już zarezerwowaną, specjalną pulę biletów na widowienie teatru w Katowicach. Bezpłatnie bilety dostępne były także na wieczorne przedstawienia mikołajkowe dla dzieci. Zainteresowani musieli jedynie zgłosić się po ich odbiór do środy każdego tygodnia. Informacje o tytułach granych sztuk i godzinach rozpoczęcia przedstawień zamieszczały gazety codzienne, a także wywieszane były na czarnej tablicy w siedzibie Wydziału VI.

Z nowym rokiem 1944 r. czas pierwszych występów artystów katowickich

D A S K Ü N S T L E R I S C H E P E R S O N A L			
GESAMTLEITUNG: INTENDANT GENERAL: MUSIKDIREKTOR DR. OTTO WARTISCH			
Die künstlerischen Vorstände:			
Arnold Putz, Schauspielregisseur			
Dr. Werner Wobbe, Oberspielleiter der Oper			
Karl Hoss-Joeger, Oberspielleiter der Operette			
Dr. Jürgen Weßler, 1. Spielleiter d. Schauspielu. Chefdrumaturg			
Willi Gode, Spielleiter des Lustspiels			
Hugo Diez, 1. Kapellmeister der Oper			
Heinz Hinsenbrock, Chordirektor und Kapellmeister			
Dr. Walter von Elmpt, Kapellmeister der Operette			
Wilma Kanath, Ballettmeister			
Max Köhn, Bühnenbildner und Leiter des Ausstattungswesens			
Hans Coenen, Solospelitor und Kapellmeister			
Hermann Schmidt, Solospelitor und Kapellmeister			
Die technischen Vorstände:			
Friedrich Fischer, Technischer Direktor			
Wilhelm Ufer, Maschinenbildner			
Martin Ziegner, Obergewandmeister			
Die Mitglieder der Oper:			
Anneliese Barwick			
Ery Clevesch			
Helly Hims			
Ulla Lehmann			
Wilma Peer			
Elisabeth Ronic			
Sigrid Rothermel			
Ursula Stathelhaus			
Die Mitglieder der Operette:			
Gerty von Elmpt			
Elisabeth Eary			
Hannah Wilfried			
Walter Beck			
Jean Baranona			
Heinz Carl			
Wilhelm Friedrich			
Robert Lehning			
Paul Schmidmann			
Moritz Schürmann			
Walter Schulze			
Eren Gaarden			
Alfred Hoffmann			
Karl Hans Joeger			
Georg Lischke			
Willy Popp			
Die Mitglieder des Schauspiel:			
Krisa Dierck			
Hildegard Friese			
Ursula Hobeisel			
Hildegard Jakob			
Hanna Keng			
Hannah Wilfried			
Birbel Wolf			
Hans Berger			
Heinz Brenner			
Johannes Cieski			
Hans Fessel			
Willi Gode			
Walter Hoss			
Erich Heil			
Oto Hermann Kemper			
Manfred Jachar			
Bruno Poltzsch			
Arnold Putz			
Berhard Willert			
Die Tanzgruppe:			
Wilma Kanath, Ballettmeister und Solotänzer			
Leokadia Schwede, 1. Solotänzerin u. stellvertr. Ballettmeisterin			
Josef Soloi, Solotänzer und Ballett-Trainer			
Maria Carowska, Solotänzerin			
Mitglieder der Tanzgruppe:			
Miroslav Kuro (Tänzer), Marianne Maas, Irmgard Paulus, Christel Anker, Maria Blecher, Ingeborg Erent, Hildegard Weidener, Lohr Steiner, Karl Emmenberger, Hildegard Leckner.			
Der Theater-Sänger:			
Heinz Hinsenbrock, Chordirektor und Kapellmeister mit 36 Damen und Herren.			
Das Orchester:			
64 Künstler.			
Der Theater-Chor:			
30 Damen und Herren.			

Kadra artystyczna zespołu Städtische Bühnen Kattowitz-Könighutte w sezonie 1941/42

przypadł na początki nalotów lotnictwa aliantów, w wyniku czego m.in. 20 lutego 1944 r. w godzinach dopołudniowych na wschód od miasta doszło do pożaru. Niemniej nic nie wskazuje na to, aby zmniejszyła się w tym czasie częstotliwość występów, czego przykładem był 21 lutego 1944 r. kolejny koncert Katowickiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrykcją Wartischa, zatytułowany *Muzyczne przysmaki z opery i operetki*, z udziałem solistów operowych Gerty von Elmpt, Olgi Witt, Willego Poppa i Willego Friedricha.

W pierwszych dnia maja 1944 r. funkcję komendanta garnizonu SS objął ponownie były komendant Auschwitz Obersturmbannführer Rudolf Höss. W celu przyspieszenia planowanych transportów Żydów węgierskich, polecił rozbudowę rampy wyładowczej, a także uruchomienie nieczynnych pieców w krematorium nr V. Polecił ponadto wykopanie dodatkowo trzech dużych i dwóch małych dołów do spalania zwłok oraz ponowne uruchomienie bunkra nr 2 do zabijania gazem, a także odkopanie sąsiadujących z nim dołów spaleniskowych i budowę baraków przeznaczonych na rozbieralnię. Od maja do sierpnia 1944 r. ponownie zaczęto palić zwłoki na stosach. Równocześnie w związku z przygotowaniami do przyjęcia masowych transportów węgierskich, na stanowisko komendanta wszystkich krematoriów powołano SS-Hauptscharführera Otto Molla.

W tej sytuacji 16 maja 1944 r., w ramach wydarzenia związanego ze wsparciem wojsk, teatr bytomski zaprezentował Gerharta Hauptmanna *Bobrowe futro* (*Der Biberpelz*), zapowiadając je zgodnie z intencjami autora jako komedię złodziejską. Od tego też dnia zaczęły docierać specjalnymi pociągami transporty z Żydami z Węgier. Pociągi liczyły od 40 do 50 wa-

gonów. W każdym z nich znajdowało się około 100 ludzi. Przewidziano transport 111 pociągów. O ile jednego dnia przybyły dwa pełne pociągi, drugiego mogły pojawić się trzy. Młodych i silnych kierowano do obozu jako tzw. depozyt. Pozostałych w olbrzymiej większości zabijano jeszcze tego samego dnia w komorach gazowych. Od 16 maja 1944 r. wszystkie kominy krematoryjne i doły spaleniskowe ponownie dymiły. 25 maja 1944 r. „węgierska organizacja ruchu oporu w sprawozdaniu okresowym podała, że liczba zabitych gazem Żydów węgierskich przekroczyła już 100 000 ludzi, a służba SS przy likwidacji Żydów trwa nieprzerwanie po 48 godzin, po czym następuje 8-godzinna przerwa”.

Organizowane w takich warunkach, w ramach wsparcia wojsk, występy teatralne odnotowujemy 23 czerwca 1944 r., kiedy na scenie w KL Auschwitz pojawił się Oberschlesisches Schauspieltheater z Gleiwitz z 4-aktową sztuką kryminalną urodzonego w 1914 r. w Bytomiu Gerharta Metznera *Dziwny gość* (*Der fremde Gast*). Ponadto kierownictwo Wydziału VI w kolejnym rozkazie informowało, że jeszcze w czerwcu w Operze Katowickiej odbędzie się wieczór pożegnalny kilkakrotnie występującej dla esesmanów na scenie w KL Auschwitz Gerty von Elmpt.

Przytoczone w skrócie fakty z lat 1943–1944 dowodzą, że skupieni na opisie ogromu zbrodni i cierpień ofiar, nie zwracaliśmy dotychczas dostatecznej uwagi na działania prowadzone przez artystów teatrów górnośląskich i pozostałych zespołów niemieckich z myślą o wsparciu ideowo-emocjonalnym żołnierzy SS w ich ludobójczym procederze. Tymczasem występujące na scenie Kameradschaftsheim der Waffen SS w KL Auschwitz-Birkenau teatry intensywnie wspomagały ową działalność.

Tam, skąd jestem (*Where I'm from*)

Nie sądzę, żeby ktokolwiek dalej niż w promieniu dziesięciu mil
słyszał o miejscu skąd pochodzę.
Tym przeciętym ulicą przez jego środek miasteczku, położonym poniżej innego
podobnego miasteczka, idąc w dół z nurtem rzeki.

Nigdy nie oddaliłem się więcej niż o milę lub dwie od swego domu.
Jako transportu używam roweru, idę piechotą albo zakładam łyżwy.
Otoczony zewsząd naturą nie miałem wyboru, muszę cieszyć się tym, co mam.

Wychowano mnie jako białego, ale biały nie jestem.
Mój ojciec nie widział różnic pomiędzy rasami,
podczas gdy matka nigdy nie zapomniała swojej przynależności.

Moim celem było nauczyć się prowadzić samochód,
potem wleźć do zatankowanego do pełna auta,
wdepnąć pedał gazu i stamtąd wypieprzyć.

Nie nasze plomby (*Foreign Fillings*)

Zadają mi pytanie, czy wypełnienia w moim uzębieniu
robione były w innym kraju, nie u nas.
Zastanawiam się, czy zagraniczne plomby wyglądają inaczej,
wyżej, a może niżej siedzą w zębach
lub może różnią się kolorem.
Być może tym, co stanowi różnicę jest moja twarz,
jako że pochodzę z innego kraju
i tam wcześniej leczyłem zęby.

„Jaki kraj macie, państwo, na uwadze?”
pytam dentystę i jego asystentkę,
ponieważ nie umiem w sumie rozgryźć
z jakiego miałbym być, ich zdaniem, kraju.
Możliwe, że nie wiedzą,
być może cała ich wiedza to ta,
że nie wyglądam tak jak oni.
Czekam na ich odpowiedź z otwartymi ustami.

Szkoło i łzy (*Glass and Tears*)

Był włączony telewizor, oglądał
kolędy na DVD
i już miał się iść położyć,
kiedy upuścił szklankę.
To była nowa szklanka, nie był z nią zżyty.
Mimo to, gdy zakończyła swoje życie,
rozpłakał się, nie chodziło o szklankę,
ale wszystko inne, co się rozpadło.

Zbite kawałki cisnęły się gwałtownie w jego stronę,
gdy miotłą zbierał leżące fragmenty,
wiedząc, że i tak nie zdoła dostrzec wszystkich.
Odpryski szkła później znajdzie,
kiedy na nie nadeprnie bosymi stopami.

Ona ma plan City (*She Has a Map of the City*)

Kiedy moja córka prosi mnie bym usiadł obok,
myślę, że nie mówi tego poważnie,
bo gdyby zaistniała odwrotna sytuacja
i to ja chciałbym, żeby usiadła przy mnie,
byłbym niemalże pewien, że powie: „Nie.”
Ale teraz mówi: „Musisz popatrzeć co tu mam na ekranie,”
więc ja podchodzę i zaglądam na jej komputer.

Ma plan City na monitorze i może
czerwoną linią wytyczać trasy jego ulicami.
Pokazuje drogę, którą ja robię jadąc
rowerem do szkoły: pięć mil w jedną stronę.
Zaznacza alejkę, którą ona biegnie do domu
wzdłuż Dolnego Manhattanu, a potem
z powrotem: okrągłe siedem mil na nogach.

Pokazuje mi, którądy biegła w półmaratonie,
dwukrotnie okrążając fragment Central Parku.
Pamiętam tamten dzień: jej matka i ja
witaliśmy ją na mecie biegu,
podczas gdy sprawozdawca czytał jej nazwisko.
Nie była ani pierwsza, ani też ostatnia,
ale pokonała cały ten dystans trzynastu mil.

Kto tak dzwoni? (*Who's That Ringing?*)

Słyszę dźwięk dzwonka przy wejściu
i widzę sam siebie, jak podnoszę się z łóżka.
Ktoś z zewnątrz dobija się do drzwi.
Patrzę przez judasza i widzę oko
dziewczyny po drugiej stronie,
ale wiem, że to oko
mojego brata, który już nie żyje.
On chce tutaj wejść,
ale ja nie chcę go wpuścić.
Jeżeli wejdzie do środka,
coś złego się wydarzy.

Uparcie wali w drzwi.
Mam nadzieję, że metal zamka
nie popuści.

Na ile lat wyglądam (*Looking My Age*)

Moja córka mówi mi, że wyglądam staro,
starzej niż wyglądałem ledwie dwa miesiące wstecz,
kiedy ostatni raz widzieliśmy się ze sobą.
„Czy masz na myśli moje oczy?” pytam.
„Chodzi o całą twoją twarz,” ona na to.

Pamiętam te czasy, kiedy po kilku miesiącach
nieobecności w domu przyjechał ojciec
zobaczyć się z rodziną – swoją żoną i z nami, dziećmi.
Siadywaliśmy naokoło jadalnianego stołu
a mój brat i siostra i ja pytaliśmy go:
„Kiedy ty zrobisz się stary?”
Bardzo byliśmy rozbawieni tym pytaniem,
ponieważ on jeszcze nie był stary.
Nie przedstawialiśmy pytać i śmiać się bez końca.
Mieliśmy trzy, cztery i siedem lat.
Nasz ojciec – trzydzieści trzy.

W Świątyni Zęba (*In the Buddha's Tooth Temple*)

Wchodzimy do świątyni, aby zobaczyć relikwię:
zęb Buddy znanego w Myanmar,
kiedy Buddha od dawna już nie żył.

Zatrzymujemy się przy szeregu ołtarzy
odpowiadających kolejnym znakom zodiaku.
W każdym oddziale jest ze sto małych Buddów,
każdy z nich niepowtarzalny, w mimice i gestach,
podobnie jak żołnierze z pradawnej chińskiej stolicy,
których terrakotowe ciała nie różnią się od siebie,
tylko twarze są każda inna.

Kierujemy się na górne piętra, wszędzie
słychać śpiewy mnichów,
wzmocnione akustyką budowli
napętniają sobą świątynię.

Mijamy ogromny młynek modlitewny
i docieramy do sali z relikwią.
(Zastanawiam się, czy to zęb mądrości, czy siekacz.)

W sali, prócz nas, nie ma nikogo.
Nie ma tłumów wokół postumentu,
na którym ułożono zęb tego księcia,
który rozstał się z wszystkim, co miał,
ażeby zyskać to, co było mu potrzebne.

Przejęcie klasy (*Class Coup*)

Prezydent US przejmuje obowiązki w klasie, w której uczę.
Nie było go tam przez cały semestr,
ale pojawia się na końcowe egzaminy.
Będzie podliczał punkty za testy i dawał oceny na koniec.

Jestem zaniepokojony tym, że nie ma on wystarczającej
wiedzy na temat poszczególnych studentów,
żeby móc wystawiać końcowe oceny za ich pracę,
ale jest dla mnie jasne, że nic go nie powstrzyma.

Proszę o podanie mi jego adresu mailowego,
ponieważ sądzę, że powinniśmy przedyskutować oceny,
ale oficer z ochrony, mówi że to niemożliwe.
Nie posiadam zezwolenia na pisanie maili do prezydenta.

Tymczasem jeden z wysokich urzędników już zbiera indeksy
i układa je na podłodze prezydenckiej limuzyny.
„Zaczekaj”, mówię, ale do niczego nie jestem już im potrzebny.
Studenti otrzymają oceny, jakich się nie spodziewają.

Bóg będzie widział (*God Will See*)

„Czy panu się śpieszy?” pyta mnie młody chasyd,
kiedy stoję ze swym rowerem u zbiegu ulic
na South Williamsburg.
„Dlaczego?” pytam ja.
„Chciałbym, żeby pan zamknął drzwiczki zamrażalnika” mówi.
„On bardzo brzęczy i nie chce przestać”.
„Dlaczego pan nie może ich zamknąć?”
„Jest Szabat.”

Idę za nim skręcając na rogu ulic
w stronę jego apartamentowca.
„Wie pan”, mówię, „ja na pana miejscu
po prostu zamknąłbym te drzwiczki. Nikt by nie zobaczył.”
„Bóg będzie widział.”
Jadę windą podczas gdy on idzie po schodach.

Wchodzę do jego mieszkania, przechodzę obok trójki dzieci
bawiących się gierką na podłodze czystego pokoju bez mebli.
Drzwiczki zamrażalnika odstają na szerokość cala. Domykam je dłonią.
„Czy chciałby pan coś zjeść?” pyta. „Może wody?”
„Nie, dziękuję”, odpowiadam. „Mam wodę ze sobą.”
Wychodzę, wsiamam na swój rower i jadę w stronę mostu.

Thaddeus Rutkowski (1954) jest autorem ośmiu książek, między innymi zbioru poezji *Border Crossings*, 2018 oraz *Tricks of Light* (*Gra światła*) z roku 2020, z którego pochodzą zamieszczone utwory. Wielokrotnie nagradzany, brał udział w festiwalach poezji na całym świecie. Jest wykładowcą uniwersyteckim. Mieszka z żoną i córką na Manhattanie.

Zastanawiam się czasem, jak wyglądałoby przejście między tym, a tamtym. Czy tam pada? Zgarbione, sfrustrowane i obcięte na boba panie na pewnym okultystycznym przedmiocie szkolnym z całą ulokowaną poza sobą pewnością głoszą, że „tam” znikają wszelkie negatywne aspekty egzystencji. A ze mnie padałyby pewnie bluźnierstwa zdzierające warstwy sufitu kaplicy sykstyńskiej. Wobec nikogo nie żywię chęci znalezienia się „tam”, jak wobec dziadka. Mimo wszystko jest tam na pewno. Babcia, która dopiero po jego udarze powiedziała po cichu: „teraz się go nie boję”, na pewno wymodliła mu tam miejsce. Bohater KWK Wujek, mój młodzieńczy bohater. Dawid i Goliat, zasługujący na Sąd Ostateczny.

Intelektualiści-alkoholicy mają wiele do powiedzenia i tym powiedzeniem granice do przekroczenia, ale w tym zawsze się jąkają. Wtedy nawiedza nas pytanie: Czy monument jest monumentem? Przecież pomnik się nie jąka. Nikt nie twierdzi trafniej o egzystencji, niż ten, który ma problem z własną i nad nią pracuje. Obiera pomnik warstwa po warstwie. Problem artystów, problem materiału i wielu pobocznych ciał. Problem zapijania przerw między nimi, wylewania bólem jak żywicą, by niechętnie i nieświadomie, stały się całością. „Picasso. Twórca i niszczytel”.

Czasem domyślam się, co czuł Gałczyński. Od owacji kolejnego wydania wybitnego dzieła, po niezdarne zapisywane pijanej frazy na zaplamionej serwetce. Wiatr tak się nami bawi. Śmieci, podobne do milionów, śmierdząca mizeria w niewidzialnej misce, tygiel zły, zwany tygłem dobrym.

I spychacze. Agresję w moim życiu zawsze zwiastuje dym papierosów. Pałacy kierowcy spychaczy mieszają nas, gdy już wysychamy w skorupę, zimni i twardzi, plugawi w suszy. Niestety mieszają też głębię. Dziś nie sposób przypominać lawy.

Rytmiczność doznań i obezwładniająca symetria estetyki, zegarmistrz światła purpurowy. Reakcja zachowawcza jest tu jed-

nak ograniczona. Nie wiadomo czym się bronić, skąd nadejdzie drapieżnik. Dlatego zwykle, gdy ma się polskiego typowego ojca, trudno wykształcić w sobie szacunek do kobiet. Kurzą się one, jak Norwid, który przecież w Fatum „Czeka, czy człowiek zboczy?”

Trudno jest znieść głuchą przestrzeń. Depresja, chwile zapomnienia, nawet w dobrym tygodniu.

Orzechy leżały miesiąc, ale smakują wybitnie. Nie trzeba bać się smaków. Skosztować kaparów, flaków, płuczek na kwaśno. Świat jest gorzki inaczej niż papierosy. Każdemu według zasług. W śmiałości decyzji kto kończy, kto mógłby, widać jeden warunek: pewien wzrok, nie do opisanie. Nawet we wzroku pryzmat nakazuje czuć.

Gdzieś czyjaś muszka przeleciała na koncercie. Kobieta śpiewała o mężczyznach bez deklaracji. Gdzieś ten kurz pobudził asystentów do obrony swych mężczyzn. Skądś wyłonił się gwar kobiet. Trudno powiedzieć kto był po czyjej stronie, bo każdy był apatycznie tolerancyjny. Kto wie jakie słowa, kto wie jakie czyny. Ale wszystko wskazuje na to, że coś się wydarzyło, prawda?

Kocham. Czuję, że całym sobą, chociaż coś wciąż podpowiada, że to nie wprost, a gdzieś z boku. Dziwne, że myślę przed miłością. W myślach czule tapiceruję. Nawet nie zauważam, że robię to sam z siebie. Martwię się zanim nadejdzie. Niepotrzebnie przyciągam. Planuję nasze i przyjemnie odrębne; myślę, że nie tylko ja. Zapamiętuję kiedy cisza i kiedy dotyk. Gotuję się na daty. Fantazje przed pracą i bez płacy. Pytania

rys. Bogna Skwara



o ślub trzymane gdzieś w skrzynce. W miłości trudno o puente przed jej końcem.

Ciche trzęsienie. W pewnych chwilach spada nagle dławiący oddech, znany strach, nie wiedzieć czemu utożsamiony z twarzą, która znaczy coś dla tych, którzy coś dla mnie znaczą. Bufor, inna wartość, wymiar i optyka. Czy logicznie bać się miłości naszych bliskich?

Pasja znakomitego jedzenia. Hipnoza senności. Adoracja seksualnych doznań. Czasem naciśnie żeby się wysrać. Zakorzenie wewnątrz demony nie definiują przecież ani w ząb. Ludzie zjadają zęby na nie swoich powołaniach. Szukający złotych zębów znajdą w innych każdą dziurę. Inni wołają sztuczne zęby. Trzeci myją i chodzą do dentysty. Chyba lepiej czule zadbaj. Sypimy się już sami z siebie i sami z sobą.

A gdyby tak powódź zniszczyła stary młyn. Zabytek dawnych poniemieckich wygnanych, oszalamiający wszystkich, pokochany przez jednych. Odnawiany przez lata, przez ręce kolejnych dekad. Przewinęło się przez niego tysiące osób i emocji. Przez tysiąc pomysłów miejsce istniało, istnieje i będzie istniało. Przez tysiące łez i jedną falę młyn przestał istnieć. Pozostały emocje, pozostała miłość, pozostali wygnani.

Nie sposób przejść obojętnie wobec ingerencji w istnienie.

Kto to widział korzystać z łuku pod górę. Ta wojna jest z góry przegrana. Co to za przedstawienie, w którym reżyser pyta widza co aktor ma pod maską? Dach zaplesniał i smród nie pozwala myśleć. Zawsze znajdzie się ktoś zmierzły na siedzeniu. Jeszcze światła trzeba ustawić. Chce się wyjść na ulicę i trzasnąć drzwiami.

O traumach opowiada się trudno. O traumach opowiada się wolno. Nawet nigdy z dnia na dzień, chociaż jest ochota; wtedy dzieciństwo w śniegu jest smutne. Droga w tym grudniowym puchu, zdaniem ojców, ku politechnice, zawsze zawiera więcej sensu niż reszta. A przecież już sam tramwaj i autobus kształtują humanistę, choć w oczach ojca po zawodowce stawiają gdzieś pośród szarej masy miast, którą w samochodzie się omija i która jak w getcie porusza się dzielnicami pieszych. Trudno milczeć o wszystkim, ale łatwo jest wtedy pisać o niczym.

Przed hibernacją mogłeś podrywać Czeszki na teksty o plantacji budyniu. Mogłeś pić z nimi jabola w parku japońskim, tym jeszcze tajemniczym, bez kamer. Mogłeś opowiadać jak to lubisz starsze inteligentne, które bez opamiętania chciały przegody bez zobowiązań. I tak dziś spisuję to, nie wierząc w plantację budyniu, widząc zupełnie inny ogród, widząc te dziewczyny rozsypujące się w proch.

Nie wiadomo od czego w dół zacząć. Od kruka chyba, który niezwykle piękny i pokiereszowany, niechcący stał się symbolem smutnego życia. Kruk zawsze, choćby białym okiem, widzi więcej. Widzi kapryśną sympatię instrumentów. Widzi chęć jedności, ale możliwą jak połączenie lewego z prawym. Co dzień widzi rozlaną na ulicy benzynę, pięknie pachnącą i kolorową. Ale czy wiedzący o co chodzi w benzynie da radę z kolorytem Polaków?

I tak skądś widać kogoś więcej. Widać ukrytą niejedną Nadzieję. Ona, zacieniona gdzieś w zapomnieniu widzi co się dzieje. Co dnia chwytą i wnet zapomina. Bo Nadzieja jest jak pamięć ludzka. Z emocji zaczyna, rozczarowania nożem kogoś lub coś dożywa. Rozpięta w kombinat linkę latawca to raz puszczą a raz rozwija.

A brnijcie wy! Brnijcie do tego obiektu hejtu waszego niedoścignionego, pewnie gównianego! Brnijcie wy do tego ekranu

wszechwiedzącego, co wyjaśnić ma wszystko a nawet siebie zaktualizować nie może. Brnijcie do toni przyjaciół obecnych tylko gdy w wódce trzeba utonąć. Nawet brnąć nie musicie w niechęć, co was zniechęca, w smutek, co was zasmuca, w tę krzywdę, która gwóźdź do dłoni i nogi wbija przez ciało i duszę. Dusić się nienawiścią do kogoś nawet nieznanego, na pewno przekłętą! Brnijcie w końcu do poszukiwań duszy nie w duchocie, siebie nie w Świebodzinie, psychiki, ale nie wśród psów cynicznych.

Mimo że historia kołem się toczy Człowiek wtruwania niewiele ma do roboty. W chwili i życiu ostrzemy trójkąt. Im więcej tym mniej i wyżej. Każdy trójkąt ma się inaczej. Nasz cichy płodozmian. U każdego w sercu toczą się kolejno noce i dnie.

Ciągle mi mówisz, że jesteś w ciągu, ze stresu i z odpowiedzialności. I niby nie umiesz tego tak o odstawić? Przecież na każdej imprezie potrafisz zagrać jak to w ośrodku terapeutycznym byli zszokowani, że dalej jesteś w fazie wzrostowej. Która to, trzecia? A wiesz, że twój syn tej jest w trzeciej? Teraz ci to mówi. Przez ostatnie cztery lata czyste dni mógłby zsumować najwyżej w miesiąc. I łatwo jest przestać, ale trzeba wziąć na klatę skutki. Przez pierwsze dwa dni czujesz się jak wyjęty z pralki. Twoje wkurwienie to tylko zapowiedź tego, co nadejdzie później. Opuścił nas ktoś kto nigdy kimś nie był. Teraz, bez balastu trudno będzie obrać kierunek. Wiadomo, że jest przyszłość, ale ślepy na karuzeli ma problem ją dostrzec. Bo tak wygląda zmiana – to wydarzenie z siebie fałszywej płynnej aorty. „Choćby ciepło, choćby z puszki”. Choćby dać się... Cwiartowanie nie jest stylem. Dzielić ludzi „prosto: na mądrych i głupich”, zauważyć szarych. Dojrzeć milion rodzin cwiartowanych.

Już któryś dzień na trzeźwo, trzepią się myśli. Wypiłem, myśli uniosły się w szczyty. Coś jest w mojej ziemi, z której pochodzi czarna energia. Jednak uważać trzeba, by za daleko nogi nie poniosły w góry i co gorsza w ich trzewia. Cepry niby kalają dobro, depczą igliwie. Choć patrząc z góry myślą „kto odwieździ i wesprze piękną Poloninę?”. Pomknąłem z wiatrem nad Solinę. I z czystych gwiazd wyczytałem miłość, miód i coś wewnątrz, co mówi mi, że byłem.

I oto świat zatrzęsł się w posadach. Ptak, drobny wróbelek, wyruszył wraz z gwiazdą. Każde jednak istnienie swoim działaniem zaczyna się obciążać, spacać, spadać. Głos rozbrzmiewa, odbija się, daje nadzieję. Siła rwana jest sierpem własnego unicestwienia. I problemem jest nauczenie się języka, i wzięcie do ręki szklanki. Trawi kości, „rozkrucza” barki, zapada wyraz twarzy. Upadła podnosi się, gdy zapomina, że była. Kiła mogiła.

W czasach gdy potrzeba bycia posiadaczem wyziera nawet z kibla, ten ruchomy cel jest też kością niezgody. Każdy krąg ma swoje cienie, swą kamerę, która święcie nienawidzi, ciągle kręcąc dysk za dyskiem. Co kręgosłup zatem zyska, kiedy walczy o ustanie... wojny kibla z hejtowaniem? Gdzie oczekiwanie wschodu i zachodu osób, tych co dalej i tych blisko?



Reportaż z Kazachstanu

Ks. HENRYK PYKA

W ubiegłym roku znalazłem się w grupie kilkunastu śląskich księży, którzy wzięli udział w peregrynacji po Kazachstanie. W założeniu organizatorów było odwiedzenie kilkunastu parafii prowadzonych przez polskich duszpasterzy. Wiązało się z tym duchowe, ale i materialne wsparcie parafii, spotkania z wiernymi, rozmowy, „dotknięcie” pamiątek męczeństwa i wiary zesłańców.

Ujęła mnie prostota biskupa Astany, stolicy tego kraju, który w białej sutannie powitał nas w porcie lotniczym, usługując w załadunku naszych bagaży do mikrobusu. Przejechaliśmy potem tym pojazdem wiele kilometrów od parafii do parafii. Ksiądz Arcybiskup Tomasz Peta rodem z Kujaw, nasz gospodarz czuwający nad rozległą metropolią jest wielkim czcicielem Najświętszego Sakramentu. W tym wielokulturowym kraju postrzega on Obecność Jezusa Eucharystycznego, adorowanego codziennie w miejscowej katedrze, jako ukryte, a przecież nieustannie pulsujące źródło pokoju i jedności. W zawołaniu biskupim „Ut unum sint” – aby byli jedno – zawarł on program swojej działalności w kraju tak bardzo zróżnicowanym kulturowo i religijnie. Nocna adoracja Jezusa Eucharystycznego to pierwszy czyn, jaki nam, polskim duchownym, zasugerował ksiądz Arcybiskup, kiedy przyjechaliśmy do Astany. Całonocna adoracja Najświętszego Sakramentu, którą podjęli z godziny na godzinę poszczególni uczestnicy kapłańskiej pielgrzymki, ukierunkowała nasze spojrzenie na ten Kraj przez pryzmat Bożego Miłosierdzia. Dokonuje się ono w przemianach, jakie tu zachodzą, jak i w ofiarniczej posłudze kapłanów, którzy tu złożyli swoje życie.

Samotnie wędrując nocą z hotelu do katedralnej kaplicy adoracji na wyznaczoną mi godzinę, miałem sposobność przekonać się, że Astana mimo swej wielokulturowości to miasto spokojne i bezpieczne. Takim mi się też i później wydało, kiedy „kręciłem się” wokół licznych tu meczetów i zwiedzałem ich wnętrza. Bo Kazachowie, którzy sami doznali wielu okrucieństw z rąk moskiewskiego zabójcy, naturę mają łagodną. Zaproszeni przez księdza Arcybiskupa na kolację do nieodległej od katedry restauracji mieliśmy okazję przekonać się do usługowości Kazachów. Usługiwała nam młodzież kazachska ubrana w tradycyjne stroje. Kierując się narastającą podczas tego wieczoru sympatią do tych młodych ludzi zdecydowaliśmy się na pamiątkową fotografię, do której Kazachowie chętnie stanęli. Tu kosztowałem pierwszy raz kumysu, kobyłej serwatki, którą znałem wcześniej

z literackich przekazów. Sanderus, znany z „Krzyżaków” Sienkiewicza, pojony był kumysem z braku wina. Teraz i mnie się dostał ten tatarski napój. Kiedy podczas naszej peregrynacji po tym kraju dotarliśmy do Tajynszy, odległej o kilkaset kilometrów od Astany wioski w północnym Kazachstanie, przeczytałem na pamiątkowej tablicy umieszczonej na ścianie tamtejszego dworca kolejowego:

PAMIĘCI POLAKÓW DEPORTOWANYCH W 1936 ROKU, WDZIĘCZNI KAZACHSTANOWI I NARODOWI KAZACHSKIEMU ZA WSPÓŁCZUCIE, ŻYCZLIWOŚĆ I OKAZANĄ W CIĘŻKICH CZASACH POMOC.

Tablica przewiązana była białą-czerwoną szarfą. Tajynsza była ostatnią stacją, do której docierały bydlęce wagony, z których wychodzili w szczyry step polscy zesłańcy deportowani z ziem dawnej Rzeczypospolitej. Niczego tu nie było. Bezkręś po rozległy horyzont i ziejąca beznadzieją pustka. Wioska powstała dopiero z nakazu Chruszczowa w roku 1960. Przywożono tu Polaków, którzy nie zmieścili się w granicach Polski, ustalonych w Traktacie Ryskim w roku 1921. Wypędzeni przez bolszewików z zasobnych gospodarstw na Ukrainie jako „kułacy”, znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji bytowej. Wypędzano ich tak, jak przyjechali w bezkresny step. Wiele zmarło podczas podróży. W stepie „krasnoarmiejec” wbijał kołek w ziemię mówiąc: tu teraz wasze miejsce na ziemi. Podał numer zasiedlenia, ograniczający przestrzeń poruszania się i numer cmentarnej parceli. To wszystko. Nawet łopaty nie mieli, by wykopać sobie na zimę ziemiankę. Dobrze było, kiedy zostali przywiezieni wiosną. W Kazachstanie zima wcześniej się zaczyna i jest bardzo mroźna. Śniegi zalegają niezmiernie poacie stepu. To kraj kontynentalny. Jeśli przed zimą udało się wykopać ziemiankę nie znaczy, że znaleźli bezpieczne schronienie. Wielu mieszkańców takich ziemianek umierało zatrutych czadem od prymitywnych palenisk, przy których się grzali. Nie ma tu lasów i drewna. Palili uzbieraną trzciną i trawą. Z tych surowców zmieszanych z gliną z czasem wyrabiali cegły i budowali prymitywne schronienia. Cmentarz szybko się wypełniał. Pamięć o ofiarach ludzkich istnień złożonych w nieludzkiej ziemi i dzisiaj jest żywa, choć wiele tych cmentarzy porosło wysoką trawą. Na cmentarzu, gdzie chowano dzieci, pomiędzy mogiłami widziałem porozrzucone misie, zajączki, lalki – dziecięce zabawki. To ślad niedawnych odwiedzin. Cmentarz, choć porośnięty wysoką trawą, której nikt nie kosi, jest odwiedzany i budzi wzruszenie.

Teraz, kiedy przypominam sobie kwaśny smak pitego w kazachskiej restauracji kumysu, myślę o tych małych dzieciach, którym kumys nie uratował życia. Zepchnięcie rodzin z małymi dziećmi w otchłań mrozu, porywających wichrów, jak świadczy o krańcowym okrucieństwie sprawców tych przerażających zbrodni, tak też i przywołuje obecność w tamtych czasach ludzi obdarzonych zmysłem Miłosierdzia. Nie wszyscy przecież pomarli. Kumys dostarczony z kazachskiego chutoru uratował nie jedno dziecko trapiące gorączką, a użyczona łopata Kazacha, może i kosa pozwoliły na czas wykopać schronienie i wymościć trawą wykopaną ziemiankę.

Miłosierdzie w porę okazane wraca darem Miłosierdzia nawet po latach. Czy to odpowiedź zasłyszana w godzinie mojej modlitwy w kaplicy astańskiej katedry, dedykowanej Matce Bożej Nieustającej Pomocy? Tytuł kościoła sugeruje formę obecności katolików w tym Kraju.

W Tajynszy duszpasterzem miejscowej parafii jest ojciec Alexey Mitsinskiy. Współpracuje z ojcem Wysockim. Obydwaj Marianie. Niemal wszyscy duszpasterze pracujący w Kazachstanie są Polakami. Są i Niemcy. Austriacki jezuita prowadzi w Pietropawłowsku szkołę średnią. Jest jej dyrektorem. Ojciec Alexey mówi dobrze po polsku. Urodził się w rodzinie, w której jedno z rodziców jest Kazachem, drugie ocalałe z zesłania jest polskiej nacji. Cała ta dramatyczna historia ludzkich losów dojrzewała w Alexeyu dzięki opowieściom babci, tu na nieludzką ziemię niegdyś zesłanej. Urodzony w Kazachstanie sam podjął decyzję zostania kapłanem, bo to Miłosierdzie, którego doświadczyła niegdyś jego rodzina ze strony Kazachów pora im teraz okazać. Posługuje tu zatem głosząc Ewangelię, którą przekłada na posługę charytatywną. Dzięki repatriacyjnej polityce polskiego rządu w minionych latach wielu Polaków wróciło z Kazachstanu do swojej Ojczyzny. Kościół Katolicki w Kazachstanie zwraca się obecnie w kierunku tubylczej ludności, ciągle jeszcze naznaczonej rosyjską kulturą i językiem. Astana jest nową stolicą tego kraju. Przejęła tę funkcję po Alma Acie. Jej futurystyczna architektura ma świadczyć o nowym kierunku, jaki obrał kraj uwolniony od rosyjskiej dominacji. Ksiądz Andrzej Halemba, śląski misjonarz, sekretarz Komisji Misyjnej Episkopatu Polski i organizator naszej pielgrzymki do Kazachstanu, jest sprawczą przyczyną ukazania się tłumaczenia Katechizmu Kościoła Katolickiego także na język kazachski. Arcybiskup Astany postrzega bowiem misję Kościoła Katolickiego w Kazachstanie w zwróceniu



Astana. Powitanie na lotnisku z księdzem Arcybiskupem Tomaszem Petą

się ku miejscowej kulturze i tradycji, która wyraża się językiem narodu kazachskiego. A ksiądz Alexey? Jego fotografię znalazłem w książce profesora Wojciecha Jasiakiewicza i Agnieszki Gutkowskiej zatytułowanej *Tam niczego nie było. Niczego nie było i dużo umierali. Wywózki Polaków do północnego Kazachstanu (Tajynsja) 1926–1938*. Obecność Ojca Alexeya pośród swoich zaowocowała tą pomnikową publikacją – świadectwem, które rozsądza ten ludzki system, w którym żyli Polacy. Dzięki świadectwu ostatnich świadków, którzy przeszli przez tę sowiecką gehennę, to co zawierały tajne sowieckie ukazy stało się jawne. Jasiakiewicz i Gutkowska pod patronatem Ojca Alexeya zebrali te świadectwa. Zanim polecisz do Kazachstanu, przeczytaj tę książkę. To coś więcej jak turystyczny przewodnik.

Nie pojechałbym do Kazachstanu, gdyby nie moja dawna „znajomość” z księdzem Władysławem Bukowińskim. Czytałem jego pamiętnik *Wspomnienia z Kazachstanu*. Nie znałem go osobiście, jednak dzięki

tej lekturze stał się dla mnie „ostrogą”, która szarpała moje sumienie, kiedy posługa kapłańska wydawała mi się zbyt uciążliwa. Po prostu jest moim kapłańskim „idolem”. On też był duchowym przewodnikiem naszej peregrinacji po tak odległym od Polski kraju, a jednak bliskim. Heroiczny kapłan – duszpasterz polskich zesłańców, obdarzony wyjątkową świadomością swojego kapłańskiego posłannictwa. Zmarł w roku 1974. Wyniesiony na ołtarze przez papieża Franciszka w roku 2016, jako błogosławiony spoczął ostatecznie w krypcie katedry pw. Matki Bożej Fatimskiej w Karagandzie. Byłem przy jego relikwiach i na jego grobie. Pierwotny jednak grób znajduje się na zapuszczonym wysoką trawą cmentarzu na obrzeżach Karagandy. Przeciskając się pomiędzy licznymi tu mogiłami trzeba przedrzeć się przez ten „busz”. Sam grób księdza Władysława zadbane, pośród wielu zapomnianych mogił zapomniany nie jest. Na tej mogile przeczytałem wyznanie błogosławionego Władysława, wypowiedziane w obecności ówczesnego biskupa

krakowskiego Karola Wojtyły. Proponował on, i nie tylko on, schorowanemu już wówczas i doświadczonemu latami pobytu w łagrach misjonarzowi kazachskich stepów pozostanie w Polsce. Ten miał powiedzieć: „Grób kapłana także apostołuje”. Wrócił do Karagandy, z której wielokrotnie podejmował odległe podróże duszpasterskie, nierzadko kończące się zesłaniem. Z przerwami dwadzieścia lat przebywał w łagrach. Mimo to po każdym uwolnieniu wracał do swoich zesłańców, niosąc im dar Obecności. Słowa, które przeczytałem w miejscu jego pierwotnego pochówku, definiują istotę jego posłannictwa i są dopełnieniem tego, co powiedział biskupowi Karolowi Wojtył: PRAGNĘ BYĆ RAZEM Z MOIMI PARAFIANAMI. A JEŚLI UMRĘ, UMRĘ POŚRÓD NICH I Z NIEBA BĘDĘ IM POMAGAŁ. Uważa się, że żywy dzisiaj Kościół Katolicki w Kazachstanie, którego doświadczaliśmy podczas naszego pobytu w tym Kraju, rozwija się dzięki ofierze kapłańskiego życia błogosławionego księdza Władysława.

Otek, dumny Polak

Władysław Morawski 13 czerwca 1943 – 15 maja 2014

BOŻENA CZĄSTKA-SZYMON

Mięły kolejne rocznice bitwy pod Monte Cassino, wymarszu Kadrówki, śmierci Zbigniewa Herberta. I nic. Nie ma już sms-ów z fragmentem wiersza, patriotycznej pieśni czy cytatu, które upamiętniałyby te fakty. I już nie będzie, bowiem ich autor, Władysław (Otek) Morawski, znany śląski fotografik, odszedł 15 maja 2014 roku. Akurat w imieniny Zosi, córki jego siostrzenicy i chrześniaczki Bogny.

Zmarł człowiek, dla którego wszystko, co polskie było niezmiernie ważne. Ojczyznę miał jakby w krwioobiegu. Jego drogę życiową wyznaczały wartości podstawowe: Bóg – Honor – Ojczyzna.

Pochodził z ziemiańskiej rodziny z północnych Kresów. Jego dziadek ze strony matki posiadał jeszcze majątek pod Dyneburgiem nad Dźwiną, potem rodzina osiedliła się w Wilnie. Mieszkali w kamienicy w centrum miasta tuż obok domu, w którym żył Mickiewicz, a może Słowacki. Jego matka, Maria z Raginisów Morawska, skończywszy medycynę na Uniwersytecie im. Stefana Batorego, pracowała jako okulistka w miejscowej klinice. Ojciec, Stanisław, urodzony pod Mołodecznem, skończył w Poznaniu leśnictwo, a także ekonomię. Związany był ze słynną szkołą leśną w Żyrowicach w Nowogrodzkiem, w której był kierownikiem Wydziału Leśnego. Część rodziny ojca pochodziła z powiatu oszmiańskiego. Morawscy stracili majątek podczas I wojny światowej oraz rewolucji październikowej i w 1920 roku musieli się osiedlić pod Gnieznem. Władysław imię otrzymał po wuju, kapitanie Raginisie, bohaterskim dowódcy obrony wrześniowej pod Wizną.

Na początku II wojny światowej, w lutym 1940 roku, jeden z wileńskich pacjentów pani doktor, oficer rosyjski, ostrzegł ją, że będą wywózki na Sybir. Ojciec natychmiast zarządził wyjazd, zapakował najbardziej potrzebne rzeczy. Zabrał matkę, teściową, obydwie córki – Halinkę oraz Krysię i przedostał się do Generalnej Guberni, w okolicie Końskich. Tu właśnie 13 czerwca 1943 roku urodził się Władek. Matkę stracił wcześniej, zmarła na tyfus panujący w szpitalu. Władzio był wtedy malutki, miał zaledwie pół roku. Wiele lat później ojciec zapytał go, czy pamięta mamę. A synek odpowiedział mu: Mamusia pachniała fiołkami. Rzeczy-

wiście, okazało się, że używała perfum o takim właśnie zapachu.

Po wojnie ojciec zabrał z Końskich rodzinę i osiedlił się na Śląsku. Powierzono mu funkcję zorganizowania w Brynku Gimnazjum Leśnego. Był pierwszym dyrektorem tej szkoły. Ściągał do niej kolegów i nauczycieli, z którymi pracował w Żyrowicach. W opiece nad dziećmi pomagała mu niania. Babcie szybko zmarły, a chłopiec wyrastał na samotnika. Był wtedy, jak sam mówił, mikrego wzrostu. Pochła-

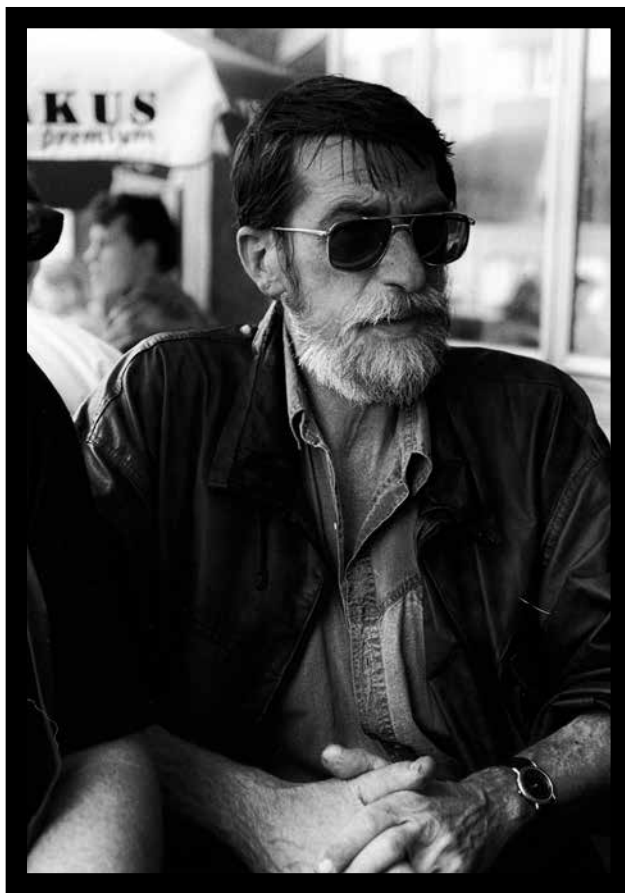
wydział operatorski w łódzkiej filmówce. Pod koniec życia stwierdził, że właściwie dobrze się stało, bo był za miękki...

A przecież w środowisku dziennikarskim miał opinię twardziela. Wydaje się, że znano go jednak powierzchownie. Że rodzaj pancerza, jaki sobie narzucił i którym odgradzał się od otoczenia, nie został rozpoznany. Stąd pewnie biorą się stereotypowe opinie, które drukowano tuż po jego śmierci. Wielu pamięta go z „Marcholta”, także z innych knajp. Opowiadano legendy o herbatkach Otki (zawsze z wkładką). Pamiętano, że był mistrzem celnych ripost, ironii, że lubił brylować w towarzystwie. Ale jakoś nie zauważono tego, że był opiekuńczy. Kiedyś rozchorował się ciężko red. Eugeniusz Zaczek. Zniknął z horyzontu. Nie wiadomo było, gdzie jest. Poszukiwania trwały, a rezultatu nie było widać. Wreszcie w którymś hospicjum Otek znalazł Gena. Zaczek tam chodził. Na zamówienie kolegi przynosił a to grochóweczkę, a to żurek. Bo kucharzył znakomicie. Niektórzy pamiętają do dziś jego zupy rybne czy specyficznie przygotowywanego indyka.

Troskliwość i odpowiedzialność, a także dyskrecja to szczególne cechy Otki. Troszczył się o syna swej ówczesnej towarzyszki życia, opiekował gośćmi, zawsze starannie obmyślając to, czym poczęstuje odwiedzających go krewnych, przyjaciół czy znajomych. Był prawy i szlachetny. Mówiło się o nim, że jest człowiekiem starej daty. Tych, którzy go odwiedzali lubił odprowadzać do granic swojego domostwa. W przypadku bloku przy Słonecznej były to drzwi wejściowe do budynku.

Otek był erudyta. Formalnego wykształcenia wprawdzie nie miał, ale swoją wiedzą mógłby obdzielić paru profesorów zwyczajnych. Mo-

na mu było śmiało przekazywać do tzw. pierwszego czytania humanistyczne prace, a zwykle coś w nich znalazł, czy podsunął pomysł do rozwinięcia. Wydawałoby się, że lekkoduch, nawet utracjusz, ale zawodowe obowiązki wypełniał wyjątkowo sumiennie, a nawet ofiarnie. Znane są przypadki robienia przez niego zdjęć z niesprawną ręką, czy upadku do wykopanego dołu (na pogrzebie Cybulskiego). Miał unikalne zdjęcia z pielgrzymek Papieskich. Miejsca, niedo-



niał masę książek. Potem nadszedł czas (i moda) na egzystencjalizm. Władek nosił czarne swetry, zakładał ciemne okulary, rozczytywał się w Sartrze. Przyszedł też okres buntu. W ostatniej klasie zmienił męskie liceum w Tarnowskich Górach na szkołę fotograficzną w Piotrowicach. Swoje pierwsze znane zdjęcie – portret Daniela Olbrychskiego – zrobił mając 22 lata, a w rok później rozpoczął pracę jako fotoreporter w prasie. Trzykrotnie próbował zdawać na



Protest w Katowicach



Pogrzeb bohatera



Msza za Ojczyznę



Pielgrzymi przed Jasną Górą



Piesza pielgrzymka krakowska

stępne dla reżimowych fotografów, były dla niego otwarte. Stąd wyjątkowe ujęcia np. z pogrzebu księdza Popiełuszki. Na zapisie filmowym *Nocnej zmiany* zauważymy Otkę, „tańczącego z aparatami” przy oficjach.

Inni na jego miejscu ruszyliby z wystawami, i to nie tylko w kraju, sprzedawaliby korzystnie swoje fotografie. Otek trzymał swój zbiór u siebie, a galeriom czy muzeom dyktował takie ceny, że zdjęć nie kupowano. Co innego podarować komuś, co innego zrobić w prezencie reprodukcje obrazów, a potem zdziwionej Wioli Bańce powiedzieć, że od artystów nie bierze...

Otek miał styl. W zachowaniu, w ubiorze, kompletowaniu marynarek i kurtek skórzanych, budzących podziw licznych siostrzeńców. Trzeba przyznać, że zaczął być dumny z młodych krewnych, kiedy zorientował się, że chętnie co roku jeżdżą na uroczystości pod Górą Strękową. Organizował je Dariusz Szymanowski, który nie tylko odkrył szczątki kapitana Władysława Raginisa i jego zastępcy, por. Stanisława Brykalskiego, zorganizował ich powtórny pogrzeb, ale też zebrał relacje miejscowej ludności o bitwie. Teraz zaś przygotowuje rozprawę doktorską na temat polskich Termopil (bo tak nazywa się szaleńczą obronę Wizny). W związku ze zbieraniem materiałów pan Darek stosunkowo często był w Katowicach u Otki. Ten zaś starannie przygotowywał się do podjęcia gościa. Podobnie troszczył się o jednego z siostrzeńców – Łukasza, kiedy ten przyjeżdżał na południe Polski.

Znał mnóstwo ludzi, był atrakcyjny towarzysko. Lubił mieć swoją „agorę”, a wśród młodych – pełnić funkcję guru. Tak naprawdę jednak wybierał samotność, lekturę i dobrą muzykę.

Kiedyś znana katowicka aktorka zapraszała go na jubileusz do teatru w Zabrzu. Początkowo się opierał, ale w końcu uległ i pojechał. I później nie żałował. Znow miał swoją „widownię”, a Holoubek, usłyszawszy dowcip o carycy Katarzynie i aktorze od razu zapytał, czy będzie mógł go „sprzedać” w Warszawie. Kiedyś dłużej rozmawiając z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim usłyszał od mistrza: „Gdzież się pan uchował? Proszę mnie koniecznie odwiedzić w Neopolu”.

Otek interesował się fotografią, teatrem, filmem, nade wszystko – historią i polityką. Dobrze znał literaturę. Jego ukochanym poetą był, oczywiście, Herbert. Lubił też Tuwima – kiedyś przy kawiarnianym stoliku przepowiadali sobie z Bogdanem Widerą *Kwiaty polskie*. Bardzo cenił Asnyka, do którego był zresztą dość podobny. W młodości uprawiał hippikę. Świetnie trzymał się w siodle. Jeździł na tzw. fakultetach w grupie Dziubasa (Andrzeja Pawłowskiego). Robił też w Zbroslawicach serwisy fotograficzne.

Stale się spieszył. Obwieszony aparatami przebiegał przez rynek, bo trzeba było dokumentować rzeczywistość. Sprawy prywatne szły na bok, kiedy okazało się, że runął dach w chorzowskiej hali, czy gdzieś tapnęło.

Był zdeklarowanym antykomunistą. Przez wiele lat uchodziło mu to płazem, jednak w stanie wojennym wyrzucono Go z gazety. Zajmował się wtedy robieniem znaczków. Głównie o treściach antykomunistycznych (śp. PZPR)

i patriotycznych (orzędek w koronie). Systematycznie chodził na podziemne spotkania, które odbywały się w mieszkaniu przyjaciół (plastyka i polonistki). Dzisiaj należy przypominać to, że trzeba było wówczas odznaczać się sporą odwagą, by organizować wykłady opozycjonistów z Warszawy, Krakowa czy Gdańska, również niezależne spektakle, a także w nich uczestniczyć. A w tamtych czasach grono obecnych nie było tak wielkie, jak w pobliskich miastach, np. w Gliwicach. I raczej nie spotykało się tam ludzi z kręgu prasy. Także środowiska artystyczne i naukowe Katowic były reprezentowane dość miernie.

Oczywiście, Otek stale fotografował, są zdjęcia z zomowcami, jest dokumentacja grudnia 1981 r., są portrety opozycjonistów. Kiedyś Kaziowi Świtoniowi – już wtedy, gdy można było schodzić do aresztu w piwnicach na Kilińskiego nie w charakterze zatrzymanego – zrobił zdjęcie przez kraty celi...

Postawę Otki ukształtowała tradycja rodzinna. Pradziadek ze strony ojca zginął w powstaniu styczniowym. Miał też w rodzinie hallerczyków. No i Raginis, wierny do końca. Ojciec zaś podczas okupacji utrzymywał kontakt z partyzantką, a w czasie stanu wojennego – drukował w drugim obiegu.

Warto wspomnieć, że Stanisław Morawski był autorem i współautorem licznych prac z zakresu ochrony środowiska i leśnictwa. To właśnie ojciec Otki podsunął gen. Jerzemu Ziętkowi pomysł i plan rekultywacji hałd i stworzenia parku pomiędzy Chorzowem i Katowicami.

Otek był bezkompromisowy. Gardził koniunkturalistami, nie cierpiał zaprzaństwa. Potrafił być wyniosły, a także okazywać lekceważenie. Tak w ogóle, to nie miał łatwego charakteru! Ale jeśli kogoś zakwalifikował – według własnych kryteriów – jako przyjaciela, wtedy był wierny i łagodny. Chyba, że zmieniła się systematyka...

Ten szczipły, dość wysoki mężczyzna miał w sobie coś pańskiego. Wyprostowany jak struna, głowa dumnie osadzona na szyi. Bywał szarmancki. To typ mężczyzny rzadko już dzisiaj widziany. Jeszcze najczęściej – na spotkaniach ludzi z Kresów...

Do ZPAF Otek nie należał. To była świadoma decyzja. Miał znakomite, dokumentacyjne i prześmiewcze fotografie z czasów komunistycznych. Zdjęcia z tzw. drugim dnem. Doczekały się częściowej charakterystyki w opracowaniu śląskiej fotografii prasowej. Ale wystawy tych prac do tej pory nie było. W 2013 roku, tuż po otrzymaniu Wielkiego Splendoru Śląskiej Fotografii, spotkały go dwa ciężkie przeżycia. Pod koniec marca zmarł przyjaciel – Tomek Jura, z którym planował wspólne obchodzenie siedemdziesiątki. Oczywiście Otek był na pogrzebie, później na ASP. Po kilku dniach – odszedł młodszy kolega z Tarnowskich Gór, którego kiedyś przygotowywał do egzaminu w szkole aktorskiej – Andrzej Lipski (b. dyrektor zabrzańskiego teatru). Tym razem pogrzeb odbył się w Krakowie, więc Otek już tam nie pojechał. Zresztą czekał na rezonans. Ale powtarzał często: „Jak oni mogli mi to zrobić...”

Wkrótce potem sam zaczął chorować.

W lecznicach odwiedzali go najwierniejsi –

sąsiedzi Marylka i Jurek, jeden z fotografików, paru przyjaciół z podziemia oraz rodzina. Dopływał się często o innych, ale jakoś trudno im było znaleźć drogę do szpitala. W przerwie między hospitalizacjami zdążył z bliskimi celebrować swą siedemdziesiątkę. Wkrótce znowu trafił na onkologię.

Swój los przyjmował spokojnie. Na pytania o samopoczucie z dystansem i ironią odpowiadał: „sekcja wykaże”. A była to sytuacja Łazarza. Człowieka, który całymi dniami czekał na „procedury”, który nazajutrz po wyjściu ze szpitala był tak osłabiony, że upadł i złamał obojczyk. Musiał być więc operowany. A jego zmagania z chorobą stały się „wizytówką” naszej służby zdrowia.

W mieszkaniu Otki nie było widać fotografii, była za to otwarta Biblia, której fragmenty potrafił przytaczać, sporo książek, radio nastawione na falę 103,7 MHz oraz telewizor z dostępem do „Republiki”. Jak dziecko potrafił się cieszyć z niezależnej telewizji. Musiał znać bieżące informacje, wydobywane z prasy przy kawiarnianym stoliku. Potem była dość drobiazgowa charakterystyka i rozważania taktyczne, jeśli byli słuchacze. Miał umiejętność stratega.

Nie wszyscy wiedzą, że dopóki mógł, uczestniczył w comiesięcznych mszach smoleńskich. Że był w katowickiej katedrze – razem z sześciotysięcznym tłumem – na mszy w intencji telewizji „Irwam”, a potem przeszedł w pochodzie pod pomnik Powstańców Śląskich.

Ostatni raz publicznie Otek pokazał się 30 marca 2014 r. w kościele Garnizonowym w Katowicach na poświęceniu tablicy, upamiętniającej kapitana Raginisa i jego podkomendnych. Odsłaniać jej już nie mógł, był bowiem bardzo osłabiony. Zrobił to w imieniu rodziny szwagier, Grzegorz Królikiewicz razem z fundatorką.

Święta Wielkanocne i poprzednie, Bożego Narodzenia, spędził razem z bliskimi. Bogna, nazywana przez Otkę Bogusią, zorganizowała wujkowi z sercem i oddaniem prawdziwie rodzinne uroczystości. „Pustelnia” samotnika zamieniła się w tętniące życiem mieszkanie z nastrojem i zapachami świąt. Otek był wtedy szczęśliwy. Bardzo chciał żyć. Do końca wierzył, że uda mu się pokonać chorobę. Miał jeszcze wiele planów. Marzył o wyjeździe do Brynka wiosną w porze kwitnienia azalii.

Jak niewiele wiemy o ludziach, zwanych legendą miasta czy regionu. Jak często jednostronnie ich oceniamy. Tym bardziej należy podkreślać wierność w przyjaźni. Możliwość opierania się na tych, co nie zawiodą. Jednym z nich, najbliższym Otkowi, był Jurek Mozduńiewicz. To on codziennie był u Otki w szpitalu. To on się o niego troszczył, naklejał plastry uśmierzające ból.

Władysława Morawskiego pochowano w Łodzi, na cmentarzu św. Anny, tuż obok grobu niani, na którym siostra, Krystyna Królikiewiczowa, posadziła przed laty krzew bzu. W ostatniej drodze towarzyszyła mu rodzina, przyjaciele i koledzy z prasy, a Przemek z „Pokolenia” złożył wiązankę biało-czerwonych kwiatów z napisem na szarfie: „Otkowi, dumnemu Polakowi!”

„Witaj maj, piękny maj...”

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Każdy miesiąc ma swoją specyfikę klimatyczną, uzależnioną od przestrzeni geograficznej. I ma też zawsze swoją historiografię, także mit. Odzwierciedla się to w życiu zbiorowym, czyli we wspólnocie narodowej i regionalnej, ale i w perspektywie indywidualnej. Bo przecież mamy też własne doświadczenia, przeżycia i wspomnienia.

Oczywiście dotyczy to również miesiąca maja. W sensie uniwersalnym ten okres od dawna w polskiej kulturze zaznaczał się w sposób szczególny. We wszystkich warstwach, bo przecież zarówno w życiu arystokracji, jak i szlachty, a później mieszczaństwa. Również w tradycji chłopskiej, ludowej. A poza sferą kulturową funkcjonowały też określone realia polityczne, społeczne, wreszcie nader wyrażnie patriotyczne. Wracając jednak do sfery kulturowej – rodzą się od razu wyraźne skojarzenia ludyczne. Chodzi głównie o „majówki”. Jednak zakres tego słowa, jak podają słowniki, ale też prace historyczne, ludoznawcze i socjologiczne, zmieniał się w czasie. Wyrażnie dotyczy to również doby współczesnej. Dziś ów czas wzbogacają różne formy świętowania, oficjalne i nieoficjalne, spontaniczne. Wszak obecnie dni majowe to na początku tradycje pierwszomajowe, potem te związane z dniem 2 maja (kiedy świętujemy, i to od wielu już lat, Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej), wreszcie 3 maja, czyli święto Konstytucji. W tym ostatnim kontekście pojawia się znany utwór autorstwa przedwcześnie zmarłego poety Rajnolda Sucho-dolskiego (1804-1831; zmarł zrywając bandaż z rany, kiedy dowiedział się, że Warszawa została zdobyta przez Rosjan). Dziś niestety ów poeta jest zapomniany, przypomnijmy zatem, że to on jest twórcą naszego z całą pewnością hymnicznego utworu. Rozpoczyna się prosto i konkretnie: „Witaj majowa jutrzeńko, / Świeć naszej polskiej krainie”. A dalej:

Witaj dniu trzeciego maja,
Który wolność nam zwiastujesz,
Pierzchną już ciemieźców zgryza,
Polsko dzisiaj tryumfujesz.

Dnia 3 maja, decyzją Piusa XI z 1923 roku, w naszym Kościele obchodzimy ponadto uroczystość Najświętszej Ma-

ryi Panny Królowej Polski. Jednak ów dzień w odległej przeszłości – bo w roku 1505 – to również „zła data”: wtedy na sejmie w Radomiu uchwalono decyzję, która przeszła do historii jako *Nihil novi* i niestety stała się fundamentem ustrojowym dawnej Polski. Różnie bywają oceniane wydarzenia, które nastąpiły w dniach 12-15 maja 1926 roku. To oczywiście zamach majowy. Natomiast jednoznacznie oceniamy na szczęście nieudany zamach na papieża Jana Pawła II 13 maja 1981 roku – to był dzień wielkiej obawy, bólu, ale i zgody narodowej. A z kolei 18 maja 1944 roku upamiętniamy bitwę pod Monte Cassino.

No cóż, różnie w przeszłości bywało i to również kształtuje naszą współczesną świadomość. Potwierdzają to prace historyczne i studia socjologiczne. Z ciekawieniem przyjmujemy wiadomość o tym, że w dni majowe, owe „majówki”, niegdyś bawił się już król Stanisław August Poniatowski, ale bawiły się też rody arystokratyczne i dwory szlacheckie. I to na terenie całej I Rzeczypospolitej, na obszarach centralnych, zachodnich, i nader bogato na ówczesnych Kresach Wschodnich, Wileńszczyźnie, na terenach południowo-wschodnich. Z czasem to samo zjawisko moż-

na zauważyć w realiach kultury ludowej, w tym także w realiach górnośląskich, czyli w kontekście tradycyjnej kultury plebejsko-miejskiej, w tym robotniczej. Ujawniało się to w sferze zabawowej, obrzędowej, ale też specyficznym pojmowaniu tego okresu – czasu rozkwitu przyrody, czyli schyłku wiosny i nadchodzącego niedługo lata. Wszak, jak głosi pieśń, w maju „serca rwą się do radości i miłości”.

W kontekście uniwersalnym można tu zauważyć kategorie swoistego „opadu kulturowego”, jak i formownie się kulturowych zjawisk samorodnych. Ten miesiąc w sposób szczególnie odzwierciedlony jest też w życiu i kulturze religijnej. Przykładem nabożeństwa i obrzędy. To czas eksplozji wiary i pobożności w pieśniach religijnych, maryjnych, jak choćby słynna pieśń *Chwalcie łąki umajone*. Owa specyfika występuje wyraźnie także w górnośląskiej tradycji religijnej. Pomijamy przykłady, bo niewątpliwie wszyscy je znamy, zachowujemy je w pamięci, zastanawiamy się nad ich sensem. Część regionalnej tradycji majowej tkwi nader wyrażnie w lokalnej kulturze religijnej, różnych formach świętowania, także w obrzędach i pewnych skonwencjonalizowanych zachowaniach kulturowych. Ale pozostawmy te sprawy i skoncentrujmy się na realnej teraźniejszości. Wszak tegoroczny maj też ma swoje znaczenie polityczne, a w konsekwencji i inne. Dlaczego? Bo dnia 18 maja pójdziemy do wyborów prezydenckich.

W tym dniu sami – jako Polacy, mieszkańcy różnych obszarów – wybierze- my drogę, którą będziemy wspólnie kroczyli. Powtarzam: wspólnie. Niewątpliwie jednak tego dnia ów proces nie będzie zakończony (a przed czerwcową „dogrywką” nastąpi w tym roku, w czwartek 29 maja, dzień Wniebowstąpienia Pańskiego). Ów demokratyczny wybór to decyzja istotna. W sensie logiki „wybór” to „przyznanie pierwszeństwa elementowi wyselekcjonowanemu ze zbioru, który jest: niepusty, niejednostkowy, a także różnorodny”. A w czasie wyborów prezydenckich oczywiście wybierze- my konkretnego polityka. Zatem to tylko my dokonamy wyboru. Odrzucimy to, co pozostaje w sprzeczności z naszymi poglądami, myśleniem. Ale czy emocjami? Oby ten wybór był pomyślny dla Polski. ■





ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Śmierdzirobótka i wonichlebiczek

Kiedy z monografii Wiesława Przybyły Stanisław Czernik. Człowiek i pisarz (Ostrzeszów 2009) dowiedziałem się, że bohater jednej z powieści tego twórcy nosi nazwisko Gryzikamień, od razu uruchomiłem w swej morfologicznej wyobraźni identycznie zbudowany ciąg takich wyrazów złożonych, jak wydrwigrosz, dusigrosz, burczy-mucha, liczykrupa, woziwoda, paliwoda, mąciwoda, pędziwiatr, pasibrzuch, moczymorda, dzierzymorda, zawalidroga, drapichrust, łamistrajak, świszczypała, łapiduch, do których można także dołączyć strukturalnie tożsame – a znane mi – nazwiska typu Wozipiwo, Kwasiżur, Trzepiż(z)ur, Trzepigroch (pierwszy człon od dawnego znaczenia czasownika trzepać – „czyścić”), Tłuczyką, Kręciproch, Moczygęba, Płaszczymąka, Trzęsimiech, Waligóra, Stawinoga, Parzyjągła czy herb szlachecki Zerwikaptur. Wszystkie te formy zbudowane zostały według słowotwórczego modelu: „temat czasu teraźniejszego czasownika plus rzeczownik w mianowniku”.

Natychmiast przypomniałem też sobie ekspresywny śląski rzeczownik *śmierdzirobótka* o znaczeniu „leniuch, człowiek nieskory do pracy”: „Jorguś łód malutkości ból taki śmierdzirobótka”, „Niy bier go do pomocy, bo ś niego jest śmierdzirobótka” (Bożena Cząstka-Szymon, Jan Ludwig, Helena Synowiec *Mały słownik gwary Górnego Śląska*, Katowice 2000, s. 259). Synonimicznymi określeniami *śmierdzirobótki* są w polszczyźnie śląskiej *łobijok*, *objok*, *zgniłyty*, *próżniok*, *łój*, *niyrobiś*,

niyrobisz, *niyrobol*: „Tyn to jest zgniłyty do roboty”, „Jeszcze zech niy widziała takij zgniłyty dziółchy!”, „Zaś kaś idóm te dwa niyrobisz”, „Dużo niyrobisiów sie teraz spotyko na drógach”, „Downiyy to sie niy widziało tela niyroboli, a teraz to połno takich, co mają piosiek w rynkowach” (op. cit., s. 165, 259, 304).

Wracając zaś do *śmierdzirobótki*, dopowiedzmy, że jest on też obecny w baśni Gustawa Morcinka pt. *O tym, jak górnik Maśłok kramarzyl się ze Skarbnikiem*. To dlatego różne adaptacje utworu Morcinka noszą tytuły *Maśłok śmiedzirobótka* czy „Jak górnik śmierdzirobótka ze Skarbnikiem się spotkał”. O Maśłoku narrator mówi wprost: „On jest taki śmierdzirobótka i wonichlebiczek”.

W tym ostatnim zdaniu pojawia się jeszcze jeden rzeczownik identyczny strukturalnie – *wonichlebiczek*. Nie znałem go – tak jak większość indagowanych przeze mnie osób, a i nie ma go w cytowanym wyżej słowniku trojga autorów. Za to w *Słowniku gwary śląskiej* Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich z roku 1996 na s. 81 czytamy: *wonichlebiczek* – „lizus”. A skoro *wonichlebiczek* oznacza „lizusa”, to znaczy, że jego wariantem leksykalnymi jest w moim języku – utrwalaony od najwcześniejszego tarnogórskiego dzieciństwa – *przychlybek* (rzadziej *przychlybiec*) wraz z czasownikami *przychlybiać się*, *przypodchlybiać się*: „podlizywać się, schlebiać komuś” – z cytatami w leksykonie Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec: „Ta Ola

to taki przychlybek, zaś sie dzisiaj przychlybiała pani łód polskiygo”, „Ty mi sie nie przychlybiej, ino sie lepij ucz”, „Niy cirpia tego synka, co sie tak przychlybio waszjy pani” (s. 202).

Dodajmy, że *przychlybkiem* nazywa się również „przymilne dziecko” („Z tyj naszjy wnuczki jest taki przychlybek – siado mi na klin i ści-sko za kark”), a czasownik *przychlybiać się*, *przypodchlybiać się* może też być używany w znaczeniu „dogadzać” („Chciałach sie przychlybić mojemu wnuczusiowi – dziyn-niech mu warzyla kakałko”).

Przypomina mi się jeszcze *przychlast*, którego nie ma u Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec, ale jest – w znaczeniu „lizus, pupil, pupilek” – u Czajkowskich i Klukowskich (na s. 60).

Słownik internetowy każe mi do rejestru słów oznaczających lizusa dopisać *lizonia*, *podlizka* i maksymalnie ekspresywnego *utrziidupę* (również zbudowanego według modelu „temat czasu teraźniejszego czasownika plus rzeczownik w mianowniku”) wraz z *utrziidupskim*. Ten ostatni – zdefiniowany jako „pozwalający sobą pomiatać, pokornie wykonujący wszystkie polecenia jak służący” – jest też obecny w leksykonie Czajkowskich i Klukowskich.

Wielość i różnorodność słownikowych zapisów, przytoczonych w dzisiejszym odcinku, pokazuje bogactwo i ekspresję stylistyczną mowy śląskiej, a zarazem jej ogromne zróżnicowanie, uwarunkowane odmiennymi językowymi zwyczajami poszczególnych regionów naszej małej ojczyzny.

Hybrydy (21)

TOMASZ BOCHEŃSKI

Lewą rękę opiera o blat kasy i pozwala, by dwie złote bransoletki, złote w słońcu, spłynęły w dół na zielonego gнома, na prawej ma jeszcze jedną, ściskająca mankiet munduru. Sygnetem wystukuje jakiś kawałek rockowy. Cały czas kreśli małe ósemki pękiem kluczy na srebrnym łańcuchu trzymanym koniuszkami palców. I lustruje. Oczyma przebiega po dworcowych kasach, barach, ławkach w hallu, po kiosku, automatach z kawą i biletami, na koniec po gołębiach pod dachem, jakby do nich strzelał. Dwanaście punktów, chyba już nie liczy w wślach, chyba od dawna panuje nad dworcem. Po kwadransie zmienia łokieć i wtedy puszcza zajączki po wszystkim wokół: kajdankami, krótkofalówką, rączką gumowej pałki, sprzączkami paska i butów, literami na odblaskowej kamizelce, tłustym daszkiem i policzkami, laminowanym identyfikatorem, kolczykiem w uchu, sygnetami. Może coś przeoczyłem, bo błyszczący jak lustrzana kula w dysko-tece. Potem sprawdza monety w kieszonce bluzy, żeby było słyhać, i kaburę pod bluzą, żeby było widać. Po godzinie rusza przez hall. Pyta o każdy bagaż oddalony metr od właściciela, kosze oświetla latarką. Nachyla się i coś wyciąga, dziwne, ale znalazł Barbie bez głowy i nogi. Jak się schylił, odsłonił dwa kawałki tatuaży, na szyi to chyba smok, na przedramieniu głowa węża. Czuję, że zostało mu już niewiele wolnego, tylko twarz i prawa dłoń. Pod mundurem trzyma na uwięzi kilkadziesiąt potworów, ani jednego prawdziwego.

A wzięłbym pod mundur ojca, który tak kocha szynkę, bo jego ojciec jadł tylko od święta, i matkę, mistrzynię sklepowych wieszaków, i brata ze sztucerem w ręce, stojącego na ambonie, i siostrę, która przeklina co miesiąc tanie linie lotnicze, i zięcia, ksywa grilldrink, i żonę, co do netu wrzuca tipsy i peelingi, i syna, w strzelankach naprawdę najlepszego oraz kumpli od paintballa i piwa do ligi mistrzów, i sąsiada, jeśli się jeszcze zmieści. Co ja sobie wyobrażam, przecież ma ich wszystkich pod różnymi postaciami: smoków, węży, drutów kolczastych, łapaczy snów, czaszek, ma tylko dwie na obojczykach, gwiazdny pyłu, złotych myśli, też ma tylko dwie, starszą – „gdzie nie ma walki nie ma siły” i cał-

kiem nową – „I think... too much”. Wiem, że nigdy nie wytatuuje sobie: „zdrowa woda życia doda”, bo już nie ma miejsca, chociaż ta myśl wisiała u dziadka cały jego czas.

Na dworcu czytałem go przez półtorej godziny, tyle spóźnił się pociąg, nie mogłem nie czytać, tak głośno się wyrażał. Za Centralną mija się składy podmiejskie całe w graffiti. Interesujące dla tych, co malowali. Wysiadam w połowie drogi i idę nad staw w skierniewickim parku. Jeszcze słońce nie stopiło lodu. Jest! – krzyczę. Pod olchami widnieje wiatr wczorajszy schwyty przez mróz, właściwie nie mróz, ale przez czas, który nadaje gęstość nawet zjawiskom ulotnym. I schwytał wiatr na powierzchni wody. Mogłem zobaczyć z bliska, że wczorajszy wiatr ma kształt liści paproci. Odetchnąłem, jakbym zapomniał cały dzień i wróciłem na pociąg.



Umówione spotkanie na Mokotowie. Gorączkuję, przyjechałem wcześniej, za godzinę kupię alfę. Rodziny wychodzą na lody w słoneczne sobotnie popołudnie. Dresy, klapki, luz, tylko ja co chwila sprawdzam czas. Wreszcie piętnasta. Zamknięte osiedle. Osiem domów. Nie mówi się o nich bloki. W każdym domu trzydzieści apartamentów. Nie mówi się o nich mieszkania. W portierni siedzi portier. Mówi się o nim ochroniarz. *Musi pan wcisnąć domofon*. Wcisam, żeby wejść na patio. Z patio przez domofon do domu. Winda, trzy poziomy życia i dwa podziemnego parkingu. Parking otwierany kartą, brama otwierana pilotem. *Co pan tutaj robi*, słyszę za plecami. *Wszedłem za kimś na parking, żeby obejrzeć moje auto*. Ochroniarz zobaczył mnie na monitoringu i przybiegł. *Obcemu nie wolno tu samemu wchodzić*. I odprowadził mnie pod drzwi. Umowa kupna już na mnie czekała podpisana. Złożyłem też podpis i mogłem wyjechać na powierzchnię.

Prawie nie zwracały na mnie uwagi. Spierały się koleżanki z pracy, biegły księgowe. Nie mogły dojść do porozumienia, pięć czy siedem miesięcy życia, energii i w ogóle. Pierwsza, ta która sprzedawała alfę, twierdziła, że siedem, a nawet jeden więcej, zresztą niedługo będzie dziewięć jak w Bar-

celonie, już teraz można doliczyć pół marca i pół listopada, prawie każdego roku. *Zartujesz*, powiedziała druga, w zeszłym roku spadł śnieg w kwietniu, mróz zwarzył kwiaty drzew owocowych. *Raczej ty zartujesz*, przecież to były tylko trzy dni. *Trzy dni, ale wystarczyło*. Nie wystarczyło, rośliny przeżyły. *Nieprawda*, nie wszystkie, mówię ci, że na siedem miesięcy wszystko schodzi pod ziemię. Nie zgadzam się, najwyższe na cztery i pół. Już w styczniu u nas na patio kwitną mahonie japońskie. Ależ to wybryk przyrody. Żeby załagodzić spór powiedziałem, zależy kiedy się liczy, jeśli zimą, wychodzi że pięć miesięcy, jeśli wiosną siedem i więcej. Obie zwróciły się do mnie – od kiedy to arytmetyka zależy od pór roku. Zależy. Jeśli liczy się w lipcu albo sierpniu, oczywiście z dala od szpitala i cmentarza, wychodzi dwanaście a czasem więcej. Proszę pana, jaki cmentarz. Tutaj w promieniu kilometra jest wszystko, centrum handlowe, dobre restauracje, kino, stacja metra, szkoła, basen, fit-fabric. Upierałem się, ale bez przekonania, właściwie z pozycji przegranej, że arytmetyka zależy też od wielkości ogrodu. W wielkim mieście-ogrodzie można doliczyć się piętnastu miesięcy, a w samym wielkim ogrodzie jeszcze więcej. Pożegnały mnie z ulgą.

I więcej niż piętnaście, mówię już w alfie. Przekonuję, że trzeba mieć apetyt na miarę wielkiego miasta. Wielkie miasto wybrały przecież panie dla wielkich pragnień. Mijam wielki brzuch mokotowskiego centrum handlowego, duże ryby pożerają małe ryby. Biegłe księgowe to przecież – z grzeczności nie mógłbym dokończyć, ale teraz mogę, bo rozmawiam sam ze sobą – to duże ryby. Z zazdrości dodaję – grube ryby w zamkniętym osiedlu. I kto to mówi? Próbuje przez całe miasto skończyć ten dialog, wreszcie na autostradzie, znajduję kwestię. „Człowiek, który przywiązuje się do domu, z rozbójnika przekształca się w pomocnika żandarma”. Ale to zdanie nie kończy rozmowy, z puenty jak z rozciętego brzucha wysypują się niezliczone szprotki zdań. Cały w tych szprotkach otwieram pilotem bramę, a potem garaż, alfa składa lusterka, mówi do zobaczenia, światło samo się zapala, gdy wchodzę do domu. Tak właśnie wygląda żałoba po rozbójniku. ■

Gra nazwiskami

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Łatwo dostrzec szalejącą w przestrzeni publicznej dosłowność – i w mowie, i w piśmie. Dosłowność ta niewiele ma wspólnego z chęcią bycia precyzyjnym. Zwroty, które kiedyś uznawano powszechnie za wulgarne, inwektywy i obelgi nie tyle wkradają się do współczesnego słownika, co tryumfalnie wchodzą do niego przez główną bramę. Nie, nie zamierzam rozważać, czy za stan taki odpowiada Internet i media społecznościowe czy może napięta sytuacja polityczna w naszym kraju i nie tylko, czy może synergia tych dwu elementów. Interesuje mnie co innego – czy na tle rosnącego prostactwa ciągle jest jeszcze w naszym świecie miejsce na językową przewrotność? Na językowe gry? Na aluzje i ironię? Otóż – okazuje się – jest i to miejsce. I, bywa nawet, że ta językowa przewrotność ma charakter piętrowy. Oto poproszony o jakąś medialną wypowiedź poseł Witold Zembaczyński wypalił „Panie Mazurek i panie Stanowski, wy nawet zsumowani jesteście zerem. Dziękuję”. Słyszymy tu oczywiście wyraźną aluzję do „Kanału Zero”, którego Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek są niekwestionowanymi gwiazdami. Czy to zabawne skojarzenie? No cóż, moim zdaniem – tak. Tyle tylko, że wykpiwana często – nie tylko w „Kanał Zero” – postać posła Zembaczyńskiego, dała Mazurkowi i Stanowskiemu okazję do przewrotnej i permanentnej riposty. Otóż, od czasu zabawnego (ale też – nie ukrywajmy – przecież jakoś obraźliwego dla dwu wspomnianych dziennikarzy) bon motu Zembaczyńskiego, ów fragment filmowego nagrania posła awansował na stały element czołówki zapowiadającej autorski program obu panów. Uznali widać, iż fakt, że autorem sprowadzającej ich obu do „zera” diagnozy jest właśnie poseł Zembaczyński da efekt odwrotny od przez parlamentarzystę zamierzanego. Że – innymi słowy – będzie dla nich dodatkową, zabawną reklamą.

II Tak, co do dezawuowania oponentów czy – szerzej – ludzi, których nie cenimy i za którymi nie przepadamy, to sprawa nie zawsze jest tak prosta jak każda inwektywa. A, jak w przypadku posła Zembaczyńskiego i „Kanału Zero”, sytuacja bywa ryzykowna. Nawet w świecie literackim ostrożność na pewno nie zawa-

dzi. Przyglądnijmy się opinii Wiesława Górnickiego o tomie szkiców Stanisława Mackiewicza (Cata) zatytułowanym *Był bal*, poświęconym historii XIX wieku: „Kolekcjonerzy potworności językowych, patolodzy słów powinni tę książkę oprawić w złote ramki, ponieważ będą nad nią miauczeć z rozkoszy (...). Że książka (nakład 200 tysięcy) prawie zupełnie zniknęła już z księgarni, informować nie trzeba. Mniszkówna naszej publicystyki plasuje się chyba w pierwszej piątce chodliwych autorów (...) Mackiewicz z powodzeniem eksploatuje zdumiewającą prostą historiozofię maglerek: na Polaka to kaźden dybie, polityka – jedno złodziejstwo, dziwki ministrami rządzą, a już Angliki, moja pani, to najgorsze dranie” („Przegląd Kulturalny” 1961, nr 33). Otóż w drugim wydaniu książki Mackiewicza opinię Górnickiego wydawca zamieścił na skrzydełku okładki. Uznał, widać, że osoba/nazwisko Górnickiego spowoduje, że krytyka tomu *Był bal* akurat przez Górnickiego, może zadziałać na korzyść (pokupność, poczytność) dzieła Stanisława Mackiewicza (Cata).

III Warto sprawdzać, czy „słowa znaczą przez to, co znaczą, a nie przeciw komu zostały użyte”. Niekiedy w grę wchodzi wersja skrajnie ascetyczna. Stefan Kisielewski, Kisiel, legendarny felietonista „Tygodnika Powszechnego” miał pomysł na tekst złożony z samych nazwisk. Na dał mu dwuznaczny – acz łatwo zrozumiały dla wychowanego na publicystyce Kisielewskiego – tytuł: *Moje typy*. Była to wskazówka o charakterze antyreklamy – nie chodziło wszak o typowanie liczb wylosowanych w Totolotku czy typowanie wyniku futbolowego meczu, ale o typy spod „ciemnej gwiazdy”. Znaleźli się autorzy, którzy wiele lat później próbowali małpować zaproponowaną przez Kisielewskiego formę anihilacji z przestrzeni publicznej osobników, za którymi z różnych powodów nie przepadali. Jak się zdaje podróbki nie przyniosły wówczas większego rozgłosu plagiatorom pomysłu Kisielewskiego. Najwyraźniej mocno przecenili swój status autorytetu. A może po prostu czasy się zmieniły – i co środowisko to inny ktoś pretenduje do roli prawodawcy. Wreszcie nie przypadkiem mówi się dzisiaj o kryzysie autorytetów.

IV

Wariantów „gry w nazwiska” może być zresztą znacznie więcej. Ot, jakiś czas temu zobaczyłem w Teatrze Telewizji świetną rzecz Paula Barza zatytułowaną *Kolacja na cztery ręce*. Spektakl wyreżyserowany przez Kazimierza Kutza z doskonałymi kreacjami aktorskimi Romana Wilhelmiego i Janusza Gajosa opowiada historię wymagowanego spotkania dwu wielkich kompozytorów Georga Friedricha Händla i Jana Sebastiana Bacha. Miało być to starcie muzycznych tytanów. No cóż, najpierw fakty – w czasie, kiedy mogłoby dojść do tego spotkania pyszałkowaty Händel jest u szczytu sławy, Bach – pozostaje wówczas nieznaną szerszej publiczności.

„– Musi mi Pan opowiedzieć coś o naszej ojczyźnie. Wszystko mnie interesuje. Co tutaj się na przykład mówi o moim *Machabeuszu*? – zaczyna Händel.

– O czym? – pyta Bach.

– No chyba wszyscy słyszeli o moim *Machabeuszu*?

– Obawiam się, że niewiele.

– A o *Samsonie*? O *Heraklesie*? O *Belshazzarze*?

– Też chyba nie za dużo.

– A o moim *Mesjaszu*?

– Jakoś sobie nie przypominam.

– O *Mesjaszu*? Nic?

– Osobiście najbardziej sobie cenię Pańską *Almirę*.

– Przecież to było 40. lat temu Panie Pach!

– Bach. Nazywam się Bach, Panie Handel.

– Händel! Przez ä”!

V

Przypomnijmy: *Almira* była pierwszą operą, skomponowaną przez Händla, była najbardziej „niemiecka” w jego twórczości – gdy późniejsze nosiły na sobie piętno doświadczeń włoskich peregrynacji autora *Mesjasza*. Skądinąd ten ostatni utwór, oratorium (a już zwłaszcza słynny chór *Hallelujah*) jest najpopularniejszą kompozycją Händla, przyniósł mu światową sławę, w każdej epoce przyjmowany jest z zachwytem. Stawiany jest na równi z *Pasją według św. Mateusza* Jana Sebastiana Bacha.

VI

Proszę, proszę – a w czasie wymyślonej przez Paula Barza kolacji dwaj muzyczni geniusze nie umieli zapamiętać prawidłowej wymowy swoich nazwisk. Wreszcie gra to nie tylko muzyka...

Palenie mostów

Wrywyk poematu episkapistycznego

OLGERD DZIECHCIARZ

Tego dnia NN ogarnęła trwoga, zwyczajnie trząsł się ze strachu, bo czuł, że lada chwila ktoś bardzo zły wyłamie drzwi, wtargnie do jego mieszkania i uczyni mu niewysłowioną krzywdę. NN bał się fizycznego bólu, a że każda trwoga sprawiała mu fizyczny ból, bał się wszystkiego: bał się innych ludzi, bał się procesów historycznych, bo wiedział, że prowadzą do dramatów prostych ludzi, a siebie uważał za prostego człowieka, znaczy takiego, który zawsze cierpi pierwszy – jak żołnierz siedzący w najbardziej wysuniętej linii okopów na froncie. Dlatego wołał zejść z linii strzału i okopać się na tyłach, znaczy zamknął się w czterech ścianach i udawał, że nie interesuje go świat, mając nadzieję, że ten świat odpowie mu podobnym brakiem zainteresowania. Świat na ogół nie był mu przyjazny i się nim interesował; tak jak tego dnia, gdy NN ogarnęła trwoga. NN spodziewał się interwencji jakichś specjalistycznych służb, które zajmują się ludźmi podobnymi do niego, to jest takimi, którzy samym swoim istnieniem, czy udawaniem, że nie istnieją, kwestionujących stan rzeczy. Miał na tyle inteligencji, by wiedzieć, że Państwo – pisane dużą literą – nie może tolerować podobnych obywateli jak on. Państwo myśli sobie: „Co by to było, jakbym pozwoliło, żeby wszyscy obywatele zamknęli się w czterech ścianach?! Kto by na mnie ciężko i bez wytchnienia pracował? Kto by służył w moich służbach bezpieczeństwa wewnętrznego i formacjach militarnych? Kto by w moim imieniu gnębił obywateli? Kogo bym wyzyskiwało?”. Myśli NN rozproszył hałas za drzwiami. Ktoś szedł po schodach, NN doskonale słyszał mocny krok Państwa, bo wiadomo, że ono chodzi w ciężkich wojskowych butach, z bronią na ramieniu (załadowaną ostrą amunicją), a w plecaku dźwiga napisane drętym językiem konstytucje i niezliczone ustawy, których nikt nie jest w stanie przeczytać ze zrozumieniem, dlatego wszyscy się ich boją. NN liczył stuknięcia butów o schody, żywił bezpodstawną nadzieję, że Państwo nie idzie do niego, tylko piętro niżej, albo piętro, a najlepiej dwa piętra, wyżej. Tak, łudził się, ale bez łudzenia nie ma nadziei. A on trzymał się kurczowo ich dwojga: złudzenia i nadziei. „Jedenaście, dwanaście, trzynaście... – liczył, bo wiedział, że jeśli tych odgłosów będzie więcej niż dwadzieścia cztery, zostanie w cudowny sposób ocalony. Przy dwudziestym czuł palpitacje serca, przy dwudziestym pierwszym spodziewał się zawału, przy dwudziestym drugim przeszedł zawał, przy dwudziestym trzecim nastąpiła jego śmierć kliniczna, przy dwudziestym czwartym przed oczami jawiły mu się zarysy bramy niebieskiej z wyrozumiale uśmiechającym się świętym Piotrem... Ale potem – po chwili ciszy – nieoczekiwanie nastąpiły kolejne kroki i stuknięcia, przy dwudziestym piątym NN poczuł zmartwychwstawać. Proces był szybki i dynamiczny – po dwudziestym szóstym stuknięciu obcasa o stopień NN nie dał rady wytrzymać w ciszy, zerwał się z kolan – bo w takiej pozycji liczył odgłosy na schodach – na proste nogi i podskakiwał wyrzucając ręce ku górze! „Będę żył, będę żył!” – szeptał, choć chciało mu się krzyczeć, ale na krzyk sobie nie pozwolił, bo nigdy sobie na coś takiego nie pozwalał. Na krzyk był bowiem za ostrożny; Państwo podsłuchiwało!

Trwoga, że nie ma Boga. Ale jeszcze większa trwoga, jeśli mamy Boga. A jeśli dobrze porachować, to i kilku by się znalazło.

na starym krześle, na którym siadywał, gdy się spieszył, ale przed wyjściem miał jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Tym razem siedział w milczeniu. NN czekał cierpliwie, aż ojciec mu wygarnie; wiedział, co usłyszy, że: „zmarnował sobie życie”, „do niczego nie doszedł, a przecież z matką chcieli mu uchylić nieba”, „miał potencjał, ale go nie wykorzystał”, „nawet wnuków im nie dał, które osłodziłyby im starość”... Nic z tych kwestii jednak nie padło. Ojciec zapalił – palił „Popularne”, najtańsze papierosy, w pogniecionej paczce, która wyglądała jak opakowanie zastępcze, bez filtra. Wydmuchiwał kłęby białego dymu, a NN patrząc na tę scenę, miał wrażenie, że z ust ojca wydostaje się ektoplazma; syn czekał na jakiś spektakularny efekt. Jednak nie, to był dym, zwykły dym papierosowy, który nie przybierał konkretnych kształtów, tylko rozplątywał się w powietrzu. Naraz NN uświadomił sobie, że panująca cisza deprymuje go: „Poczęstujes mnie papierosem?” – zapytał NN. Ojciec ani drgnął. Po dobrej chwili odezwał się: „Palenie jest szkodliwe, kto jak kto, ale ja cię mogę o tym zapewnić” – powiedział nieswoim głosem ojciec. NN kiwnął głową, że rozumie; ojciec po latach palenia nabawił się rozedmnym płuc. Ojciec zmierzył wzrokiem pokój: „Czyli tak żyjesz?...” – to było raczej stwierdzenie, niż pytanie. NN się zawstydił, jakby w jego skromnym życiu było coś wstydlivego, za co powinien ojca przeprosić. Jednak nie przeprosił. Nic nie odpowiedział, tylko rozłożył bezzadnie ręce. Ojciec mocno się zaciągnął; spopielona końcówka papierosa oderwała się i spadła na dywan. Dywan był stary, wytarty, ale mimo to, NN nie był zadowolony. „Nie masz mi nic do powiedzenia?” – spytał ojciec. NN bardzo dobrze znał to pytanie i ten ton – ojciec zadawał mu je za każdym razem, gdy wracał z wywiadówek, a i w późniejszym czasie też mu się zdarzało. Wzruszył ramionami i odpowiedział dokładnie tak, jak tylekroć wcześniej: „Starałem się”. Ojciec pochylił się ku niemu, popatrzył NN prosto w oczy, tak wnikliwie, że NN poczuł jak traci grunt pod nogami – zdenerwowany czekał na słowa, których tak dawno nie słyszał – i te słowa padły z ust ojca: „Musisz się bardziej postarać”.

Tego dnia NN włączył radio i usłyszał końcówkę rozmowy między dziennikarzem i młodym kompozytorem, który rzucił zdanie – w opinii NN – fundamentalnie nieprawdziwe: „Każda śmierć jest zła”. Z tym zdaniem NN się nie zgadzał i dlatego roztrzęsiony wyłączył radio i ruszył w spacer wokół stołu, jak zwykły czynić, gdy coś go frapowało i trzeba było sprawę przemyśleć. Chodził tak przez godzinę i do niczego nie doszedł. Wtedy zaczął spacerować w odwrotną stronę, tym razem niezgodnie z ruchem wskazówek zegara. Miał nadzieję, że to coś zmieni. Nic się jednak nie zmieniło, słońce zaszło na zachodzie, ptactwo zamilkło, zapadł zmrok, a NN opadł z sił; śmierć, która czała się za drzwiami, miała dobre intencje. „Problem w tym, że dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane” – uznał NN, który już zdążył zapomnieć dlaczego od wielu godzin chodzi wokół stołu.

Wiara wraca do korzeni; znów nie wierzy się w to, co się widzi. Bo widzi się jedno, a czuje się drugie. Po wszystkim człowiek dowiadyuje się, że to było jeszcze coś innego – jakaś trzecia droga. Najlepiej odstawić wiarę za szafę i o niej zapomnieć. Jakimś wyjściem jest też wiara we wszystko, co się widzi, co się czuje, co się słyszy, co się przeczyta i o czym informują za pomocą prasy, radia, telewizji, internetu, plotek i pomówień. Z bełkotu wyszliśmy, przez beł-

kot się przedzierałiśmy, w bełkocie utknęliśmy. To wyjście awaryjne, które okazało się wejściem.

Tej nocy NN miał ochotę zasnąć i się więcej nie obudzić, czyli mieć święty spokój. Ale święty spokój przychodzi wtedy, kiedy jemu jest to wygodne, a nie kiedy my tego chcemy, więc choć NN niecierpliwie go wypatrywał, on się nie pojawił. Godziny mijały jak życie – bez sensu, bez ładu. W końcu zasnął i spał kamiennym snem, który niczym nie różni się od śmierci, czyli świętego spokoju. Przychodziły do niego różne sny, ale było ich tak wiele, i tak szybko jeden wypierał drugi, że nie był ich w stanie spamiętać. Zapamiętał tylko jeden, ostatni, z początku dość nijaki, w którym jako szary urzędnik udawał się do pracy, a gdy dotarł na miejsce, okazało się, że nie siedzi za biurkiem, bo jest zatrudniony na stanowisku kata. Przyprowadzano mu skazanych na śmierć, a on czynił swoją powinność za pomocą pneumatycznego aparatu do uboju bydła, ale nie tak nieporęcznego, jak ten, którym posługiwał się psychopatyczny zabójca Chigurh, brawurowo zagrany przez Javiera Bardema w filmie „To nie jest kraj dla starych ludzi”, ale dobrze leżący w dłoni pistolet. NN nie czuł wyrzutów sumienia, więcej, mimo tak przerażającego fachu był zadowolony z siebie. Ci, których uśmiercał, wydawali mu się bezbarwni, rzec by można nudni; nie próbowali uciekać, w żaden sposób nie protestowali, tylko karnie podchodzili na miejsce kaźni, posłusznie stawali stopami na wymalowanej na posadzce niebieskiej linii i pozwalali NN przystawić sobie broń do czoła. Patrzyli na niego pustym wzrokiem, a NN zastanawiał się, jakie jest jego spojrzenie w tym momencie, gdy przyciska spust. Bardzo był tego ciekaw.

Tego dnia NN zdjęty niepojętym strachem postanowił rzucić się z okna. Taką decyzję podjął i postanowił trzymać się jej, jakby ta decyzja była nie tylko słuszną i zbawienną, ale i nieodwracalną. Tyle tylko, że okien w wynajmowanym przez NN mieszkaniu były aż cztery, więc wynikł trudny do rozwiązania problem z wyborem tego właściwego. Wiadomo, wybór, trudna rzecz, zwłaszcza dla ludzi, którzy mają problem z jakimkolwiek wyborem, jak na przykład politycy (poprosz polityka, żeby wybrał kilka jabłek na targu), i choć NN politykiem nie był, to z wszelkimi wyborami miał kłopoty. Analizując zagadnienie, NN rozpatrywał wszystkie za i przeciw. Wedle jego wyobrażenia to była kwestia charakterologiczna: człowiek wyniosły, mający o sobie duże mniemanie, pewny siebie i liczący na poklask, skoczyłby z okna w salonie, inny zaś, skromny, bez wybujałych ambicji, taki, który nie chce być dla nikogo zawadą, ktoś taki w celu autodestrukcji wybierze raczej jakieś intymniejsze okno, a może nawet zdecydowałby się na najzwyczajniejszy łufcik w toalecie. NN uważał się właśnie za owego skromnego samobójcę, który wyskakując z łufcika i przypadkowo spadając na kogoś, na wszelki wypadek krzyczy słowo „przepraszam”, a gdyby wysokość na to pozwalała, to dodałby jeszcze wyrazy ubolewania, że nieopatrznie narobił komuś nie lada kłopotu. Dlatego NN zajął się toaletą, ale tylko po to, by z niezadowoleniem zatrzasnąć dopiero co otwarte przez siebie drzwi, gdyż – jak się przekonał – w jego łazience nie było łufcika, o oknie nie wspominając. I tak to zamiar odebrania sobie życia – przynajmniej bez bicia: przygotowany po łebkach, chybiony – spał na panewce. Zrezygnowany NN pokijał głową nad własnym, paskudnym losem, który nieustannie czynił mu podobne zarty.

Starość to stan ciała, nie umysłu. Zestarzałem się niechcący. Długo nic nie wskazywało na to, że się zestarzeję: byłem zdrowy, miałem pierwszorzędną pamięć, a energii tyle, że mógłbym ją rozdáwać potrzebującym. Starość przyszła w czwartek, wlaźła do mieszkania bez pukania i już została. Próbowałem ją wyrzucić za drzwi, ale z nią nie ma lekko, zna sposoby oraz diabelskie sztuczki. Kto raz wpuści za drzwi starość – ten już się jej nie pozbędzie. Wystarczy, że człowiek zacznie sobie ucinąć poobiednie drzemki. Potem już z górki – prosto do wykopanego własnymi rękami grobu.

Tej nocy NN miał problemy z zaśnięciem. Ukradkiem wyjrzał zza zasłony i dojrzał przyczynę bezsenności; nie dość, że Księżyc był beczelnie obnażony – lewy profil pławiący się w ostatniej kwadrze, to jeszcze miała miejsce koniugacja Wenus z Jowiszem. I jakby tego nie było dość, w oknie bloku naprzeciwko, na wysokości jego okna, dostrzegł kobietę zdejmującą biustonosz. Pomyślał, że to nie może być przypadek, bo przypadkiem to można wpaść do studzienki kanalizacyjnej, gdy złomiarze ukradną żeliwny dekiel, ale nie może być przypadku w tym, że gdy tylko zdarzy ci się o 22.30 wyglądać przez okno, oczywiście tylko po to, by dostrzec jakieś niesłychanie rzadkie zjawisko astronomiczne, to obca kobieta zdejmuje biustonosz i okazuje ci się w pełnej krasie. Tak się jakoś dziwnie składało, że wyjątkowe zjawiska astronomiczne wcale nie są taką rzadkością, jak by się zdawało, więc NN po wielokroć miał okazję je obserwować, a niejako przy okazji było mu dane podziwiać też całkiem niezłe piersi kobiety, o której nie wiedział nic, poza tym, że rozbiera się przy włączonym świetle, zawsze o tej samej porze, o 22.30, i jakoś tak się szczęśliwie ustawia, by on mógł widzieć to, co ona najwyraźniej chce mu pokazać. Chyba ją to bawiło, bo się do niego uśmiechała, a on wtedy, speszony, uciekał, ale co w międzyczasie zdążył zobaczyć, to jego. Miał później o czym śnić, i najpewniej śniłby, gdyby nie to, że we śnie ta kobieta nie była mu łaśkawa i się do niego nie zbliżała.

Tego dnia NN zastanawiał się nad swoim życiem i kolejny raz uznał własne wysiłki, by było ono szczęśliwe, za wielce owocne. Tak, wahania nastroju następowały u niego cyklicznie i po dniach dobrych przychodziły gorsze, zdarzało się, tak złe, że szkoda mu się było nimi zajmować. I z tym się godził, bo to był naturalny cykl, jak z biblijnymi plagami. Kluczem do sukcesu okazało się ograniczenie pragnień do niezbędnego minimum. Dla każdego jest ono inne, dla NN było rzeczywiście skromne, chciałoby się powiedzieć: ubogie aż do bólu. Weźmy ten dzień, skoro jest pod ręką; NN zadumał się nad swoimi potrzebami, zarówno ciała, jak i ducha. Nie przychodziło mu do głowy cośkolwiek, czego by naprawdę potrzebował. Były rzeczy, które mogłyby się przydać, ale nie były nieodzowne. Emocjonalnie był stabilny, więc tego stanu nie zamierzał narażać na wahnięcia. Nie miał zamiaru starać się o lepsze, skoro to, co miał, sprawiało wrażenie dobrego. Choćby plama na suficie; można by ją zamalować, ale przecież nie jest duża, jest właściwie mała, nie rzucająca się w oczy, poza tym zdążył się już do niej przyzwyczaić, nawet lubił patrzeć sobie na nią i wymyślać rzeczy, czy postacie, które jej kształt mu przypominał. Gdyby wyblakła do cna, tak, czegoś by mu brakowało. Wtedy, o tak, wtedy miałby marzenie, żeby wróciła na swoje miejsce. Dlaczego więc miałby zmieniać ustalony porządek? Całe zło pochodzi od zmian. Gdybyśmy trzymali się ustalonych pradziejowych schematów żylibyśmy szczęśliwie w naszych przytulnych jaskiniach. Zachciało nam się zmian, to kosztem ogromnych wysiłków budujemy sobie wypasione domostwa, które są zaledwie ersatzami tego, czego nam trzeba, a czego sami się pozbawiliśmy.

Urodziny obchodzę każdego dnia, bo każdego dnia myślę o tym, ile mi ich jeszcze pozostało, a o śmierci najlepiej myśleć, gdy ma się urodziny. Zabiłem dziś pajaka, który spacerował po mojej twarzy; zrobiłem to odruchowo, więc wszystko na to wskazuje, że mam mordercze odruchy. Tak, my ludzie mamy to do siebie, że w sytuacji zagrożenia życia, albo czymś zaskoczeni, sięgamy po rozwiązania siłowe, co widomie świadczy o naszej słabości i podłości. Czym zawinił ten biedny pajak poza faktem swego istnienia i fatalnego wyboru drogi? Czy biedak zdążył nacieszyć się życiem, zakochać, uniknąć zjedzenia przez partnerkę i rozmnożyć? Czy, poza rozmianami, jest zasadnicza różnica między zabiciem człowieka i pajaka?

Tej nocy NN miał tak piękny sen, że gdyby był na jawie, to ze szczęścia chyba by się popłakał. Spotkał kobietę o wielkim i dobrym ser-

cu, w której rozpoznał świętą, tyle że o nieujawnionym imieniu. Mogła to być św. Gertruda, św. Brygida, czy św. Teresa, ale to nie była żadna z nich, bo nie posiadała atrybutów. Kobieta głaskała NN po włosach i łagodnym głosem napominała go, żeby nie był marcotny. Opowiedziała mu historię o zagubionym psie, który mógłby być nieszczęśliwy i okazywać smutek, ale tymczasem ten czworonóg zawsze wesoło machał ogonem i łaśił się do ludzi, a ci chętnie go poklepywali i dokarmiali. „Ty się nie łasisz i dziwisz się, że ludzie cie nie lubią.” – oznajmiła święta NN, ale w tonie jej głosu nie było wyrzutu, co najwyżej lekkie upomnienie. NN przyznał jej rację. „Czy ty w ogóle lubisz ludzi?” – zapytała nie przestając gładzić go po głowie. Znow go zawstydziła, ale nie potrafił się na nią za to gniewać. „Masz rację – z lubieniem ludzi mam ogromny problem” – wyznał zawstydzony. „Po prostu niczego od nich nie oczekuj, a wtedy to stanie się dla ciebie tak łatwe, jak oddychanie” – powiedziała święta kobieta. Popatrzył na nią smutno: „Mnie też tak lubisz?” – zapytał, choć znał odpowiedź. Odpowiedziała mu szczerym uśmiechem.

Tego dnia NN odniósł wrażenie, że jest dwóch NN, znaczy jego jest dwa razy więcej, niż zwykle, czyli o jednego za dużo. Patrzył na tego nadobowiązkowego NN z bezbrzeżnym zdumieniem, ale najbardziej zdumiewające było to, że tamten NN również patrzył na tego oto NN z bezbrzeżnym zdumieniem. „Jak rozpoznać, który z nas jest prawdziwy, skoro jesteście tacy sami?” – zamyslił się NN – nie trzeba chyba dodawać, że ten drugi pomyślał to samo. „A co, jeśli obaj jesteście prawdziwi?” – pomyśleli obaj i obaj – jak na komendę – się uśmiechnęli i wyciągnęli do siebie dłonie, ale w ostatniej chwili, tuż przed zetknięciem się palcami, wycofali się z tego nieostrożnego ruchu. Potem siedzieli z zakłopotanymi twarzami, lekko naburmuszeni, mocno nieobecni, bo myślami byli daleko, w czasach, gdy wychodzili z domu, a bywało, że wychodzili z siebie, żeby coś osiągnąć, ale to im nic nie dało, bo do niczego nie doszli. Koniec końców doszli więc – wspólnie – do wniosku, że to bez sensu, żeby się tak zajeżdzać, skoro i tak wysiłki idą na marne, lepiej już życie zmarnować, niż marnować siły na lepsze życie. I tak zrobili, do wieczora, wspólnie, marnowali życie, a jeśli dobrze policzyć, to udało im się zmarnować dwa popołudnia. A co dwa popołudnia, to nie jedno – nawet niezamarnowane!

Alter ego ma większe ego od oryginału. Właśnie tak, drugie ja to nasze właściwe ja, które powinno nas reprezentować we wszelkich kwestionariuszach i podaniach do urzędów, razem z jego zdjęciem, a nie z naszym, z którego przecież nic nie wynika, poza tym, że najczęściej nie przypominamy na nim siebie. To jest nawet wzruszające jak pięknie potrafimy kłamać na własny temat; dodajemy sobie wzrostu, odejmujemy lat, kilogramów i mówimy tyłoma językami co prorocy. W prawie każdym z nas można się zakochać po przeczytaniu wypełnionej osobiście ankiety. Tymczasem wystarczyłoby grzecznie zapytać o prawdę nasze alter ego, żeby cała sprawa by się ryła. Wiadomo, wolimy żyć w kłamstwie, bo życie w prawdzie jest o wiele bardziej wyczerpujące i kosztowne.

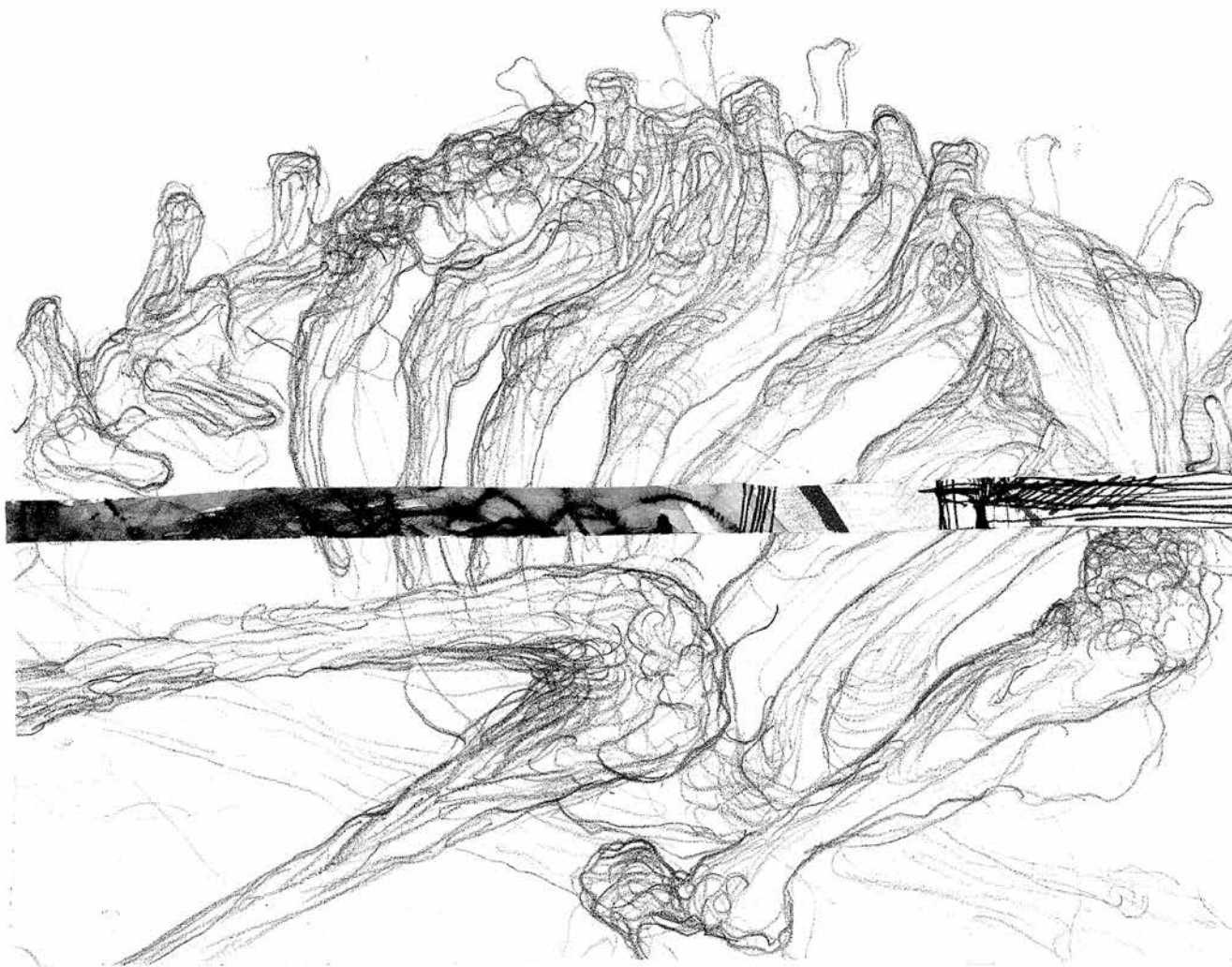
Tej nocy NN znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia – otóż osobnik o aparycji Władimira Władimiowicza Putina zaciskał dłonie na jego gardle niewątpliwie z zamiarem uduszenia NN. Patrząc w te zawzięte azjatyckie oczy, NN zastanawiał się nad jednym, czy dusi go prawdziwy Putin czy jeden z jego licznych sobowtórów. Wszystko wskazywało, że to był prawdziwy Putin, bo dusił NN z pamięcią, z pełnym zaangażowaniem, czyli tak, jak na psychopatę wypadało. Żaden sobowtór nie byłby w stanie aż tak głęboko wejść w rolę kogoś innego. Naraz NN dostrzegł, że głowa Putina ozdobiona jest końskimi rogami; wiadomo, konie rogów nie mają, ale w sennej marze nie takie dziwa się zdarzają, więc NN przyjął taką okoliczność w dobrej wierze – można by rzec z dobrodziejstwem inwentarza. No, dobrze, NN był duszony, ale nie miało to żadnego nań wpływu, mógł normalnie oddychać, tylko Putin jakby po-

czwieniał na twarzy, widać zmęczył się tym nieudolnym duszeniem. NN się niecierpliwił, bo – co by nie mówić – znudziło go to całe zamieszanie. Niewiele się namyślając on złapał za gardło Putina i jął go przyduszać: „Złapał Kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łeb trzyma” – wyrecytował porzekadło. Putin zwątpił! To się dało wyczuć, bo jego uścisk na gardło NN zelżał; „Może porozmawiamy o rozbrojeniu?” – zaproponował NN. Putin ochoczo się zgodził. NN tylko na to czekał, gdy Putin oderwał palce od jego gardła, NN mocniej zacisnął własne. Oczywiście Putinowi z oczodołów: „Pamiłuj, pamiłuj!” – jęczał. „Żadne pamiłuj! – powiedział twardo NN. – Przyjąłem wasz styl walki, najbardziej haniebny z haniebnych, ot co!” Im mocniej zaciskał palce na grdyce Putina, tym ta kanalia mniej przypominała siebie, a bardziej jakiegoś robaka, dajmy na to: karaczana. NN czuł obrzydzenie, ale dusić nie przestawał. Obudził się z dłońmi na własnym gardle, dodajmy, że zarówno dłonie, jak i gardło były jego, więc bardzo się zdziwił, bo dotąd nie dane mu było się ocknąć w takiej pozycji, nawet po ciężko przemęczonej nocy.

Tego dnia NN obudził się z niespokojnych snów, po to tylko, by stwierdzić, że zmienił się w potwornego człowieka. Leżał na plecach i coś go uwierało między łopatkami, a kiedy unosił nieco głowę, widział swój lekko wypukły, miękki jak budyń, brzuch, z którego podczas snu ześlizgnęła się kołdra. Dalej były dwie, żałośnie cienkie nogi porośłe rzadkim włosiem i poskręcane palce zakończone wymagającymi natychmiastowego przycięcia wrastającymi w skórę paznokciami. O tak, widok był godny pożałowania, więc NN odwrócił wzrok. „Co się ze mną stało? – pomyślał – Byłem pięknym robakiem ze wspnianym chitynowym pancerzem, a stałem się tą galaretowatą istotą, której nic nie chroni przed otaczającym ją wstrętnym, agresywnym światem!” NN rozejrzał się po pokoju i wygląd świetnie sobie znanego miejsca – dokładnie taki, jakiego się spodziewał – uspokoił go. O krótkotrwałej robaczywej konwersji zapomniał w mig. Nirwana nie trwała jednak długo, bo to była jej namiastka, a nie forma ostateczna. Naraz, zupełnie irracjonalnie, naszedł go lęk, że ktoś wejdzie do sypialni i znajdzie go w tak kompromitującej sytuacji. Tylko czy sytuacja tak naprawdę była dlań kompromitująca? Wszak jako przedstawiciel gatunku ludzkiego w niczym od innych jego przedstawicieli nie odstawał: posiadał dwie ręce, dwie nogi, jedną głowę; jakby nie patrzeć, nie było się do czego przyczepić. Skąd więc lęk; czego się obawiał? Z drugiej strony własna doskonałość – czyż posiadanie wszystkich członków nie ociera się o doskonałość – nieco go tremowała; od doskonałych wiele się wymaga, a NN nie czuł się na siłach, by wypełnić każde zadanie, jakie mogłaby przed nim postawić ludzkość. Tego ranka nie był w stanie zwlec się z łóżka, więc na myśl o jakichś poważniejszych wymogach robiło mu się słabo. Postanowił to przeczekać. Ta stara, po wielokroć sprawdzona, metoda nigdy go nie zawiodła.

Mówi się, że kłamstwo ma krótkie nogi, a to nieprawda, kłamstwo ma długie, ładnie umięśnione nogi, inaczej nikt by się nie dał na nie nabrać. Jest szybkie, dzięki czemu wyprzedza prawdę i jako pierwsze dopada do mety. Gdy kłamstwo wypada z naszych ust, prawda stoi jeszcze w kolejce po bilet na tę drogę, którą nieprawda zdążyła już przebyć. Prawda nie jest sekسی.

Tej nocy nawiedził NN koszmarny sen, w którym ścigali go przerażający ludzie. Trzeba było chwili, by się przekonał, że to zmarli, którzy wstali z grobów i ruszyli na żywych, jakby się zamierzali mścić za wyrządzone im krzywdy, czyli zakopanie w ziemi i zapomnienie. Z początku ci zmarli o ostrych zębach, którzy uganiaли się za żywymi, wydawali się NN obcy, nie tyle nieznanymi z imienia i nazwiska, ile nieludźmi. Potem jednak, gdy się za siebie oglądał, ich twarze zaczęły być zwyczajne, a przy tym znajome, kiedyś bliskie, aż nastał moment, że byli to wyłącznie sami dobrze mu znani umarli; gonili go – jak kiedyś w zabawie w berka – po porośnię-



tej suchą trawą łące pod lasem. Znajomi z podstawówki, liceum, z pracy, to jest z czasów, kiedy żył pośród ludzi, a wielu z nich wtedy umarło, jak to ludzie mają w zwyczaju, gdy się człowiek zaczyna do nich przyzwyczajać, a nawet przywiązywać. Bał się najbardziej nie tego, że go dopadną i rządni świeżego mięsa wgrzą mu się w ciało, ale że zobaczy wśród nich najbliższych mu ludzi – rodziców. Ale to zostało mu oszczędzone. Sen skończył nieoczekiwanie; na sygnał gwizdka nieboszczycy zaniechali uganiań się za NN i spokojnie wrócili na swoje miejsca wiecznego spoczynku. Donośny odgłos trzaskających o trumny wiek był tego dowodem. NN zrobiło się smutno, jakby jeszcze raz żegnał żegna się z nimi ostatni raz; nie pamiętał, że chwilę wcześniej dybali na jego życie.

Tego dnia wiele się wydarzyło u NN, tak wiele, że aby to opisać należałoby użyć mnóstwa słów, a przecież słowa nie lubią być nadużywane, więc spróbujemy mniejszą liczbą napisać to, z czego przy odrobinie dobrej woli można by stworzyć epopeję: NN żywił podejrzenie, że dzień, który na pozór zdawał mu się brzydki, nieciekawym, słowem: do niczego, wcale brzydki nie jest i zapowiada się na ciekawy. „Wskazane byłoby się upewnić” – pomyślał i postanowił wyjść na balkon. Ta decyzja była dowodem na wielką, straceńczą wręcz, odwagę. Wszak dawno czegoś równie odważnego nie robił, bo w gruncie rzeczy nie znośił opuszczać mieszkania, ale przecież balkon – jak sobie uzmysłowił – to przedłużenie zajmowanego przezeń lokalu, właściwie mieszkanie, tyle że bez jednej ze ścian, więc tak jakby część mieszkania, którą wystawiono na widok publiczny. To akurat było mu nie w smak, bo nie lubił być wystawionym na widok publiczny, by nie powiedzieć, że tego z całego serca nienawidził. Niestety, NN ugrzązł w dociekaniach, czy balkon to w dalszym ciągu mieszkanie, czy już coś poza mieszkaniem, coś w rodzaju aneksu, albo filii, i nie mogąc dojść do ładu z toczącymi go wątpliwościami, summa summarum na balkon nie wy-

szedł. „Tak chyba będzie lepiej – pomyślał, a myśląc o tym, że jednakowoż nie zdobył się na odwagę i nie wyszedł na balkon, wcale nie sądził, że jego postawa jest tchórzliwa, tak, wcale tak nie sądził, ani nawet takiej myśli do siebie nie dopuszczał.

Sukces jest jak liczba Pi – niewymierny i tym samym nieskończony. Do tego – jak ktoś celnie zauważył – jest pierdnięcie, bo ładnie pachnie tylko własne. Sukcesowi trudno wybrać ojca z grona tych, którzy się wokół niego kręcą, matek na podporządku też jest cała czereda, więc koniec końców czuje się niczym bogata sierota, którą wielu chciałoby usynowić. Nowy sukces czyni niewysłowioną krzywdę wcześniejszym, bo zabiera im całą miłość i splendor. Ostateczny sukces jest zawsze pośmiertny i nie ma komu się z niego cieszyć.

Tej nocy ponownie w głowie NN pojawiła się Kobieta Zwana Wiceprezydentem. Powiedzieć, że był z tej niezapowiedzianej wizyty niezadowolony – to jakby nic nie powiedzieć. Starał się jej swoje niezadowolenie okazywać, ale ona nic sobie z tego nie robiła; gdy jej odburknął raz i drugi machnęła ręką i złożyła mu propozycję – z tych nie do odrzucenia: „Zostałeś wybrany” – powiedziała beznamiętnie, jakby oznajmiała mu coś przyziemnego, co niczego nie zmieni w jego życiu (śnie). „Do czego?” – odpowiedział pytaniem, choć czuł co się święci. „Do poświęcenia się dla sprawy” – ona na to, potwierdzając jego najgorsze przypuszczenia. Gdyby miał możliwość zapłakać uczynił by to niechybnie, ale we śnie płacz nie przychodzi w tych samych momentach, co na jawie. „Dla jakiej sprawy mam się poświęcić?” – spytał konstruktywnie, choć nie miał najmniejszej ochoty w żadnej sprawie kiwnąć choćby palcem. „Dla sprawy najwyższej wagi! – podkreśliła Kobieta Zwana Wiceprezydentem – „Masz zostać prezydentem i przejąć moje

obowiązk. Jestem już stara i zmęczona, pora odpocząć, ale musi mnie ktoś zastąpić. Ty masz najwięcej podobnego do mnie skupienia na sprawach istotnych, więc wybrałam ciebie na mojego następcę. Ale zanim to nastąpi czeka cię długie szkolenie, które ma wykazać, że się nie myliłam w wyborze. Każdy jest omylny, być może ja też, ale poza moim przeczuciem potrzebne mi są również dowody, że jesteś odpowiednim kandydatem”. „Co to za szkolenie?” – zapytał NN, choć nie miał zamiaru dać się wciągnąć w ten cyrk. Pytał tak sobie, dla zyskania czasu i dla tego czasu zabicia. „Będziesz musiał dać sobie radę w swoich snach bez mnie, aż zrozumiesz jak potrzebna ci byłam, gdy o mnie śniłeś. Wtedy pojmiesz swoją rolę, rolę, którą będziesz wypełniał w snach innych ludzi.” „To absurdalne – zaśmiał się NN – Już Freud dowiódł, że nie można sterować snami innych ludzi, a ja sam sobie udowodniłem, że nie jestem władny decydować nawet o treści własnych snów. Chciałem o tobie nie śnić, a śnić – oto dowód” – triumfował. Kobieta Zwana Wiceprezydentem zaśmiała się: „Sam zobacz, jak potrzebujesz tego szkolenia, skoro nie pojąłeś prostej prawdy – że śnisz o mnie, bo ja kieruję twoimi snami”. NN zrzędlą miną.

Tego dnia NN poczuł się niepotrzebny. Oczywiście po wielokroć czuł się niepotrzebny, ale nigdy dotąd to poczucie nie było tak intensywne i przekonujące. „A co jeśli to już nie jest poczucie, ale stan faktyczny?! – zastanowił się NN. Fakty potwierdzały jego przypuszczenia. Odpalił komputer, żeby sprawdzić, czy świat daje sobie radę bez jego pomocy. Ma się rozumieć, szybko znalazł potwierdzenie tego faktu – wojny, pandemie, promocje i wyprzedaże działały się bez jego udziału, co wzmoгло w nim i tak już mocne jak nigdy poczucie niepotrzebności. O dziwo wcale go to nie przygnębiło, bo doznał olśnienia, że skoro jest niepotrzebny, to nic nie musi robić, czyli jest na etapie całkowitej wolności wyboru. Ba, może nawet nie wybierać! Nic nie musi! A jak się nic nie musi, to można wszystko! Można na przykład leżeć cały dzień i kontemplować, co się komu żywnie podoba, na przykład zacieki na suficie, albo kłębki kurzu, które wychynęły spod łóżka. Co bądź można robić, albo i nie robić. Nie gadać, nie słuchać, nie oglądać, nie udzielać się, nie popierać, nie odcinać się, nie planować, nie odkładać na później, nie, nie i jeszcze raz nie. „Jakie to szczęście, że jestem sam. Gdybym był z kimś, to wtedy nie byłbym sobą. Sobą można być tylko wtedy, gdy jest się samotnym” – rozmyślał NN i płał się w swojej samotności.

Samotność to stan, kiedy wreszcie mamy szansę bycia w towarzystwie, które nam odpowiada. Niemniej reguły nie ma. Samotność przytłacza i unieszczęśliwia. Ale i tu nie ma reguły, bo jest niechwalenby wyjątek. Weźmy bowiem tych, którzy mają rozdwojenie jaźni, oni oddaliby wszystko, żeby choć chwilę pobyć w samotności. Bywa, że samotność to nasz wybór, dużo gorzej, jeśli to ona nas wybrała. Jeśli nie przypadła nam do gustu, znudziła się, albo zamęcza nas brakiem towarzystwa, należy pozbyć się samotności raz na zawsze. Jak to zrobić? Najprościej popaść w szaleństwo! Lub uwierzyć w Boga, w jego nieustanną obecność i opiekę nad nami! Taki właśnie mamy wybór: szaleństwo lub Bóg! Kto wie, czy to na jedno nie wychodzi.

Tej nocy nic specjalnego się nie działo, żadnych komet, rojów meteorytów, zmian czasu, niespodziewanych wizyt zamaskowanych intruzów, właściwie nic ciekawego, poza migreną, która męczyła NN do późnych godzin, aż w końcu poddał się zmęczeniu i zasnął. Wnet się jednak – jak mu się zdawało – wybudził się, z gorączką i dreszczami. Chciał wstać, ale nie zdołał podnieść się z łóżka. Nagle – w niezrozumiały dlań sposób – znalazł się z głową pod łóżkiem, na gołej podłodze i – co niesłychane – bardzo mu ta zmiana miejsca spasała. Czuł się tu bezpieczny jak na łonie przyrody – albo wręcz w łonie matki. Z tej po-

zycji niewiele widział, za to dobrze słyszał, że ktoś chodzi po pokoju; mimo tego był dziwnie spokojny, będąc przekonany, że tam, gdzie się znajduje, jest niewidzialny i nikt mu nie może zrobić krzywdy. Kroki to zbliżały się, to oddalały, a NN, choć był ufny, to jednak dał się ponieść zdrowemu rozsądkowi i cały wsunął się pod łóżko. Od razu zmieniła mu się perspektywa.

Tego dnia NN obudził się z gorączką. Nie był tym zaskoczony, bo skoro kładł się spać rozpalony, to mógł się spodziewać, że obudzi się z podwyższoną temperaturą. Znaczyło to – ni mniej ni więcej – że jego organizm działa konsekwentnie, a konsekwencja nie powinna nikogo zaskakiwać, chyba, że zaskoczony jest psychopata, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności NN psychopata nie był. Skądinąd możliwość bycia psychopata wydawała się NN atrakcyjna i godna rozpatrzenia, jako ewentualna postawa na przyszłość; psychopata ma się dobrze i chwali sobie spokój ducha, bo on spokój ma, za to nie mają go ci, którzy nie są nim; wszyscy się boją psychopatycznych osobników, truchleją na samą myśl o spotkaniu z kimś takim, dlatego unikają ich jak artyleryjskiego ostrzału: „Gdybym był psychopata – rozmarzył się NN – to inni by się chowali w czterech ścianach przede mną, a nie ja przed nimi. Mogłbym żyć pełną piersią, a nie tak, jak żyje, półgębkiem”. NN przeszukał kilka szuflad, ale termometru nie znalazł. Po bezowocnych poszukiwaniach, spocony, z bolącymi mięśniami, zaległ na kozetce; wtedy uderzył się dłonią w czoło, jakby coś ważnego sobie przypomniał. Aliści sobie przypomniał, że termometr nie służy do zbijania temperatury, a tylko do pokazania, jaka ona jest, a NN nie chodziło o przekonanie się, że ma gorączkę, bo to odczuwał każdym atomem swojego ciała, dlatego zaprzestał rozglądania za tym z gruntu zbędnym przedmiotem, tylko skupił się na znalezieniu sposobu na zabicie temperatury. Z dzieciństwa pamiętał zabiegi matki, gdy toczyła go choroba i miał gorączkę: moczenie w wannie z zimną wodą, worek z lodem kładziony na czoło. Ale najskuteczniejszą metodę znał ojciec, który straszył NN lewatywą. Ktoś powie, że lewatywa nie może być skuteczna na wysoką temperaturę. Ale ktoś taki chyba nie wie, jak wygląda lewatywa. NN wiedział, bo raz ojciec mu lewatywę zrobił i o dziwo zadziałała tak, jakby przeprowadzano ją z użyciem źródłanej wody z Lourdes. Od tego czasu wystarczyło, by ojciec tylko napomknął o możliwości przeprowadzenia takowego zabiegu, a NN cudownie zdrowiał. NN rozważał wykorzystanie jednej z metod zbijania temperatury, jaką stosowała matka – przychyłał się do koncepcji worka z lodem umieszczonego na czoło – ale gdy sobie przypomniał o metodzie ojca, dostał drgawek, w momencie spociał się jak maciora w trakcie porodu, i wnet poczuł, że mu się poprawia. Gorączka najwyraźniej ustępowała, może nie w oczach, ale z pewnością na wyczucie. „Proszę bardzo – jak ogromna jest siła sugestii – działa po latach i nie jest do niej potrzebny ten, który nią dysponował!” – NN nie krył podziwu dla natury i – w jakimś stopniu – również dla ojca.

Cisza leczy rany. Leży sobie człowiek w ciszy i czuje, jak mu się zasklepiają bruzdy na duszy. Cisza nigdy nie jest absolutna, bo przecież atomy są jak kibice dwóch drużyn piłkarskich z jednego miasta – nieustannie się ze sobą ścierają, więc nawet w idealnych warunkach, w głębinach oceanów, w najciemniejszych zakamarkach jaskiń, lub na środku pustyni, coś ją nadgryza, narusza, słowem czyni w niej uszczerbki. Jeśli nawet udałoby się człowiekowi znaleźć w miejscu, gdzie panowałaby absolutna cisza, na przykład w jądrze czarnej dziury, bicie jego serca uniemożliwiłoby tę ciszę. Podobno najciszej jest przed burzą. W domu ciszy nie ma, skrzypią drzwi, sąsiedzi się kłócą, rzucają przedmiotami, coś bulgocze w rurach, piszczy w kaloryferach, trzeszczy w podłodze; jest to więc cisza nieudolna, jej namiastka, czy wręcz karykatura, ale lepsza taka cisza, niż jej brak, to jest hałas. Ale nie mówmy już o niej, bo choćby wspomnianie o ciszy, już samo to sprawia, że ją płoszymy.

Do czego Ślązakom potrzebny jest naród?

TOMASZ SŁUPIK

Od przynajmniej dwudziestu lat trwa dyskusja na temat edukacji regionalnej. Padło mnóstwo argumentów na temat potrzeby, a nawet konieczności jej wprowadzenia do szkół (od podstawówek po uniwersytety). Znajomość historii, geografii, czy szerzej: kultury Górnego Śląska, wśród młodych ludzi pozostawia wiele do życzenia, żeby nie powiedzieć, że jest nikła. Postulat ten, obok uznania Ślązaków za mniejszość etniczną i języka śląskiego za język regionalny, w repertuarze regionalistów stanowi żelazny punkt programu. Powstaje jednak pytanie, które warto sobie zadać na nieco głębszym poziomie: jakie przesłanki stoją za tego typu pomysłem i jakie będą jego krótko- i długofalowe konsekwencje? Tworzenie bowiem wspólnoty wyobrażonej, a do takiej aspirują Ślązacy, wymaga bez wątpienia stworzenia wspólnotowego imaginarium, na którełoży się zestaw mitów ugruntowujących tą konkretną wspólnotę.

Na pewno zbiór wyobrażeń dotyczących historii, tożsamości, języka i kultury stanowił podstawowe spoiwo, konstytuujące współczesne narody na przestrzeni ostatnich 250 lat europejskiej historii. Nowoczesny naród wykreowany przez kulturalno-biurokratyczne elity, ma bowiem dość krótką, aczkolwiek bardzo burzliwą historię. Warto dodać, jak bardzo celnie zauważa Benedict Anderson, że we współczesnym świecie jest najbardziej uniwersalną formą odnoszenia się ludzi do siebie wzajemnie, w ramach zbiorowych tożsamości. To, że ktoś uważa się za Anglika, Francuza, Niemca czy Polaka nie jest skutkiem działania jakiś odwiecznych praw społecznych, lecz efektem procesu, który najpierw na Zachodzie, potem na Wschodzie Europy został zainicjowany przez nowe, mieszczańskie, czy też inteligenckie elity. To one, oprócz wyznawania i używania ideologii liberalnej, radykalnej, czy nawet konserwatywnej, dla zdobycia i utrzymania władzy (kontroli nad państwem) zauważyły, że narodowy sposób mobilizacji jest znakomitą narzędziem nie tylko zbiorowej identyfikacji, ale również sposobem legitymizacji władzy, czy organizacji państwa.

Ewolucja nacjonalizmu przebiegała od jego dość patetycznej formy w okresie ro-

mantyzmu. Wystarczy sięgnąć od *Mowy do narodu niemieckiego* Fichtego, po integralny nacjonalizm z końca XIX wieku, wzbogacony o elementy rasistowskie i zwulgaryzowane dla potrzeb ideologii politycznej zapożyczenia z darwinowskiej teorii ewolucji. Na efekty tego typu działania nie trzeba było długo czekać. Oczywiście dodatkowej siły temu zjawisku nadawał ówczesny rozwój technologii, umasowienie społeczeństw, rywalizacja o kolonie pomiędzy państwami Europy Zachodniej: Anglią, Francją, Niemcami (od 1870 roku), Austro-Węgrami z jednej strony, a Rosją, czy na Dalekim Wschodzie Japonią. Katastrofa 1914 roku, która w historiografii zachodniej nazywana jest Wielką Wojną, w sposób dobitny to pokazuje. Najbardziej bowiem mylili się co do słabości nacjonalizmu socjaliści, czy radykalni komuniści, którzy uważali, że robotnicy w poszczególnych krajach będą zainteresowani wyrwaniem się z łap kapitalistycznego ucisku, a nie krwawą rozprawą pod narodowym sztandarem.

Ktoś może zapytać, co edukacja regionalna ma do ewolucji idei nacjonalizmu? Bez dyskusyjnie jest z nią w sposób ścisły powiązana. Ideologia nacjonalistyczna stanowi bowiem teoretyczną ramę interpretacyjną, ale również jest niezwykle skutecznym narzędziem do tworzenia ideologii zarówno pełniącej rolę mitu mobilizującego mniejsze, jak również większe zbiorowości ludzkie oraz legitymizuje współcześnie władzę nie tylko w kręgu kultury zachodniej, gdzie się narodziła, lecz na całym niemalże świecie.

Ideologia narodowa – nowe szaty króla

Ileż to razy w ostatnim półwieczu odtrąbiono z satysfakcją lub wielkim żalem śmierć narodu. Miał się on roztopić w nowej, wielkiej wspólnotie kosmopolitycznej lub rozpaść do poziomu wspólnot regionalnych. W europejskim przypadku siłą sprawczą tego procesu miała być integracja europejska w jej federalistycznym wydaniu. Jednak kiedy bliżej przyjrzymy się ostatnim latom zarówno integracji europejskiej w wymiarze politycznym, jak również ekonomicznym (strefa euro), dostrzegamy po pierwsze wzrost znaczenia państw narodowych, po drugie skutki kryzysu gospodarcze-

go 2008 roku sprawiły, że to na poziomie państwa narodowego poszukiwano recept na jego przezwyciężenie, poziom unijny zaś był raczej miejscem patetycznych deklaracji, które rzadko przybierały kształt konkretnych działań naprawczych. Oczywiście narodowy idiom w XXI wieku ma już zupełnie inny kształt niż 100 lat wcześniej. Jego przejawianie się przybiera czasem formę zbanalizowaną, jak chociażby manifestowanie swojego przywiązania do wspólnoty narodowej podczas masowych imprez sportowych. Jednak zasadnicze składniki pozostają niezmienne: wspólna historia, kultura, czasami język czy zestaw mitów pełniących rolę zarówno socjalizującą, jak i mobilizującą. Współczesne ideologie narodowe znajdujące swoje oparcie w państwie narodowym, tym chyba najbardziej udanym eksperymencie instytucjonalnym nowożytności, uległy pewnym przekształceniom, lub wykorzystują nowoczesne technologie komunikacyjne do tworzenia, jak i przekazywania narodowej treści. Poza tym państwo narodowe w Europie, ze swym systemem instytucjonalnym oraz demokratyczno-liberalnym ustrojem, nadal pozostaje głównym aktorem zarówno w polityce wewnętrznej, jak i międzynarodowej.

Edukacja zaś (tak, jeśli chodzi o historię, jak i naukę języka ojczystego), która pełni rolę zarówno kreowania, reprodukcji, jak i przekazywania narodowych mitów, w procesie socjalizacji narodowej ma znaczenie fundamentalne. Dlatego też postulaty wysuwane przez śląską wspólnotę dotyczące: języka śląskiego, mniejszości etnicznej i co za tym idzie edukacji regionalnej dla realnego, jak również wyobrażonego tworzenia się ich wspólnoty mają znaczenie pierwszorzędne. Droga kształtowania ich tożsamości nie przebiega po zasadniczo różniącej się od innych nacji trajektorii. Chcąc zaznaczyć swoją odrębność i odmienną muszą wykonać ciężką i niewdzięczną pracę lepienia tożsamości ze skrawków mitów, wyobrażeń, doświadczenia, emocji, artefaktów kulturowych i historycznych w wymiarze zarówno symbolicznym, jak i realnym. Wszak nacjonalistyczne wyobrażenia wydestylowane w ideologię tworzą narody, a nie odwrotnie.

Okrągła, osiemdziesiąta rocznica zniesienia autonomii Śląska skłania do przyjrzenia się okolicznościom podjęcia tej decyzji przez Krajową Radę Narodową. Specjalistom jest znana ocena tego działania: było ono bezprawne, niezgodne z zasadą legalizmu. Co to konkretnie oznacza? Jak przygotowywano „zniesienie” autonomii?

Jednomyślne głosowanie

Dnia 6 maja 1945 r. Krajowa Rada Narodowa na posiedzeniu jednomyślnie uchwaliła ustawę konstytucyjną o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego. Jednomyślność oznacza, że nie znalazł się nikt z obecnych posłów, który by się wstrzymał ani głosował przeciwko. Lista obecności na posiedzeniu wskazuje, że za zniesieniem autonomii Śląska była nie tylko Julia Brystygierowa, Franciszek Jóźwiak czy Zenon Kliszko (co nie może dziwić), ale także Zofia Nałkowska. Za zniesieniem autonomii głosowali też posłowie przybyli z Katowic: Karol Tkocz, Franciszek Żymła, Franciszek Lach, Maksymilian Kopczyński, Stanisław Brodziński i Marian Baryła. W głosowaniu nie wzięli tymczasem udziału Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Edward Ochab, Edward Osóbka-Morawski czy Wanda Wasilewska. Badacza czytającego protokół posiedzenia dziwi – poza jednomyślnością – brak dyskusji w tym punkcie obrad.

Tego dnia posiedzenie Krajowej Rady Narodowej rozpoczęło się o godz. 9:15. Pierwszym punktem porządku dziennego była odbudowa Warszawy, drugim kwestia zasiłków i pomocy dla rodzin uczestników akcji podziemnej przeciw okupacji niemieckiej, którzy utracili życie w walkach o wyzwolenie Polski. Punkt trzeci dotyczył projektu ustawy konstytucyjnej o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego. Punkt ten referował w imieniu komisji prawniczej poseł Leon Chajna. Chajna był jednocześnie wiceministrem sprawiedliwości i szarą eminencją tego resortu, a także jednym z głównych twórców stalinowskich przekształceń w polskim sądownictwie. Jego wystąpienie – jak szacuję na podstawie protokołu – nie trwało dłużej niż pięć minut. Pięć minut referowania ustawy konstytucyjnej! Co powiedział dygnitarz?

Przemówienie Leona Chajny

Na wstępie swojego wystąpienia odwołał się do meldunku wojewody śląsko-dąbrowskiego gen. Aleksandra Zawadzkiego oraz „głosów ludności śląskiej”, co wywołało oklaski. Dzień wcześniej wojewoda Zawadzki mówił o tym, że „jedynym pragnieniem Ślązaka jest pełna, całkowita i bez reszty unifikacja z całą Rzeczypospolitą” oraz że słowa „autonomia” na Śląsku nie wypowiada nikt. Zawadzki był zdecydowanym orędowni-

„Zniesienie” autonomii Śląska

KONRAD GRACZYK

kiem zniesienia autonomii, widząc w niej przeszkodę w całkowitej integracji województwa z resztą kraju, utrzymującą różnice kulturowe, dzielnicowe i cywilizacyjne. „Głosy ludności śląskiej” uroczyście stwierdzały, że Śląsk z resztą Polski stanowi jedną nierozdzielalną całość.

Następnie Chajna odwołał się do genezy autonomii, lokując ją w plebiscytowej walce po pierwszej wojnie światowej. Miała ona być obliczona na pozyskanie głosów „chwiejnych elementów” oraz zagłuszenie propagandy niemieckiej. Według Chajny autonomia „stała się wodą na młyn wojującej niemieczyny i jako taka zdyskredytowała się w oczach miejscowego społeczeństwa polskiego”. Obecnie – wywodził dalej Chajna – „na Śląsku wśród ludności polskiej panuje powszechne zrozumienie, że ustanawiający autonomię Statut Organiczny województwa śląskiego z 15.07.1920 r. jest szkodliwym przeżytkiem, toteż w praktyce „autonomii” nie respektuje się: Sejm Śląski nie zwołał dotąd i nie zwoła się go już nigdy”.

Zatrzymajmy się na moment nad powyższymi słowami, które wymagają komentarza. Jedynie w części zgodzić się można z wywodem dotyczącym genezy autonomii, natomiast nie sposób zaaprobować pozostałe twierdzenia. Jeśli chodzi o motywy przyznania autonomii, to za sejmowym sprawozdawcą ówczesnego projektu, Józefem Buzkiem, odwołać się trzeba również do pragnienia szerokiego samorządu ze strony ludu śląskiego. Jak zanotowano w stenogramie posiedzenia sejmowego z 1920 r.: „Lud ten chce przede wszystkim sam decydować o swoich najbliższych potrzebach, i aby mu dać sposobność do tego, aby zapewnić mu prawo samorządzenia na własnej ziemi, Komisja Konstytucyjna jednomyślnie projekt ten przyjęła i prosi o jego uchwalenie”. Motyw ten wiceminister Chajna zupełnie pominął, bowiem nie pasował do przyjętej narracji.

W swoim wywodzie Chajna stwierdził, że autonomia zdyskredytowała się w oczach miejscowego społeczeństwa. Było to twierdzenie niepolegające na prawdzie. Edward Długajczyk wskazał w swojej książce dotyczącej śląskiej sanacji, że pod względem frekwencji wybory do Sejmu Śląskiego w 1935 r. wypadły jeszcze korzystniej niż wybory ogólnopolskie, dla których średnia frekwencja wyniosła około 46%, podczas

gdy na Śląsku aż 76%. Trudno w tym świetle mówić o zdyskredytowaniu autonomii w oczach lokalnego społeczeństwa, biorącego wręcz gremialny udział w wyborach. Znaczny odsetek nieważnych głosów wówczas oddanych stanowił zaś sprzeciw nie wobec autonomii jako takiej, lecz wobec polityki prowadzonej przez śląskich „sanatorów” i wojewodę Michała Grażyńskiego. Tezę Chajna obala też wyimek pisma wysłanego z Konsulatu Generalnego RP w Opolu do Ambasady RP w Berlinie w czerwcu 1937 r., w którym relacjonowano za interesowanie na niemieckim Górnym Śląsku sprawą autonomii. Konsul Jan Małęczynski napisał w nim: „całe społeczeństwo śląskie bez względu na przekonania polityczne stoi na stanowisku utrzymania autonomii”. Słowa te mówią same za siebie.

Manipulacją wydaje się też twierdzenie o tym, że autonomia była wodą na młyn wojującej niemieczyny. Być może do pewnego stopnia ocena Chajny była motywowana tragicznym doświadczeniem okupacji niemieckiej. Trudno jednak postrzegać negatywnie korzystanie z legalnych uprawnień przez posłów, członków Klubu Niemieckiego w Sejmie Śląskim, nieobecnych zresztą w czwartej kadencji (1935–1939). W warunkach ówczesnego państwa polskiego da się przecież rozgraniczyć legalną działalność mniejszości niemieckiej, np. edukacyjną i kulturalną, od sprzecznej z prawem działalności szpiegowskiej czy terrorystycznej, przebiegającej na siłę w miesiącach poprzedzających wybuch II wojny światowej. Nie miało to związków z autonomią. Obie kwestie Chajna potraktował jako pretekst. Prześlizgnął się nad kwestią stosunku ludności do autonomii (zapewnienie zrozumienia dla jej zniesienia brzmi śmiesznie w perspektywie sfalszowanych później wyborów do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r.) oraz określił statut organiczny, ten historycznie wyjątkowy pomnik prawa i ustroju polskiego, mianem szkodliwego przeżytku. Mimo że był członkiem władzy wykonawczej, z dużą lekkością opisał ówczesny dysonans (niezgodność) między stanem prawnym (obowiązujący statut organiczny), a stanem faktycznym („autonomii nie respektuje się”). Słowa Chajny rezonowały później w prasie, która relacjonowała zniesienie autonomii. Aż chciałoby się zapytać, czy

rację miał Chajn, gdy z tak wielką pewnością stwierdził: Sejm Śląskiego nie zwoła się już nigdy?

Wskazał, że usankcjonowanie tego stanu faktycznego – nieprzestrzegania autonomii – było pożądane w związku z mozaiką pięciu ustawodawstw obowiązujących w województwie śląskim – różnych dla Górnego Śląska, Śląska Cieszyńskiego, Śląska Opolskiego i Zagłębia Dąbrowskiego. W tym punkcie referatu Chajn określił jednak statut organiczny już nie jako szkodliwy przeżytek, lecz jako zawadę, którą należy usunąć.

Chajn dostrzegł, że statut organiczny w art. 44 stanowił, że jego modyfikacja wymaga zgody Sejmu Śląskiego. Dodał, że wymóg zgody Sejmu Śląskiego zniosła w art. 81 ust. 3 konstytucja kwietniowa („zamachowa konstytucja 1935 r.”), aczkolwiek dalszy wywód kontynuował względem stanu prawnego wymagającego zgody Sejmu Śląskiego. Był więc o tyle konsekwentny, że projekt referowanego aktu normatywnego zmianę wprowadzoną konstytucją kwietniową całkowicie pomijał, wymieniał natomiast zmiany wprowadzone ustawami konstytucyjnymi w latach 1921–1925. Co więc proponował w miejsce zgody Sejmu Śląskiego, którego „nie zwoła no dotąd i nie zwoła się go już nigdy”?

Chajn: „Skoro Sejm Śląskiego nie ma, mogłaby wyrazić zamiast niego zgodę wojewódzka rada narodowa śląska. Nie została ona jednak jeszcze zwołana i nie wiadomo, kiedy jej ukonstytuowanie się nastąpi. Czas jednak nagli: ustawodawstwo śląskie pilnie domaga się reformy i maksymalnej unifikacji”.

Rzecz ciekawa, że wbrew wypowiedzi Chajna, pierwsze posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach odbyło się trzy dni później, 9 maja 1945 r. Należy wykluczyć, że mógł nie wiedzieć o planowanej kilka dni później inauguracji. Dowodzi to wszakże pośpiechu, z jakim władze starały się znieść autonomię. Ponadto zdumiewające jest zaproponowanie przez ówczesnego wiceministra sprawiedliwości, przedwojennego absolwenta Uniwersytetu Warszawskiego i adwokata, rozwiązania, zgodnie z którym uchwałę zamiast organu wymienionego w przepisach (uprawnionego) miał podjąć inny organ, nieznany ani konstytucji marcowej – do której nowa władza się przecież odwoływała – ani samemu statutowi organicznemu. Nasuwa się oczywisty wniosek, że prawo ustępowało tutaj przed polityką. Sytuacja od strony prawnej kuriozalna.

Wróćmy jednak do słów Leona Chajna: „W tym stanie rzeczy Ministerstwo Sprawiedliwości proponuje radykalny i drastyczny zabieg na obumierającym statucie autonomicznym: zniesienie go ustawą Krajowej Rady Narodowej powziętą w trybie zmiany konstytucji (jak

Art. 1. Uchyla się ustawę konstytucyjną z dnia 15 lipca 1920 r. zawierającą statut organiczny województwa śląskiego (Dz. U. R. P. Nr 73, poz. 497), zmienioną ustawami z dnia 8 marca 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 26, poz. 146), z dnia 30 lipca 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 69, poz. 449), z dnia 18 października 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 85, poz. 608), z dnia 13 lutego 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr 21, poz. 224) i ustawą z dnia 18 marca 1925 r. (Dz. U. R. P. Nr 36, poz. 240).

Art. 2. Skarb Państwa obejmuje zarządzanie majątkiem Skarbu Śląskiego.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej:
Bolesław Bierut
Prezes Rady Ministrów:
Edward Osóbka-Morawski
Minister Administracji Publicznej:
Edward Ochab
Minister Pracy i Opieki Społecznej:
Wiktor Trojanowski
Minister Zdrowia:
Franciszek Litwin
Minister Bezpieczeństwa Publicznego:
Stanisław Radkiewicz
Minister Komunikacji:
Jan Račanowski

Rozporządzenia Rady Ministrów przeprowadzą podział Skarbu Śląskiego pomiędzy Skarb Państwa a związki samorządowe województwa śląskiego.

Art. 3. Wykonanie niniejszej ustawy porucza się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrom: Administracji Publicznej, Pracy i Opieki Społecznej, Zdrowia, Bezpieczeństwa Publicznego, Komunikacji, Oświaty, Rolnictwa i Reform Rolnych, Przemysłu, Sprawiedliwości, Skarbu, Obrony Narodowej oraz Aproprowiacji i Handlu.

Art. 4. Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Oświaty:
Stanisław Skrzyszewski
Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
Edward Bertold
Minister Przemysłu:
Hilary Mine
w/z Minister Sprawiedliwości:
Leon Chajn
Minister Skarbu:
Konstanty Dąbrowski
Minister Obrony Narodowej:
Michał Żymierski
Marszałek Polski:
Minister Aproprowiacji i Handlu:
Jerzy Sztaehelski

zmiana ustawy o radach narodowych). Przez zastosowanie formalnego wymogu wyższego rzędu pokryte zostaną braki wynikające z niedającego się zrealizować wyrażenia woli przez nieistniejący sejm partykularny Śląska”.

Na podstawie zacytowanego fragmentu wprost wnioskuję, że wiceminister sprawiedliwości był świadomy wady prawnej, którą obarczony jest projekt („radykalny i drastyczny”). Zaproponowane rozwiązanie było niczym innym, jak obejściem prawa, formą ubrania w pozorne szaty prawne obciążonego poważną wadą prawną aktu normatywnego o charakterze ustrojowym (konstytucyjnym).

Pod koniec wystąpienia Chajn wyjaśnił, że projekt zawiera także ogólną dyspozycję co do losów Skarbu Śląskiego oraz rozciąga ustawodawstwo polskie na teren dotąd autonomiczny. Na wystąpienie sala zareagowała oklaskami. Jak wskazałem, w sprawie przedłożonego projektu nikt nie chciał zabrać głosu. Po jego jednomyślnym uchwaleniu ponownie nastąpiły oklaski.

Prace nad „ustawą konstytucyjną”

Przytoczone przemówienie i jego efekt stanowiły zwieńczenie pewnego procesu, który rozpoczął się wcześniej. Trudno jest ustalić *spiritus movens* zniesienia autonomii; nie wiadomo nawet, czy była to jedna osoba, czy raczej grupa osób. W obszarze tym można natomiast postawić pewne hipotezy. Wiadomo, że do Biura Prawnego Prezydium Krajowej Rady Narodowej w Warszawie projekt ustawy konstytucyjnej został przesłany pod koniec kwietnia 1945 r. z Departamentu Ustawodawczego Ministerstwa Sprawiedliwości. Jego brzmienie ustalono na posiedzeniu komisji prawniczej w dniu 24 kwietnia 1945 r., o czym informował

dyrektor Departamentu Ustawodawczego, Stefan Bancerz. Warto odnotować, że na posiedzeniu komisji zmodyfikowano zaproponowane pierwotnie brzmienie przepisu o wejściu w życie: „Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia”, z którego wykreślono następnik: „z mocą obowiązującą od dnia 22 lipca 1944 r.”. Data miała stanowić nawiązanie do początków „Polski Lubelskiej” i wydania manifestu lipcowego przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, została jednak, jak przypuszczam, odrzucona ze względu na retroaktywność. Do opracowanego wówczas projektu dołączono uzasadnienie, którym w całości posłużył się w swoim wystąpieniu wiceminister Chajn. W posiedzeniu komisji prawniczej na pewno wzięli udział poza wspomnianym Bancerzem także dr Michał Szuldenfrei, dyrektor Biura Prawnego Prezydium Rady Ministrów oraz dr Bolesław Waławski, dyrektor Biura Prawnego Prezydium Krajowej Rady Narodowej. Porównanie treści projektu w dacie wyjścia z Departamentu Ustawodawczego z wersją ostatecznie uchwaloną prowadzi do wniosku, że nie nastąpiły jakiegokolwiek zmiany.

Projekt z Katowic...?

Wiele wskazuje jednak, że zrąb powyższego projektu oraz uzasadnienia został opracowany w Katowicach. Zachował się bowiem protokół z posiedzenia „Komisji Międzyresortowej dla prac przygotowawczych formalnego zniesienia autonomii śląskiej i ujednolicenia ustawodawstwa”. Komisja obradowała od 11 do 14 kwietnia 1945 r. pod przewodnictwem dr. Eugeniusza Krala, prezesa Sądu Apelacyjnego w Katowicach. Konkretnie o sprawie autonomii radzono na pierwszym posiedzeniu – 11 kwietnia 1945 r. W pra-

cach wzięli udział Stanisław Adler jako delegat Ministerstwa Sprawiedliwości, Bolesław Zamyśłowski jako naczelnik Wydziału Prawnego w Urzędzie Wojewódzkim Śląskim w Katowicach, dr Erwin Koniarek, zastępca Zamyśłowskiego, (najprawdopodobniej Stefan) Radajewski, będący kierownikiem Oddziału Prawnego, dr Karol Stach, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Katowicach, dr Tadeusz Karczewski, naczelnik Wydziału Samorządowego w Urzędzie Wojewódzkim Śląskim, Kazimierz Wójcicki, naczelnik Wydziału Opieki Społecznej w Urzędzie Wojewódzkim Śląskim oraz kilka innych osób.

Z protokołu posiedzenia wynika, że 11 kwietnia 1945 r. obradowano nad dwoma sprawami: zniesienia autonomii oraz zniesienia różnic w poszczególnych dziedzinach ustawodawstwa, które zaistniały wskutek recypowania na Śląsku szeregu ustaw pozaborczych oraz wskutek działalności ustawodawczej Sejmu Śląskiego. W ramach punktu pierwszego słowo wstępne wygłosił Stanisław Adler jako delegat ministerstwa. Po nim referat przedstawił Radajewski. Niestety protokół nie zawiera konkretnych wypowiedzi, lecz jedynie konkluzje. Radajewski zaprezentował pogląd o zniesieniu autonomii śląskiej w drodze ustawy konstytucyjnej z pominięciem zgody Sejmu Śląskiego z uwagi na niemożliwość osiągnięcia tej zgody. W toku dyskusji pojawiły się trzy inne koncepcje. Pierwsza przewidywała przemilczenie sprawy uprawnień śląskich (Tadeusz Karczewski), a więc po prostu zignorowanie autonomii. Druga przewidywała zastąpienie zgody Sejmu Śląskiego przez wojewódzką radę narodową ustawą uprzednią lub późniejszą (Karol Stach, Kazimierz Wójcicki). Koncepcja trzecia sprowadzała się do odroczenia sprawy do momentu „wcielenia Opolszczyzny do województwa śląskiego” (Erwin Koniarek). Dyskusję zdyscyplinował Adler, stawiając wniosek o jak najszybsze sporządzenie projektu ustawy zakładającej uchylenie przez Krajową Radę Narodową ustawy konstytucyjnej województwa śląskiego i zniesienie statutu organicznego. Protokół posiedzenia wskazuje, że referat Radajewskiego ukierunkował dalsze prace, zaś Adler nadał im tempo. Do sprawy zniesienia autonomii powrócono na ostatnim posiedzeniu – 14 kwietnia 1945 r. Wówczas dokonano ostatnich poprawek w projekcie i go przyjęto. Z projektem tym Stanisław Adler powrócił do Warszawy. To ten projekt, po drobnych poprawkach w komisji prawniczej, głosowano na posiedzeniu KRN.

Bezprawność zniesienia

Powracam teraz do postawionego na wstępie pytania o bezprawność zniesienia autonomii śląskiej. Pierwszą kwestią

jest wadliwość Krajowej Rady Narodowej, będącej organem samorządczym, nieznanym polskiemu porządkowi ustrojowemu, i nieposiadającym społecznej legitymizacji. Wątku tego nie będę rozwijać ze względu na ramy tekstu. Wystarczy częściowa konkluzja – jako taka KRN nie była organem uprawnionym do zniesienia autonomii śląskiej. Kwestią drugą jest tryb dokonania wspomnianej zmiany. Ustawa z dnia 15 lipca 1920 r. zawierająca statut organiczny województwa śląskiego była ustawą konstytucyjną. Oznacza to, że miała tę samą rangę, co konstytucja marcowa i uchwalona później konstytucja kwietniowa. W związku z tym, jej zmiana (modyfikacja, uchylenie) powinna była zostać przeprowadzona w trybie określonym dla zmiany konstytucji, a więc wymóg ten obejmował: w przypadku konstytucji marcowej m.in. głosowania Sejmu i Senatu oraz co najmniej piętnastodniową zapowiedź (a także zgodę Sejmu Śląskiego, skoro projektodawcy odrzucali konstytucję kwietniową, a zatem także modyfikację statutu organicznego przez nią wprowadzonego); w przypadku konstytucji kwietniowej m.in. głosowania Sejmu i Senatu. Nie ulega wątpliwości, że wymogi te nie zostały spełnione. Kolejną kwestią jest brak podstawy prawnej. Jak zwrócił uwagę Przemysław Kierończyk, w art. 1 ustawy konstytucyjnej z dnia 6 maja 1945 r. o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego nie wymienia się – wśród aktów zmieniających statut organiczny – Konstytucji kwietniowej, w której art. 81 ust. 3 przecież niewątpliwie statut zmieniono. Działając zatem *de facto* zgodnie z Konstytucją kwietniową, *de iure* się do niej nie odwoływano (traktując ją w tym akurata przypadku *per non est*).

Rzecz charakterystyczna, że w Internetowym Systemie Aktów Prawnych ustawa konstytucyjna z dnia 6 maja 1945 r. o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego nie ma statusu aktu prawnego „uchylony” (jak wiele innych aktów prawnych), lecz „uznany za uchylony”.

Abstrahując od kwestii czysto prawnych – jeszcze jedno spostrzeżenie. Z przeczytanych przeze mnie materiałów legislacyjnych wynika, że autonomia Śląska nie miała obrońcy. W protokołach nie utrwalił się ani jeden głos sprzeciwiający się jej zniesieniu lub nawet podający ten zamiar w wątpliwość. Nic dziwnego, skoro Wojciech Korfanty, Konstanty Wolny, Józef Biniszkievicz czy Włodzisław Dąbrowski nie byli już wśród żywych i nie mogli zabrać głosu, a np. Walenty Fojkis pozostał na emigracji...

Osobne zagadnienia stanowią kwestie szczegółowe, np. jak ewentualne trwanie autonomii wpływałoby na proces

powojennej odbudowy czy proces unifikacji ustawodawstwa w związku ze zmianą granic.

Zastanawiając się nad losem autonomii Śląska nasuwa mi się porównanie do sądownictwa administracyjnego. O ile wobec autonomii nowe władze były od początku przeciwne i tego nie ukrywały, to w przypadku sądownictwa administracyjnego w 1945 r. oficjalnie deklarowały restytucję. Prowadzono prace koncepcyjne nad jego kształtem, powstało kilka projektów. Prace nad nimi jednak przeciągano i komplikowano do momentu, gdy zmienił się w Polsce klimat polityczny wskutek sfałszowanych wyborów w 1947 r. i ucieczki Stanisława Mikołajczyka. Wówczas konsolidowała się władza komunistyczna. W okresie tym nie było już szans na ustanowienie jakichkolwiek organów niezależnych. Jest to wspólnym mianownikiem łączącym autonomię i sądy administracyjne w ówczesnej optyce. Oba byłyby poważnymi czynnikami niezależnymi od władzy komunistycznej, a ich istnienie nie mieściło się w filozofii nowej władzy. W przeciwieństwie do autonomii, wpływ czasu zadziałał jednak na korzyść sądownictwa administracyjnego, które zostało przywrócone w Polsce w latach 80. ■

Źródła: Archiwum Akt Nowych, Biuro Prezydialne Krajowej Rady Narodowej. ♦ J. Ciągwa, *Autonomia Śląska (1922–1939)*, Katowice 1988. ♦ E. Długajczyk, *Sanacja śląska 1926–1939. Zarys dziejów politycznych*, Katowice 1983. ♦ M. Fic, *Administracja województwa śląskiego* [w:] A. Dziurok, R. Kaczmarek (red.), *Województwo śląskie 1945–1950. Zarys dziejów politycznych*, Katowice 2007. ♦ K. Graczyk, *Rozwiązania ustrojowe proponowane przez Polskę i Niemcy w okresie poprzedzającym plebiscyt w sprawie przynależności Górnego Śląska w 1921 r.*, „Przegląd Europejskiej Kultury Prawnej” 2016, nr 2, s. 45–52. ♦ K. Graczyk, P. Sobotko, *Próby restytucji ogólnego sądownictwa administracyjnego w Polsce w latach 1945–1948*, *Miscellanea Historico-Iuridica* 2023, t. 22, z. 1, s. 303–360. ♦ P. Kierończyk, *O mniej znanych kontrowersjach prawnych związanych z przyjęciem konstytucji kwietniowej z 1935 r.*, „Przegląd Sejmowy” 2015, t. 2(127), s. 51–64. ♦ B. Liniek, *Polityka antyniemiecka na Górnym Śląsku w latach 1945–1950*, Opole 2000. ♦ A. Lityński, *Wzorce sowieckie w prawie polskim po 1944 r. Zagadnienia wybrane*, „Czasopismo Prawno-Historyczne” 2024, t. LXXVI, z. 1, s. 83–103. ♦ K. Wolny, *Geneza statutu autonomicznego Województwa Śląskiego*, „Głos Prawników Śląskich” 1937, nr 1, s. 9–20.

Konrad Graczyk – dr nauk prawnych, profesor uczelni na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej.

Dwie śląskie odyseje.

Lesław Nowara i Wojciech Grabowski

RADOSŁAW KOBIERSKI

Na początku marca odbyła się kolejna odsłona Śląskiej Sceny Literackiej w Black Woolf Cafe. Gościliśmy twórców urodzonych na Śląsku, piszących o Śląsku (choć ich biografie rodzinne wykraczają daleko poza region) w wielu różnych literackich gatunkach. Lesław Nowara używa języków poetyckich. Wojciech Grabowski jest prozaikiem i eseistą. W każdym razie jego zbiór tekstów o dizajnie „ludowym” ze środkowego i końcowego PRL-u pomimo ewidentnych cech epickich raczej ciąży ku eseistyce.

Lesław Nowara debiutował w 1987 roku arkuszem *Suknia z papieru i brązu*, w ostatnich latach ukazały się *Ość wieloryba* (2020) oraz *Przed nami jeszcze potop* (2023) – w sumie opublikował jedenaście tomów liryk oraz dwa zbiory aforyzmów. Warto również zaznaczyć, że jego wiersze znalazły się w dwóch znaczących antologiach poezji polskiej: *Macie swoich poetów* (Lampa i Iskra Boża, 1996) i *Antologia Nowej Poezji Polskiej* (Zielona Sowa, 2000).

Wojciech Grabowski napisał i opublikował cztery książki opowiadające zarówno Śląsk, jak i rodzinne Podkarpacie: debiutancką powieść biograficzną *Maroko, Archi-traw* – opowieść o architekturze Śląska i Zagłębia, *Człowiek-motocykl* – piętnaście krótkich opowiadań o dorastaniu w Przemysłu, wreszcie *Dizajn tamtych czasów*, książka niby o przedmiotach (dużych i małych), o projektowaniu, funkcjonalizmie, ale również o relacjach między przedmiotem a użytkownikiem, a ściślej rzecz biorąc o relacjach między użytkownikami – wytworzonych czy może nawet zaprojektowanych przed przedmiot. Jerzy Sosnowski w krótkim opisie tej książki słusznie zwrócił uwagę na jej niezwykłość – w kontekście literatury przedmiotowej powstałej w ostatnich latach.

Pierwszą część spotkania w Black Woolf Cafe zdominowały pytania o wyznaczone granice dwóch odrębnych – ale w jakim sensie również równoległych – biografii i materii literackich. Zgodziliśmy się co do tego, że owe granice mogą być wyrażone w sposób fizyczny, a nawet geograficzny, za pomocą rzek

i akwenów wodnych. Jak się okazuje, woda na Śląsku nie jest towarem deficytowym, jest jej dużo, choć nie spektakularnie dużo i można na upartego wyruszyć szlakami wodnymi w daleką podróż. I jest to podróż, par excellence, w głąb siebie i własnej historii, a więc podróż symboliczna i metafizyczna, ale zarazem wyprawa ku odleglejszym morzom i łądom. Tak się stało w przypadku Wojciecha Grabowskiego, który ze stawu „Maroko” na katowickim Tysiącleciu wypłynął na szlaki morskie i po kolejne patenty żeglarskie. U Lesława Nowary powraca znów obraz Kłodnicy (i moglibyśmy ją dodać do wielu innych rzek, które odnalazły swoich koryfeuszy, np. *Korzenie Białas, Issa Czesława Miłosza*) jako rzeki granicznej, która rozdziela ten i tamten czas, przeszłe i dzisiejsze Gliwice, śląskie miasta od miast, które na mapie regionu znalazły się przypadkiem, nie mając z nim, symbolicznie i kulturowo, nic wspólnego. Nie do końca wiemy, czy owe wody to są wody Styksu czy może Heraklityjski nurt, który zmienia wszystko w jednej chwili, czy też są to wody, które przemierza współczesny Odys. Może są to akwenty i naczynia połączone.

I chociaż podróże Lesława Nowary i Wojciecha Grabowskiego łączy czas i doświadczanie czasu, a nawet swista mitologizacja przeszłości, używają oni różnych strategii literackich i narzędzi obrazowania i w inne tradycje są zapatrzeni. Nowara nie tylko szuka śladów po Zagajewskim i Różewiczu, dwóch znakomitych postaciach powojennych Gliwic. Jego poetyka, jasne klarowne wypowiedzi, przetrutnie, zerwane związki między intonacjami – a nawet obecny pierwiastek dydaktyczny – świadczą niezbicie o tym, że z tej poezji cały wyrasta i się wytwarza. Ale są w nim również widoczne – ze względu na napięcia między tym co dydaktyczne i etyczne i imperatywne, a tym co metafizyczne, gnostyczne – uniwersa Herberta i Miłosza (nie zdążyłem niestety zapytać, co wynika dla nas i dla Nowary z tego zderzenia).

Wojciech Grabowski, może w związku z eksploatacją innych gatunków li-

terackich, czerpie z innych źródeł. Sam autor zresztą zwraca uwagę na te relacje w opisie książki *Dizajn tamtych czasów*: „Czterech wielkich artystów ukształtowało moje widzenie świata: Schulz, Kantor, Fellini i Pan z Kiosku uruchamiający motorower marki Komar”. Tak, Bruno Schulz wydaje się oczywisty (niektóre fragmenty próz Grabowskiego, ich styl oraz mitologizacje w sposób jednoznaczny odkrywają te związki). Kantor z jego religią i rewitalizacją przedmiotu; wyciągnięciem go ze strefy śmie(r)ci i nadaniem mu nowej ontologicznej zasady wydaje się być patronem nie tylko książki o *Dizajnie*, ale również *Maroka*. Spół, w jaki Grabowski kadruje Śląsk i wspomnienia o nim, również bliższe zdają się być poetyce włoskiego neorealizmu.

Nowara ponadto adaptuje do swoich wierszy języki teologiczne i wyobraźnię religijną – żeby przeobrazić je we współczesne apokryfy. Grabowskiego interesuje konkretnie, uliczne wydarzenia, relacje społeczne, których lustrem niejako staje się śląskie podwórko. Nowara pisze z perspektywy awansu, jakim jest literatura, bycie pisarzem etc. Grabowski dopiero wskazuje drogę do emancypacji; na przykładzie własnej biografii, poczucia izolacji i świadomości istnienia różnicy – nie tylko o charakterze etnicznym, ale również aksjologicznym (nie umieć grać w piłkę na Śląsku to było nieszczęście) i o różnych rodzajach przemocy, które są związane z tymi doświadczeniami (emancypacji i różnicy). Przemoc nie jest jednak głównym obrazem literackim Grabowskiego. Nawet nie jest tłem – to zdecydowanie wyróżnia go spośród twórców o dwa pokolenia młodszych i ich debiutów. Wydaje mi się, że twórcy urodzeni w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z czasem nauczyli się doceniać rolę represyjnego środowiska społeczno-politycznego i rodzinnego w ich historiach i finalnie – w literaturze (tylko nieliczni startowali z tym tematem z pełną świadomością i premedytacją). Nigdy jednak nie uznali go za główny temat literacki.

Spotkanie z Niesamowitym

JOANNA WAROŃSKA-GĘSIARZ

Kilkanaście lat temu Polskę obiegła wiadomość o odkryciu w Gliwicach „cementarzyska wampirów”. Fakt ten, skojarzony z niesłabnącą popularnością horroru i opowieści niesamowitych, wpłynął na kształt repertuaru tamtejszej sceny. Jesienią 2013 roku Gliwicki Teatr Muzyczny wystawił musical *Wampiry i upiory* (reż. Paweł Gabara). W 2020 roku już w Teatrze Miejskim w Gliwicach przygotowano spektakl *Wpuść mnie* (reż. Agata Biziuk), a obecnie Jakub Roszkowski zaproponował adaptację XIX-wiecznej powieści Brama Stokera *Dracula* (premiera 22 lutego 2025). To spektakl o lęku, w którym ważny jest sposób budowania scen przerażających i niemal metafizycznych, ale ważniejszy okazuje się chyba namysł nad genezą strachu przed nieznanym i niepojętym. Za pomocą konwencji grozy opowiedziano historię o obecności odmieńców niepasujących do społeczeństwa i z tego powodu w jakimś sensie zagrażających utrwalonej strukturze, by zastanowić się również nad konsekwencjami obudzonego uczucia. Według Roszkowskiego: „Do teatru nie idziemy przecież po autentyczne doznanie strachu, choć jako widzowie lubimy pewnego rodzaju dyskomfort i niepewność. Najstraszniejsze odbywa się jednak w nas”. Wśród odmieńców, do których należą także pacjenci szpitala psychiatrycznego, główną postacią jest oczywiście hrabia Dracula. Właściciel zamku w Transylwanii wygląda inaczej (ma białą skórę i długie ostre zęby), zachowuje się w sposób niezrozumiały (podróżuje z trumnami wypełnionymi piaskiem), a wokół niego dzieją się dziwne rzeczy.

W powieści irlandzkiego pisarza nie ma obiektywnego narratora, co wpłynęło także na konstrukcję spektaklu. Informacje o zdarzeniach otrzymujemy od wielu osób. Pochodzą one m.in. z dokumentów osobistych Johnathana Harkera (Mariusz Galilejczyk), który wyjeżdża z Londynu do „dzikiego kraju”, by przeprowadzić intrygantną transakcję, listów panien na wydaniu (Miny Murray – Alicja Stasiewicz, oraz Lucy Westenry – Klaudia Cygoń-Majchrowska), zapisków lekarza psychiatry (Johna Sewarda – Maciej Piasny), fragmentów dziennika pokładowego czy wycinków prasowych. Aktorzy znajdują się w różnych miejscach sceny, na balkonach, a nawet na widowni, co zwraca uwa-

gę na niejednorodność pokazanej przestrzeni.

Widz przysłuchuje się wypowiedziom obserwacji i interpretacji świata, bazującym na lękach i wrażeniach postaci. Hrabia Dracula istnieje głównie w relacjach innych, może nieco wyolbrzymionych lub zniekształconych emocjami, ale widzimy go także jako podmiot działający. Poznajemy go już w pierwszej scenie, gdy kształtuje chór i tworzy poruszającą muzykę. Potem jego aktywność uruchamia szereg zdarzeń i zmienia świat. Namiatką obiektywnego narratora mogą być początkowe teksty reklamujące Transylwanię, ale też nieco przypominające tradycję kina niemego albo odwołujące się do sposobu kwestionowania teatralnej iluzji. W adaptacji Roszkowskiego układ powieściowy został zastąpiony porządkiem chronologicznym, co zdynamizowało relacje między fragmentami tekstów, a wielogłos będący sposobem wykreowania świata przedstawionego wzmocniony został wielojęzycznością.

W spektaklu wykorzystano elementy i urządzenia wzmagające dystans między aktorami a widzami. To nie tylko półprzezroczyste zasłony, ale też kamera transmitująca na żywo to, co dzieje się w głębi sceny (tak istnieje m.in. karczmarska ostrzegająca Harkera przed Draculą oraz niektóre fragmenty szpitalne). Elementy te eksponują jeszcze mocniej ujawniające się w opowieściach postaci nieobiektywność i niezamierzone albo zamierzone zniekształcenia, wywołane m.in. konwencjonalnością/ nieprzezroczystością języka, różnicowaniem struktury psychicznej postaci, ich wrażliwości na określone bodźce oraz światopoglądem.

Wstępna antyteza: dzika Transylwania i cywilizowany Londyn (wyobrażenie będące przecież konsekwencją polityki kolonialnej dawnej Anglii), zostaje rozmyta wskutek podróży Draculi do Londynu (tu rozpoczynają się budzące grozę tajemnicze zdarzenia), ale także wyeksponowania szczegółów angielskiej cywilizacji (myślistwo, kuchnia wykorzystująca podroby oraz krew). Tym samym egzotyczne początkowo słowo „wampir” nabierać może dodatkowych znaczeń, aż do sieci powiązań i zależności obecnych w społeczeństwie, postrzeganym nie jako organizm, lecz grupę organizmów żerujących na sobie (mam na myśli m.in. życie z pracy innych, ale także gotowość narażenia życia dla kogoś/ czegoś, albo gotowość poświęcenia

się za kogoś/ za coś). Być może, odzywa się we mnie pamięć rozważań Marii Janion na temat wampirycznej odmiany polskiego romantyzmu. W spektaklu ten pomysł interpretacyjny nie został wyakcentowany, choć pamiętam *Potop* zrealizowany w 2020 roku przez Roszkowskiego w Teatrze Śląskim, gdy scena W Galerii ociekała krwią.

Przede wszystkim jednak spektakl urzeka wizualnością, nawet jeśli wiele scen rozgrywa się niemal w ciemnościach. Ciemność to przecież czas, gdy budzą się upiory, grasują wampiry, a pobudzona wyobraźnia projektuje fantastyczne zdarzenia. Aktorzy ubrani są w czarne stroje i zostali ucharakteryzowani zgodnie z konwencją horroru. I nawet jeśli chwilami widowisko staje się słuchowiskiem, to doskonale dobrane głosy oraz sposób interpretowania tekstu przez aktorów pozwalają na orientację w świecie przedstawionym. Na podkreślenie zasługują sceny ujawniania się Niesamowitego, w szparach doskonale znanej rzeczywistości. Cienkie półprzezroczyste kotary, światła oraz wentylatory pozwoliły wykreować niemal lodowe przestrzenie zamku, burzę na morzu, ale także „metafizyczny finał” (scenografia, wideo, reżyseria światła i kostiumy Miłrek Kaczmarek). Spektakl urzeka również warstwą muzyczną (wszak kuchnia i muzyka to dwie główne atrakcje Transylwanii). Na uwagę zasługuje nie tylko scena pierwsza, w której zza naszych pleców dobiega piękny i mocny śpiew poddanych hrabiego Drakuli. Kolejne warstwy spektaklu wzmocniały we mnie postawę niepewności, kwestionując to, co oczywiste, i eksponując Niesamowite: Gdzie powinien patrzeć, aby dostrzec to, co najważniejsze? Co kryje się w ciemności? Jakże znaczenie nadać temu, co się wydarzyło?

Spektakl przygotowany w Teatrze Miejskim w Gliwicach na pewno wart jest obejrzenia. Jest to bowiem czas, gdy (wraz z aktorami) możemy wyruszyć w podróż, by poznać źródło zła i zastanowić się nad lękiem, jego przyczyną i konsekwencjami. ■

Bram Stoker
Dracula
reżyseria Jakub Roszkowski
premiera 22 lutego 2025
Teatr Miejski w Gliwicach





Wymyślić się na nowo

WOJCIECH LIPOWSKI

Niby nic nowego. Po raz kolejny znaleźliśmy się w jakimś mieszkaniu pośród banalnych dekoracji codzienności. Jak to czasem bywa w zwykłości, pod powierzchnią zdarzeń i faktów prywatnej historii ludzi, w tym wypadku małżeństwa w trakcie rozpadu, skrywa się inna opowieść, pozornie błaha, subiektywna, mało istotna z punktu widzenia postronnego obserwatora. Z minuty na minutę, powoli, ktoś stara się ocalić od zapomnienia, wydobyć z niepamięci, niejednoznaczną przeszłość, którą każdy widzi inaczej, posiłkując się własnym doświadczeniem, grając pamięcią, zmyśleniem, czasem raniącą prawdą. Coś złożonego w całość, sypie się jednej chwili w proch i tak od nowa, aby nie uронić żadnego okruchu większej całości, co to zwykleżniamie życiem się nazywa.

Jak to się stało, że Katarzyna Błaszczyńska zdołała pomieścić w teatralnej drobinie, którą pokazała na scenie katowickiego Teatru Korez, przejmującą podróż w przeszłość dwojga ludzi, których obraz wspólnych doświadczeń stał się zapisem okrutnego, pełnego rozpaczy niespełnienia? Autorka nie po raz pierwszy przygląda się drobinom życia pełnego zakrętów, co ludziom przesyłało się przez palce i nijak nie potrafią go posklejać, wyzwolić z przeszłych spraw. Ma wy-czucie, bada puls doświadczeń w tym wypadku byłych małżonków, którzy już po rozwodzie muszą dogadać się w sprawie przyszłości syna. *Kiedys było nam dobrze* to niewielkich rozmiarów dramat, jaki mądrze, z wielkim wyczuciem, ocalając intymny wymiar rzeczywistości, w której toczy się ta historia, wyreżyserował Piotr Bułka, którego, jak się zdaje, przyciąga coraz częściej fotel po drugiej stronie sceny.

Nie dajmy się jednak zwieść pozorom łatwej, znanej na pamięć kolejnej historii związku, który trudno zakończyć. Nie tym razem. Postrzępione fragmenty wspomnień, coraz bardziej dynamiczna gra pytań i kluczających odpowiedzi zaczynają przypominać grę pełną przemilczeń, zmyśleń, manipulacji, czy w końcu satysfakcji związanej z upokorzeniem przeciwnika. Nie dostajemy tu nawet szansy na ocenę przedstawionych zdarzeń, możliwość ich sensownego ułożenia. Ona, grana z całą amplitudą drgań emocji przez Darię Polasik-Bułkę, raz pewna siebie,

kiedy indziej pogubiona i pełna rozpaczy, kreśli swoją wersję zdarzeń z życia tego związku. Są oskarżenia, wspomnienia dobrych chwil, a może po prostu jedna wielka mistyfikacja mająca na celu skompromitowanie byłego już męża. Aktorka mistrzowsko przechodzi przez kolejne etapy odpominania domniemyanych win, zaniedbań. Czego nie ma w tych rozmowach, snutych w kuchni pięknie odmalowanej dziecięcą kredką: zazdrość, współczucie, wyrzuty, morze kłamstw. I my zaczynamy w to wierzyć, widząc po chwili, że ktoś tu nas robi na szaro i nie wiadomo, czy widziana z innej perspektywy cała ta opowieść ma w sobie choć odrobinę prawdy. A może snuta przez nią nić pamięci jest nadszarpnięta i wąta?

No i On, Bartłomiej Błaszczyński, doskonały partner w tej małej wojnie. Perfekcyjnie, choć mogłoby się wydawać, że wsparty na fundamencie nieśmiałości i zagubienia, wydobywa z pamięci to, czego w danej chwili potrzebuje, aby przyłożyć, zranić, a potem wziąć w ramiona całe nieszczęście, którego jest sprawcą. Były mąż, ale bez winy, bo winny jest ktoś inny. Błaszczyński naprawdę zachwyca zmiennością spojrzenia na życie przeszłe i teraźniejsze. Nie wiadomo, czy był dobrym ojcem, czy nie i tak zaciekle walczy o prawo do kontaktu oraz opieki nad chorującym synem. A może pogubił się zupełnie we własnym wyobrażeniu wspólnego rodzinnego życia, które stracił w codziennej bieganiu nie wiadomo za czym. Zdradził czy nie, zranił lub zlekceważył konsekwencje braku wierności? Jedno jest pewne: oboje zeszli już dawno z drogi do wspólnej prawdy i nie potrafią odnaleźć się w nieznanym przestrzeni dojmującej samotności.

Piotr Bułka zaproponował nam teatralną podróż w nieznane rejony ludzkich doświadczeń, jakby chciał powiedzieć każdemu z osobna, że nieodpowiedzialna zabawa pamięcią jest czymś niezwykle poważnym, niosącym zgubne konsekwencje. Czy to, co opowiedzieli nam byli małżonkowie podczas ledwie godzinnej wizyty w ich życiu wydarzyło się naprawdę? A jeśli tak, co w tym było prawdą, co zmyśleniem? Który z portretów kobiety i mężczyzny był prawdziwy? Może żadna ze scen z życia małżeńskiego? Można odnieść wrażenie, że autorka sztuki i re-

żyser chcieli nas przekonać, że w zasadzie zawsze jest tak, że większość tego, co widzimy, czego doświadczamy i tak zostanie zapomniane, zaś odczytane na nowo w teraźniejszości, stanie się ponownie użyteczne i potrzebne, lecz już w innych kontekstach.

Kiedys było nam dobrze to także dwie bardzo dobre role drugoplanowe. Matka bohaterki w interpretacji Izabelli Malik, chyba nikt tak jak ona nie pokazałby na scenie kobiety przeoranej przez życie, przytulonej do butelki. Pojawia się zaledwie w kilku odsłonach, skupiając na sobie uwagę. Soczyste i celne komentarze dotyczące życia córki, relacji z nią, zięciem i własnej roli w jej życiu zapadają w pamięć. Z drugiej strony wzrusza jej dramat, rozpacz, pogubienie i niespełnienie. Jakaś dziwna kruchość i ułomność. Rola druga to byt osobny, niby z boku spraw, a skupiającą uwagę w równym stopniu jak wątek główny sztuki Błaszczyńskiej. Mirosław Neinert, psychoterapeuta, cyniczny, wyrachowany, jakby sam potrzebował szybkiej terapii, a nie para, która wysłuchuje jego często nietrafionych diagnoz. Chciałoby się oglądać częściej tego aktora w podobnych wcieleniach. Trudna rola, łatwa do przerysowania, wygrana na styku różnych emocji, utrzymana w ryzach i niezwykle emocjonalna.

Nie otrzymamy odpowiedzi na wiele pytań, które krążyć będą po głowie, gdy opuścimy domostwo, do którego zajrzeliśmy na parę chwil. Sztuka Katarzyny Błaszczyńskiej, ładnie oprawiona scenograficznie przez Sonię Sing-savang, z dobrze dobranymi kostiumami Joanny Łęckiej pozostawi nas za zamkniętymi drzwiami. Czy kiedyś było im naprawdę dobrze? Czy było w tym uczucie, miłość? Pewnie i takie pytania pojawiają się po wyjściu. Może daliśmy się uwikłać w sieć domysłów, niespełnień, zwykłej ludzkiej tęsknoty za stabilizacją? W każdym razie gry pamięcią nie zawsze przyniosą pożądane efekty. ■

Katarzyna Błaszczyńska
Kiedys było nam dobrze
 reż. Piotr Bułka
 Teatr Korez w Katowicach
 Premiera 1 lutego 2025
 Pokaz 15 marca 2025

Trwoga Anioła

Jak pachnie Dawid? Jak pachnie pasterz? Jak żołnierz w pełnym rynsztunku rzeźbiony przez przeciwności czuje się wobec śmierdzącego pasterza? Kładę dłoń na wyszlifowanym marmurze. Czuję wypustki napiętych mięśni, żłeby tkanek. Czuję zapach obszczonego metalu. Barierka dookoła rzeźby przyjęła na siebie druzgocący fetor. Tak mógłby śmierdzieć Goliat. Jego rozkładający się metalowy układ nerwowy miesza się z odorem zwierzęcego moczu. Jak w osiedlowej windzie. Zmęczone, wyslizgane przyciski. Wszyscy wiedzą, że winda jest skazana na porażkę, że i tak w końcu ktoś w niej naszcza. Tak jak Dawid zwycięża Goliata. Delikatnie muskam łydkę, podążam w górę, w stronę uda. Pod palcami ciało twardnieje, spina się. Serce zaczyna mi bić szybciej. Ale spoglądam znów na Goliata. Moja ręka się cofa. Czuję obrzydzenie swoim zachwytem. Nie mogę się zachwycać kimś, kto nie gra według zasad. Jak mam Cię kochać, Dawidzie? Twoje piękno jest okupione filistyńskim cierpieniem. Zabiłeś człowieka, zdobywając sławę. Nie pamiętam, jak się nazywa twój lud, ale za to wszyscy możemy podziwiać piękno twojej piersi. Krągłość twojego pośladka. Masz włosy, o których marzyły moje koleżanki. Gładzę biodro. Wspinam się wyżej, chcąc dorównać twojej sile. Łapię za szyję. Trzymam kurczowo. Czuję bezpieczeństwo i stratę. Czuję, że robię coś złego. Obcuję ze sztuką. Ślepnę na podziały. Tracę włosy. Schodzę niżej, siadam, głowa między dwie kolumny. Ruchem Samsona rozkładam Ci nogi. Łamię. Już na wieki. A ty spadasz mi na głowę. Zatracamy się pod oszczanym progiem barierki. Winda się zatrzymuje. Piętro piekło. Goliat górą.

Czarny kwadrat

Organy, nuta czekolady, duszno i głucho. Dziwny, nieokreślony ruch, trochę jakby w dół, trochę w bok. Nie-równy rytm. Dźwięki się oddalają. Odgarniam pościel i wymacuję bieliznę w kącie łóżka. Drugiej świeżości. Budzik jeszcze nie zadzwonił. Miałem sen o swojej bylej. We śnie się wydawała dużo mniej demoniczna niż w rzeczywistości. Za oknem nie ma śniegu. W zasadzie to jakoś nie potrafiałem nawet dostrzec okna. Marzę o kawie. Znowu słyszę organy. Dziwne, bo moi sąsiedzi raczej nie są zbyt muzycalni. Na stadionie raczej też nikt nie wpadł na to, żeby odegrać triumfalny marsz pogrzebowy. Zdezorientowany wołam: „Hey Siri”. Siri odpowiada tak samo głucho jak organy: „I’m sorry I didn’t quite catch that...”. Razem z nią słyszę jakieś syki dezaprobaty. Szybko się poddaję, wstaję, próbuję wymacać lampkę. Klikam, raz, drugi. Nie ma prądu. Wyjątkowo pechowy poranek. Wracam do łóżka i naciągam kołdrę, ale już nie zasnę. Póллеżąc, analizuję swoją nocną chimerę. Ona nieuchwytna za barierą snu. W nocnych peregrynacjach ludzie zawsze są bardziej wyraźni. Lepiej spełniają swoje role. Nie do końca już pamiętam, jak on przebiegał. Pozostała jedynie impresja, nieokreślone poczucie, że straciłem tamten zaczarowany świat na zawsze. Zdaje mi się bardzo odległe, tamto życie, które zostawiłem z nadzieją, że stać mnie na coś więcej niż upokorzenia.

Znowu organy. Teraz odzywają się rzadziej, wtórują same sobie według muzycznej aksjologii. W organach wszystko jest poukładane, są wyższe i niższe dźwięki

i nikt tego nie podważa. Nie ma białych heteroseksualnych patriarchalnych piszczałek. Są długie i krótkie. Nie ma piszczałek uciskanych, cierpiących. Ich krzyk jest ich największą dumą. Demiurg–organista z patosem kopie i bije pedały i zęby klawiatury. Żaden nigdy nie wypadł, nie zmienia orientacji pod naciskiem buciora. Jedynie co, to z radością wybrzmiewa w harmonii istnienia. Poprawiam poduszkę. Trochę już się rozbudziłem. Wstanę i może zacznę robić śniadanie. Zjem coś lepszego niż tosty. Może przejdę się do sklepu? Ale chyba zamknęty, bo dalej jest ciemno, jakby słońce zapomniało dzisiaj wstać. Idąc w stronę drzwi zahaczam małym palcem o kant szafki. Jeżeli bóg istnieje to właśnie umarł. Tej myśli wtórują organy.

W drzwiach nie ma klamki. Pukam nieśmiało. Dookoła prostokąta pojawiają się smugi światła, tak jakby ktoś uchylił wieczko. Nic więcej. Zaniepokojony, szukam zapasowego klucza, ale nic nie widąc w przesuwanej szafie. Godzę się z porażką. Kładę się znów, organy zgadzają się nieśmiało z moją decyzją. Zamykam oczy i leżę tak chwilę. Zrobiło się ciemniej, smugi zniknęły. Nagle poczucie spadania, tak jak wtedy, kiedy sen jest zbyt przytłaczający. Upadam na deski i zamiast się zbudzić, słyszę głuchy chrzęst łopaty.

Katedra w Strängnäs

Budzik to chyba najnudniejsze z otwarć, które może sobie wymarzyć osoba pisząca, ale niestety za każdym razem dzwoni o 8:30. Punkt *sharp*. Nigdy się nie spóźnia, nawet jeżeli nie jest na czas. Pierwszy impuls wynosi sumę przestrachu i przerażenia. Jak to? Znów? I to nazywają prozą życia, ale nigdy tego nie zrozumiałem, bo ja bardzo lubię prozę, a to, co firmują prozą życia nie przystaje do budzika o 8:30. O tą 8:30 walczyłem dwanaście lat wstając o 6:40. Na szczęście skończyła się szkoła i to przyniosło wielkie wytchnienie. Po drodze jeszcze wydarzyła się pandemia, w której mogłem wstawać później i podłączać się na zajęcia. Grałem z chłopakami w *Call of Duty*, bo czasy, kiedy mogłem zostać esportowcem niestety bezpowrotnie minęły. Ciepło to wspominam, bo mimo że wydaje mi się, że jestem już innym człowiekiem, to czasem do mnie powraca i wyciska ze mnie łzy. Esportowcy wstają trochę później niż o 6:40 i to był dla mnie wystarczający powód, żeby spędzać każdego dnia wiele godzin znęcając się nad przeciwnikami i przy okazji też nad sobą. Musiałem udowodnić, że jestem lepszy od moich kolegów, a potem udowodnić sobie, że jestem w ogóle. Lepszy. Ale ten budzik dzwoni dalej i w końcu go wyłączam, bo wyłączyłem funkcję, że przestaje sam z siebie. Bardzo lubię poranki, dlatego staram się wykorzystać z nich każdą sekundę. Jednocześnie bardzo nie lubię poranków, bo wyciskam z nich każdą sekundę. Potrzebny mi jest schematyzm, lubię to. Przeczytałem w *Cukrach* Doroty Kotas, że tak mogą mieć osoby mieszczące się w spektrum. Wielokrotnie się nad tym zastanawiałem czy ja się też nie zmieszczę w tym całym *spektrum*, że tam też znajdzie się jakieś miejsce, które pozwoli mi, że ktoś spróbuje mnie zrozumieć. Te próby jednak zawsze spełzały na niczym i może dobrze, bo nie chciałem nigdy, żeby inni członkowie *spektrum* poczuli się urażeni obecnością *impostora*. Niestety poszukiwanie tożsamości wiąże się z oszukiwaniem, tyle że ja nigdy

nie potrafiłem za dobrze kłamać i rzadko byłem zdolny na tyle aby siebie przekonać, że jestem czegoś wart. No, ale dzwoni ten budzik i w końcu wybrzmiał ostatni ton męki. Można położyć nogę na podłodze, mimo tego, że strasznie się nie chce i że oddałbym wszystkie pieniądze świata za to żeby wieść życie w którym nie muszę wstawać przed 8:30. Bo teraz jest 7:30. Codziennie mam ustawiony budzik na 8:30, bo to godzina, o której jeszcze czuje się całkiem nieźle, niestety, w mojej głowie wtedy na wszystkie ludzkie aktywności jest za późno, ale żeby kłamstwo się utrzymywało, to zawsze mam budzik na 8:30 i ten właściwy, wcześniejszy. Wstałem więc i szukam ręką bielizny, trochę pokracznie, bo jest grudzień, no i mieszkam na Śląsku, a na Śląsku nawet latem jest ciemno. Zimą cały śnieg spływa do kopalni, głęboko, dusząc tych, którzy tam zostali już na zawsze. Plucha zabiera dzieciom radość, a dorosłym szansę na poranek w śnieżycy. Śnieżycy przynosi wybawienie, bo stawia w stan podejrzenia wszystkie zadane aktywności danego dnia. Może się nie udać, bo zasypało garaż. Może się nie udać, bo jest cholernie ślisko. Nie uda się, ale z nie z mojego powodu, i to wystarczający powód do radości. Ale już jest 7:37 i jak za minutę nie wyjdę z pokoju to nie wypiję kawy w spokoju. W spokoju tj. dłużej niż 7 i krócej niż 9 minut, bo poranek nie wybacza błędów. Jak schodzę na dół, to mama zazwyczaj śpi. Jak nie śpi, to wygląda podobnie do mnie, czyli bardzo kiepsko. Dostałem od niej w spadku złe samopoczucie. Nawet to lubię, bo czuć się źle razem raźniej. Można też wspólnie

szukać powodów, zazwyczaj stawiamy na pogodę, czasem bliżej nieokreślony „taki dzisiaj dzień” i jakoś prościej. Tata nie wstaje, ale on też marnie wygląda. Już siedem lat kisi się pod kołdrą, po tym jak niefortunnie się przewrócił. W kuchni już czeka babcia, na nogach od kilku godzin, bo dziadek chodzi po nocy i musi go pilnować. Całe życie tak go pilnowała, że tak jej to weszło w krew, że nie może przestać. Teraz już najgorsze, co się może stać, to że wysika się na balkon albo pod kaloryfer. Krząta się babcia, robiąc kanapki swojemu synowi, co mieszka naprzeciwko, ale też już sobie sam kanapek nie robi. Mnie od dawna nikt nie robi kanapek, zapomniałem, jak to jest, że ktoś robi coś dla ciebie. Do momentu, do którego nie zobaczę na łóżku czystego prania, wtedy sobie przypominam, że jednak ktoś o mnie pamięta. Nastawiam więc opiekacz, w środku chleb i ser. Robię kawę, od razu półtora litra. Będę ją pił do końca dnia. Koło 12 już będzie zimna, ale mi to nie przeszkadza, lubię zimne. Niestety już 7:52, czas robi się wąski, wkrótce autobus minie dworzec. Teraz będzie powoli jechał w moją stronę. Zrobi sobie przerwę na minipętli obok bloku mojego kolegi z przedszkola, z którym robiliśmy wszystko i teraz też czasem coś razem robimy. Na pętli postoi 6 minut i pojedzie na mój przystanek, a to znaczy, że muszę się zacząć śpieszyć, bo gdzieś tam ten autobus już jedzie i ta myśl jest obezwładniająca. Tak więc dzisiaj kawa w minut 6, bo niepokojem nie sposób pozbyć się tak łatwo. I znowu sobie myślę, że trochę tęsknię za pandemią i że to był najlepszy czas mojego ży-



rys. Bogna Skwara

cia. Uczelnia pozwala dwie nieobecności, ale w tym semestrze już je wykorzystalem na zapalenie pęcherza i po- grzeb. Odwołali mi dzisiaj jedno zajęcia i mam 90 minut, żeby w bibliotece napisać o katedrze w Strängnäs. Rozminięcie się z tym limitem może zrujnować marzenie o obronie za pół roku, więc lepiej żebym się wyrobił. To będzie jutro, teraz jest 23:24, autobus już jedzie więc muszę się zacząć śpieszyć.

W wieku nerwowym

Pogodynka na 20 czerwca zapowiedziała rekordowe 31 stopni. Spaliła mi tym kark. Odkąd środowiskowe szyki zostały rozbite, każdy kolejny rok niesie ze sobą niewiadome anomalie. Z jednej strony to ciekawe, żyć w czasach ostatecznych. Z drugiej, to niestety szybko powszednieje. Mało kto nagle umiera, nie zamykają nas w domach. To powolny proces. Cóż mi zaszkodzi kilka stopni więcej? Nie jestem rolnikiem. To co mnie najbardziej dotyka to bezsenność, letnia (gorąca) bezsenność.

Zamykam się wtedy w garderobie, w moim przedwojennym domku, wybudowanym przez jakiegoś dobrodusznego Niemca, który trzymał dużo piwa w piwnicy i szybko został wcielony do sił zbrojnych III Rzeszy. Na pierwszym piętrze, w jednym z dwóch pokoi znajduje się moja osobista Narnia. Nie jest oddzielona od pokoju drzwiami. Zamiast tego ze ściany wyrasta kilka niezgrabnie pozbitych desek stylizowana na szafę. Przy bliższym podejściu odrobine daje marcepanem albo czymś innym, równie słodkim. Czasem myślę sobie, że należała do żony piwnego Niemca, która okadzała wejście swoimi perfumami. Garderoba ma formę korytarza długiego na pięć metrów, szerokiego na półtora. Po lewej wieszaki, po prawej ściana. Na środku ja (nie chodzi o Gombrowicza). Wracając do mnie. Leżę (nie chodzi o Białoszewskiego). Czuję pod łopatkami parkiet. Zamykam oczy i cieszę się chłodem ciągnącym z piwnej piwnicy, jakby pomijał parter. Przypominam sobie mecz, w którym strzeliłem gola po wyminięciu bramkarza ruletką. Graliśmy wtedy druga b na trzecią c. Wtedy świat należał do mnie.

Straciłem przytomność. Chwilę po strzale ktoś we mnie wjechał, a należy wspomnieć, że graliśmy na betonie tak falistym jak włosy Zofii, mojej bylej. Wtedy jeszcze byliśmy razem. To była dobra dziewczyna, nikt wcześniej tak się o mnie nie troszczył. I mówiąc szczerze, to mnie od niej odrzucało. Nie potrafiłem pojąć, co się dzieje i dlaczego. Byłem zimny, tak jak zimny jest reling na wieszaki.

Parkiet nigdy wcześniej nie wydawał się być tak miękki. Opatula mnie sucho, to jest taki dotyk, który dobrze znam. Naturalny, żywiczny. Drzewo kiedyś umarło, żeby teraz objąć mnie parkiecianą kołdrą. Umarło, żeby mogła powstać dla mnie, ta cicha, niemiecka garderoba, drewniana trumna Faradaya.

Przestrzeń między śmierciami

Gdy z Gliwic jedzie się w stronę Bojkowa, jedną z najlepszych możliwości podróźniczych jest ulica Rybnicka. Czysty asfalt, wyraźne linie i mocno zielone światła. Niespełna pięćset metrów w linii prostej znajduje się punkt selektywnego zbierania odpadów komunalnych, największy w okolicy. Nie muszę na niego patrzeć. Z ulicy rybnickiej go nie widać. Nie ma też znaków potwierdzających jego obecność. Gdzieś tam jest, gdzieś też śmieci się znajdują. Ktoś je przebiera, sprawia, że znikają z ludzkiej świadomości. W Bojkowie mieszka mój dobry przyjaciel. Robi wybitną herbatę. Ma bardzo dużo ładnie wydanych książek.

Gdy idzie się w stronę schodów z mojego pokoju, po lewej stronie mija się sypialnie. Sypialnią pozostała jedynie z nazwy, nikt już tam nie mieszka. Pozostało jedynie echo

miarowych oddechów, wydobywające się z ścian i szafek. Trochę tak jakby pokój nie chciał się pogodzić z tym, że stał się graciarnią. Wcześniej gromadzono w nim to, co ważne. Kubki z wodą, świeżą pościel, mięciutkie kapcie. Teraz ciąży mu deska do prasowania, drabina, zakurzone gry planszowe. Czasami tam wchodzę, żeby uchylić okno. Szybko wychodzę, bo przytłacza mnie brak. Brak.

Budzę się rano i słyszę za oknem przyjemny szum. Myślę sobie, Remondis, jak dobrze, że ja Cię mam.

Retroakcja

W Gliwicach na ulicy Toszeckiej stoi tzw. stary kościół św. Bartłomieja. Stary, bo niedaleko triumfalnie nad ogródkami działkowymi wznoszą się kaskady neogotyckich cegieł „nowego” Bartłomieja. Ale to ten stary lepiej zakonserwował się w mojej pamięci. Jego wytarty kamień, wyszlifowany kilometrami pielgrzymek procesji i konkwistad nabrał wdzięku i krągłości. Niemal 800 lat nabierania gracji. Po wąskich uliczkach Szobiszowic szepcze się cichą miejską legendę, że kościół założyli Templariusze. Wpieww drewniany, w XV wieku miał powstać jego kamienny następca. Jakże musiało pachnieć to drewno! W 1623 spalono go przygotowując się do obrony przed wojskami Duńskimi, potem go odbudowano, by w 1683 roku odbył się tu chrzest syna jednego z żołnierzy wojsk króla Jana III Sobieskiego. Mieszkam teraz obok Szobiszowic, w mojej sypialni wisi obraz tego kościoła, który mój ojciec podarował mojej mamie, dawno temu, zanim jeszcze w moim domu na dobre zagościła śmierć.

Wtedy byłem jeszcze dzieckiem. Staliśmy z ojcem w zakrystii, patrzyliśmy na księdza przygotowującego się do odprawienia mszy. Ja, przyodżiany w zbyt dużą, trochę zszarżałą komżę krążyłem zestresowany tam i z powrotem. Bałem się, że w tym przedstawieniu nieumiejętnie odegram swoją rolę. Mama przyszła mnie wesprzeć. Przytulając się do niej zauważyłem szereg czarnych worków na śmieci. Nie było nic nadzwyczajnego szczególnie w świetle prowadzonego wtedy remontu elewacji. Ale jako, że byłem w momencie swojego życia, w którym pytałem o wszystko wszystkich nie mogłem się powstrzymać:

– A co jest w tych workach?

– Pewnie kości – z błyskiem w oku i na łysej czaszce mój ojciec wykrzywił usta w przekonującym grymasie.

– Darek! Nie strasz dziecka.

Akurat ta msza trwała krótko. Ksiądz zamiast kazania wygłosił krótką homilię. Ascetycznie. Podobało mi się to i pasowało do surowego wnętrza kilkusetletniego molocha. Byłem z siebie zadowolony, podawałem co trzeba i kiedy trzeba, dzwoniłem jak w zegarku. Mój tata czytał czytanie, znajoma rodziców wyśpiewała psalm. Po wszystkim zesłaliśmy do zakrystii i odmówiliśmy pożegnalną modlitwę. Mój ojciec, z którym dzieliłem ciekawość, zapytał się księdza o wartość worków.

– Kości! – przy remoncie wyszło, że dookoła kościoła był cmentarz. Zadzwoniliśmy po służby, ale jeszcze nie przyjechali. W zasadzie to nie bardzo wiemy co z tym zrobić, więc czekają – uśmiechnął się od ucha do ucha.

Jak twierdzi Philippe Ariès, pierwotnie władza kościelna mocno sprzeciwiała się chowaniu zwłok w okolicach kościoła. Nie miało to żadnego sensownego wymiaru teologicznego i naturalnie, zwiększało ryzyko chorób. Edykt za edyktem próbowali wytępić nowopowstałą tendencję do przykościelnych pogrzebów. Niestety, co bogatsi i tak wykupowali sobie takie miejsca, a z czasem także i miejsca w kościele, licząc na to, że w ten sposób kupują sobie szansę na wieczność, albo jak nie raj to pamięć wszystkich wiernych.

Został pochowany w moim domu, najbliżej świętości, na którą został skazany. Regularnie w czarnych workach wnosimy jego książki o historii kościoła, notatki, katechezy i podręczniki nauki angielskiego. A ja nie potrafię prze- stać pytać co jest w środku.

Teatralia lwowskie

JAN MALICKI

Jest rok 2017. Kolejne ważne spotkanie. Tym razem mój pobyt w Bibliotece Narodowej, szczególnie zaś udział w posiedzeniu Rady Do Spraw Narodowego Zasobu Bibliotecznego, miał dla mnie wyjątkowy charakter. A nie powinien mnie zaskakiwać. Przecież przez wiele lat byłem jego członkiem z ramienia Krajowej Rady Bibliotecznej. Ten wyjazd był jednak inny. Miałem rekomendować włączenie jednej z lubelskich bibliotek naukowych do narodowego zasobu bibliotecznego. To rutyna. A jednak właśnie wtedy, ową powtarzalność przełamano coś niecodziennego, odświętnego, a ważniejszego dla mnie. Poddano bowiem pod dyskusję, tajne głosowanie, a w konkluzji i wniosek zespołu oceniającego nasz śląski księgozbiór. Zespołu, kierowanego przez prof. Paulinę Buchwald-Pelcową, o zaliczenie najcenniejszych kolekcji historycznych naszej Silesianki do ekskluzywnej części polskiego, narodowego zasobu, poddanego szczególnej opiece państwa.

Dość powiedzieć, że w momencie użycia już tego przywileju przez Bibliotekę Śląską, tylko sześć, może osiem bibliotek w kraju (na dwa i pół tysiąca istniejących), mogło pochwalić się tym statusem. Tu konieczna dygresja. Rada d/s Narodowego Zasobu Bibliotecznego jest najwyższym ciałem doradczym ministra kultury w zakresie głównie ochrony najcenniejszych zabytków naszej kultury literackiej, cimełiów, przechowywanych i szczególnie chronionych w naszych bibliotekach. W skład tego zespołu wchodzi – oprócz przedstawicieli Ministra Kultury oraz Ministra Nauki – reprezentanci Biblioteki Narodowej, Biblioteki Jagiellońskiej, Ossolineum, PAN oraz Krajowej Rady Bibliotecznej, której reprezentantem zawsze, nieprzerwanie od momentu powstania Rady, do 2018 był dyrektor Biblioteki Śląskiej.

Ten najwyższy w polskim świecie bibliotekarskim areopag, po zgłoszeniu przez marszałka województwa lub rektora uczelni posiadającej cenne zbiory historyczne, gotowości do poddania się podległej mu instytucji procedurze kwalifikacyjnej i po zadeklarowaniu przezeń szczególnej opieki, rozpoczyna swoje prace. Z upoważnienia ministra powoływany jest zespół, który ocenia warunki przechowywania, ochrony i zabezpieczeń najcenniejszych zabytków. Przewodniczący zespołu przedstawia Radzie wnioski wynikające z wizyty w bibliotece proponowanej przez marszałka województwa, a kandydującej do tego ekskluzywnego klubu.

Sercem naszego projektu była unikatowa w skali kraju kolekcja Teatru Lwowskiego, której losy ostatecznie zamykała decyzja ministra, stabilizująca jej byt, a otwierająca możliwości dalszych badań, publikacji i dostępu doń wielu pasjonatom i badaczom tego kręgu sztuki. Choćby pośrednio poprzez Śląską Bibliotekę Cyfrową.

Nie sposób scharakteryzować dzieje i zawartość największej i najcenniejszej kolekcji Biblioteki Śląskiej. Kolekcji liczącej obecnie 5 407 jednostek, na którą złożą się rękopisy i maszynopisy; a jest ich 3827; 1580 druków, wcale nierzadko z wpisanymi rękopiśmiennymi chociażby Gabrieli Zapolskiej, Kazimierza Przerwy-Tetma-



Bronisław Dąbrowski, fot. Benedykt J. Dorys

jera, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Wreszcie nieznane wcześniej teksty wybitnych pisarzy. Przypomnijmy jedynie Michała Bałuckiego, Jana Kasprowicza, Lucjana Rydla, Jerzego Żuławskiego. A przecież nie jest to pełny zachowany i zamknięty zbiór. Jeszcze przed przybyciem do Katowic, a więc w 1945 roku, wyłączono i pozostawiono we Lwowie wszystkie partytury i inne muzykalia. Wcześniej, po wybuchu II wojny, część teatralnej kolekcji znalazła się w Ossolineum. Po wojnie wraz ze zbiorem przekazanym Polsce, trafiła ona do Wrocławia. Około 600 rękopisów. Dalsza część jest w Krakowie.

Równie ciekawe, jak zasób, są dzieje Teatru Lwowskiego, sięgające przełomu XVIII i XIX wieku. Czasów Wojciecha Bogusławskiego, jak świadczą przypominane przy tej okazji dokumenty dotyczące antrepryzy, a więc przedsiębiorstwa teatralnego Bogusławskiego z lat 1795–1799.

Jednak najstarsze zachowane w naszych zbiorach dokumenty są związane z osobą Jana Nepomucena Kamińskiego, wędrującego w pierwszych latach XIX wieku kresach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, jak świadczy choćby rękopis z 1803 roku, nazywany przeze mnie kamienieckim. Takich grup teatralnych, antrepryz było tu wiele. A zaświadczać to zachowane we lwowskiej kolekcji archiwalia. Po sześciu latach Kamiński wrócił do Lwowa i przez przeszło trzy dekady dyktował teatrowi. W sumie okres lwowski teatru trwał 150 lat. Nic dziwnego, że jego dorobkiem i wizytówką (na szczęście zachowaną) stało się przebogate archiwum, dokumentujące rzeczywistość artystyczną upływających lat, a dla nas nieprzebrane źródło wiedzy o przeszłości.

„27 sierpnia 1945 roku – pisze Barbara Maresz – ze Lwowa do Katowic specjalnym pociągiem wyruszył zespół polskiego teatru dramatycznego z ówczesnym dyrektorem Bronisławem Dąbrowskim. W wagonach wieziono, oprócz rzeczy osobistych, kostiumy i peruki teatralne, dekoracje i cenniejsze rekwizyty, instrumenty muzyczne, a także bogatą i unikatową bibliotekę. W ten sposób do Katowic trafił ogromny zbiór egzemplarzy teatralnych, który w chwili wybuchu II wojny światowej był największą w Polsce (po bibliotece teatrów warszawskich, spalonej w 1944 roku) kolekcją tekstów dramatycznych, librett operowych i operetkowych oraz partytur”. Prasa śląska dostrzegła i silnie akcentowała przybycie do Katowic Teatru Lwowskiego, który znalazł tu już stałe miejsce. Po rozczarowaniach związanych z nieudanyim powołaniem w Katowicach uniwersytetu, w oparciu o kadrę Uniwersytetu Jana Kazimierza ze Lwowa, teatr – jak się zdaje – stał się czymś w rodzaju rekompensaty. Dla miasta, które było wówczas hubem dla wędrujących grup ze Wschodu na Zachód. I dla tych, którzy uważali Śląsk: i Dolny, i Górny za Dawson City nad rzeką Klondike. Zbiory lwowskie przechowywano w budynku Teatru Śląskiego. Przeleżały tu długo, bo aż do roku 1978, kiedy to 20 lutego dyrekcje Teatru Śląskiego oraz Biblioteki Śląskiej podpisały umowę o przekazaniu owego historycznego, a jakże cennego zbioru.

Kolekcja lwowska poddana zabiegom konserwatorskim, opracowana i dostępna czytelnikom jest dziś „perłą w koronie” zbiorów Biblioteki Śląskiej.



Chiazm Żeromskiego

od niepoczytalnej popularności do niepopularnej niepoczytności

JERZY PASZEK

Można się zastanawiać, czy puls jego [Żeromskiego] twórczości kiedykolwiek jeszcze się odezwie. Pewnie nie.

Janusz Anderman¹

Ale kto go w ogóle dzisiaj czyta? Nikt.

Rafał A. Ziemkiewicz²

Nie będę ukrywał, że o Żeromskim pisuję już przeszło pół wieku: oto w roku akademickim 1958/59 mgr UJ Adam Jarosz (później doc. dr UŚ) wymyślił dla mnie jako temat pracy rocznej *Mogilę. Listy i notatki Maurycego Zycha*. To oznacza, oczywiście, długoletni i głęboki związek z „przemysłem literaturoznawczym”, a w szczególności romans z piękną i płodną filią – żeromskologią. Sporo – jak na dzisiejsze warunki, gdy dominuje opcja „pro bono” – na dociekaniach o Stefanie ze Strawczyzna i Ciekot zarobiłem: za studium *Symbol naczelny „Popiołów” Żeromskiego* („Pamiętnik Literacki” 1971) otrzymałem honorarium, dzięki któremu udało mi się kupić żonie solidną trzydrzwiową szafę ubraniową, wkrótce służącą nam do dziś! Wydanie krytyczne *Popiołów* (Czytelnik 1988) przyniosło wymierne apanaże, dające się przełożyć – w owych surowych, wojennych czasach! – na kilka pralek automatycznych! Także popularnonaukowa monografia biograficzna *Żeromski* (Wydawnictwo Dolnośląskie 2001, seria „A To Polska Właśnie”) dała mi oprócz satysfakcji (nikt z moich kolegów nie wydał niczego w tej prestiżowej kolekcji, a tuż po moim tomie wyszedł tamże *Boy-Żeleński* Henryka Markiewicza, czyli mojego Nauczyciela i doświadczonego żeromskologa) nieco grosza, a nawet chwilę w Telewizji Polskiej (relacja z promocji książki z udziałem Moniki Żeromskiej). Nie obyło się bez wynagrodzeń za opracowanie tekstu *Popiołów* dla „Biblioteki Narodowej” (Ossolineum 1996) czy *Szyzyfowych prac* (Książ-

nica 1997, seria „Lektura Szkolna”). Wniosek z tych detalicznych wyliczeń (prawie paragon!) wypływa jeden: jestem zawodowym i zadowolonym z życia „żeromszczikiem” (wedle nomenklatury Jerzego Giedroycia i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego).

A to z kolei oznacza, że w dyskusji nad niefortunną sytuacją Żeromskiego w XXI stuleciu jestem stronnikiem! Nie należy przecież podcinać gałęzi, na której się siedzi! Nie można też kłaść własnego gniazda! Ale z drugiej strony: jestem już emerytem, więc mogę sobie pozwolić na *verba veritatis* – zaiste istnieje możliwość, iż to sama żeromskologia ma udział w ogromnym nie-szczęściu, jakim jest odłożenie młodopolskiego pisarza do lamusa! Oczywiście, skończyły się te czasy, w których autor *Szyzyfowych prac* był nieustannie czczony w szkołach (lektury obowiązkowe!), uczelniach (polonistyki krajowe i zagraniczne!) i innych eminentnych instytucjach państwowych (wydawnictwa, biblioteki; granty na edycje dzieł beletrysty i na wielotomowe opracowania leksykograficzne). Zmieniły się czasy i zmieniła się koniunktura kulturalna: zbyt wiele mamy dziś atrakcji (Internet, Telewizja, Muzyka Pop, Film), by ograniczać się jedynie do przeboju ery Gutenberga, czyli Literatury! Jednocześnie trwa proliferacja prywatnych przedsięwzięć publikacyjnych, co skutkuje lawiną makulatury (chwilowe sukcesy bestsellerów!) i ledwie pomrukującym ponikiem pomnikowych lektur!

Jakież bakterie i zarazki produkuje żeromskologia? Z jakimi chorobami się boryka i zmaga? Czy żeromszczycy – bardzo dumni ze swoich elaboratów (i uczelnianych spokojnych etatów) – zrobili wszystko, by ich świątynie nie świeciły pustkami?

Na własnym przykładzie mogę stwierdzić, iż jest jeszcze pewna nadzieja na podtrzymanie zainteresowania czytelników lekturą Żeromskiego. Istnieje bowiem olbrzymia przepaść pomiędzy recepcją moich prac popularyzatorskich

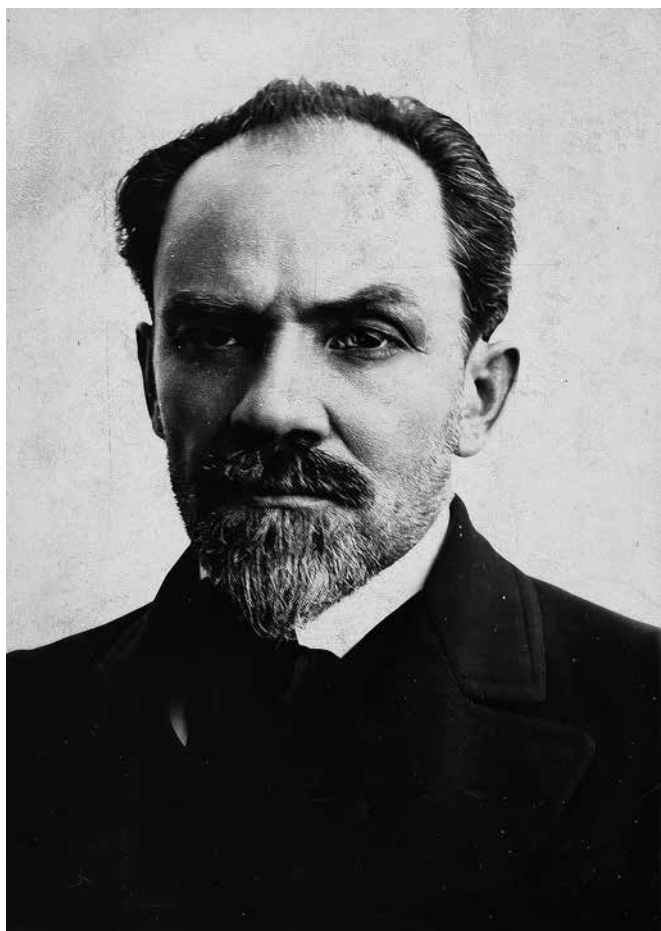
i naukowych: monografię biograficzną z roku 2001 wydrukowano w sporym nakładzie (pewnie 5000 egzemplarzy, choć opcja była dwukrotnie większa), który dość szybko się rozszedł; książka ta doczekała się co najmniej sześciu (o tych wiem) recenzji, w tym dwu w USA; mój scjencyficzny tom pt. *Tekst i styl „Popiołów”* (Ossolineum 1992) spotkał się z nikłym zainteresowaniem (znam jedynie recenzję w „The Polish Review” z 1994 roku), a koleżanka z Zakładu Historii Literatury Poromantycznej UŚI na propozycję, by napisała krótką informację o tej libelli (zaledwie 94 stronicie) do fachowego rocznika „Stylistyka” (*notabene* noszącego w 1995 roku podtytuł „Tekst i styl”), powiedziała mi, że to dla niej zbyt trudne, bo związane z nudną dla większości polonistów tekstologią! Stąd zresztą mój domysł, że doktorat Mirosława Olędzkiego pt. *Narracja i narrator w „Popiołach” Stefana Żeromskiego* (Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej 2000) pewnie nie dostąpił zaszczytu fachowej oceny w jakimkolwiek polskim naukowym periodyku...

A jednocześnie mam na biurku 300-stronicową książkę Ferdynanda Hoesicka, zatytułowaną *Jan Kochanowski. Życie i dzieła* (Nakładem Księgarni J. Czernieckiego 1919; pierwsze wydanie – 1908), która jest ni mniej, ni więcej tylko **streszczeniem** 660-stronicowego tomszcza Romana Plenkiewicza pt. *Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła* z roku 1897. W pierwodruku czasopiśmiennym („Ateneum” Księgarni Łaguny, 1898) rzecz była jeszcze bardziej zwięzła, bo zamknęła się w dziesięciu arkuszach, czyli na 160 stronicach. Rozrost tekstu w edycji książkowej – po dziesięciu latach – wiąże się z dodaniem przez autora przypisów, w których relacjonuje pasjonującą ówczesnych czytelników dyskusję polonistyczną, dotyczącą białych plam w biografii renesansowego poety (między innymi: czy Lidia z elegii łacińskich Kochanowskiego była postacią wymyśloną przez Horacego, czy też jest to pseudonim konkretnej kochan-

ki studenta; czy Lidię poznał poeta w Padwie, czy w Paryżu?). Dziś takiej popularyzacji prac naukowych w humanistyce bodaj nie wyszukasz, czytelniku, nawet z pomocą „światłonośnej” – jak ongi mówiono – latarki!

Ba, poziom czytającej publiczności tak się obniżył, że obserwuję „popularyzację drugiego stopnia”, by nawiązać do podtytułu nowalijki wydawniczej z 2014 roku³. Znów odwołam się do własnych doświadczeń czytelniczych i autorskich: w roku 2008 ukazała się w serii „Wielcy Polacy” bogato ilustrowana 48-stronicowa publikacja pt. *Stefan Żeromski. Budziciel sumień* (De Agostini Polska), w której jestem – jako autor monografii z 2001 roku – jawnie (pięciokrotnie) i skrycie (kilka małych plagiatów) cytowany, bo moją książkę uznano zapewne za źródło uczone bądź nawet „trudne” dla zwykłego odbiorcy, stąd potrzeba popularyzacji pozycji popularnonaukowej! Zresztą w bibliografii nie wspomina się o pracy naukowej Artura Hutnikiewicza (Żeromski, PWN 1987), a poleca czytelnikom popularną narrację tegoż polonisty (Stefan Żeromski, Wiedza Powszechna 1970).

Myślę, że peerelowska seria „Małe Portrety Literackie” też reprezentowała nurt popularyzacji drugiego stopnia. Ale są w tej kolekcji duże różnice między na przykład *Janem Kochanowskim* Zofii Szmydtowej (PWN 1968, 1979, 1985) a *Stefanem Żeromskim* Jana Zygmunta Jakubowskiego (PWN 1970, 1974, 1985). W tomiku pierwszym mamy rozważania nad filozoficznymi oraz artystycznymi prądami renesansu (moim zdaniem – rzecz za trudna dla przeciętnego odbiorcy!), które wpływały na dzieło poety; w drugim natomiast cytaty z dorobku Żeromskiego i jego krytyków górują zdecydowanie nad własnymi uwagami autora: libella staje się **centonem**, złożonym z całych stronicy wydrukowanych kursywą (przytoczenia z bohatera opracowania czy lepiej: skryptu) lub antykwą z cudzysłowami (głosy innych badaczy i recenzentów z czasopism literackich)! By było zupełnie niepoważnie i śmiesznie, Jakubowski dwukrotnie cytuje incipit z *Kilku wspomnień z lat mego dzieciństwa* (tom pierwszy *Dzienników Żeromskiego*), mówiący o tym, że pisarz urodził się **14 października 1864 roku** (na stronach 4 i 24 książeczki), aby w aneksie pt. *Główne daty życia i twórczości* pod rokiem 1864 spokojnie stwierdzić: „Urodził się **1 listo-**



pada we wsi Strawczyn ziemi kieleckiej jako syn jednak zubożałej rodziny szlacheckiej”⁴.

Jak można nie zauważyć takiej niekonsekwencji (raz październik, innym razem – listopad)? Jak można nie wspomnieć przy takiej okazji o antycypowaniu przez rodziców Stefana ewentualnej jego służby wojskowej w zaborczej armii? Dlaczego nikt z polonistów nie zwrócił uwagi na taki zasadniczy błąd?

Chcę po prostu powiedzieć: Jeżeli my sami (żeromskolodzy i żeromscy) nie pisujemy o sobie, to kto ma o nas wspomnieć czy nawet skrobnąć cokolwiek? Jeśli nie zważono i nie dyskutuje się o potrzebie wydania piętnastu tomów z serii „Słownictwo Pism Stefana Żeromskiego” pod redakcją Kwiryny Handke (Universitas 2002–2010), to co mówić o pojedynczych tomach w rodzaju doktoratu Ołędzkiego? Żle się dzieje, że poloniści nie zajmują się 6-tomową edycją *Listów Żeromskiego* (Czytelnik 2001–2010), opracowaną z atletyczną i akrobatyczną akrybią (podróże śladami pisarza) i benedyktyńską pasją (ślęczenie nad rękopisami i pierwodrukami epistolograficznymi w bibliotekach) przez Zdzisława Jerzego Adamczyka w ramach „Pism Zebranych” (tomy 34–39) twórcy *Popiołów*.

W tym stanie rzeczy jasne jest, że małe zainteresowanie wśród czytającej (jeszcze!) publiczności budzi ponad 35-letnia już (jeśli podliczyć lata przy-

gotowań nawet dłuższa!) historia wydawania wspomnianych przeze mnie „Pism Zebranych”. Kolejne segmenty tego fundamentalnego projektu filologicznego – krytyczne opracowanie tekstu wszystkich utworów Żeromskiego – ukazują się od roku 1981 (tom pierwszy: *Opowiadania*), a w roku 2012 wydrukowano – ze spuścizny pośmiertnej redaktora całości, prof. Zbigniewa Golińskiego – tom dawnej trylogii nadmorskiej, przekształconej teraz w tetralogię, bo obok *Wisły*, *Wiatru od morza* oraz *Międzymorza* w opasłym tomie znalazł się impresjonistyczny szkic – „rapsod o dwóch bukach”⁵ – *Sambor i Mestwin*. Jest to dwudziesty drugi tom zapowiadanej 40-tomowej całości.

Ukończono bowiem druk dwu serii „Pism Zebranych”: pierwszej i szóstej (w latach 80. XX stulecia myśłano jeszcze o serii siódmej – „Brulionach” – ale w wieku XXI nie ma szans na podtrzymanie takiego segmentu omawianego projektu; dla por-

ządku zaznaczyć, iż mam w domu maszynopis dochowanych brulionów *Popiołów*, przygotowany do druku przez prof. Golińskiego). Te zamknięte wydawniczo serie – to „Nowele, opowiadania i inne utwory epickie” (tomy 1–5) oraz „Listy” (tomy 34–39). Nie wystartowała jeszcze seria czwarta („Pisma społeczne i wspomnienia” – tomy 24–26) i piąta („Dzienniki” – tomy 27–33). W serii drugiej („Powieści”) – po opublikowaniu dziewięciu tomów – brak nam jeszcze dwu tytułów w pięciu tomach: tomy 12–13 – *Dzieje grzechu*; tomy 16–18 – *Walka z szatanem*, a w serii trzeciej („Dramaty”) – po wydaniu dwóch tomów – brak nam jeszcze tomu 21 (*Sułkowski. Ponad śnieg białym się stanę*) oraz tomu 22 (*Biała rękawiczka. Turoń*).

Brakuje też – co oczywiste – tomu ostatniego, czyli suplementu (tom numer 40), w którym pojawiają się różnorodne uzupełnienia i sprostowania, a w tym i erraty. Żeby dać przykład innym współautorom opracowań poszczególnych segmentów „Pism Zebranych”, wymieniam literówki z trzech wydanych przeze mnie tomów *Popiołów* (tomy 9–11): tom 9: s. 273, w. 7 od g.: rzekł niebale – ma być: rzekł niedbale; tom 10: s. 284, w. 4 od g.: ku Trzewu – ma być: ku Tczewu; tom 11: s. 77, w. 12 od g.: Czynił to pobieźnie – ma być: Czynił to pobożnie; s. 363, w. 2 od g.: zdrowie kśóła – ma być: zdrowie króla.

Przy okazji dodam, iż w *Szyfowach pracach* („Pisma Zebrane”, tom 6) zauważyłem trzy literówki: s. 6, w. 6 od g.: Malce siedział – ma być: Malec siedział; s. 80, w. 14–15 od g.: jakiejś elegii czy idylli – ma być: jakiejś elegii czy idylli; s. 108, w. 8 od g.: przedkładając „ekstrę” nad tłumaczenie z Dubrowskiego – ma być: przedkładając „ekstrę” nad tłumaczenie z Dubrowskiego (*notabene*: gra w ekstrę to zabawa z piłką).

We wspomnianej serii wydawniczej „Słownictwo Pism Stefana Żeromskiego” bodaj żaden z autorów poszczególnych tomów (jest ich 15) nie skonfrontował tekstu, ustalonego jeszcze przez Stanisława Pigonia, z dostępnymi już emendacjami serii „Pism Zebranych” pod redakcją Zbigniewa Golińskiego. Sam ten edytor w recenzji wydawniczej tomu *Walka, wojna, wojskowość* zwrócił uwagę Ryszardowi Handkemu na błąd wydań Pigonia w tekście *Powieści o Udałym Walgierzu*: zamiast zdania „Kutta, koszula pancerna, łśni na ramionach” jest tu niepoprawna wersja: „Kuta koszula pancerna łśni na ramionach”⁶. Handke nie odnotował skrupulatnie wszystkich związanych z tematyką wojskową słów. Podaje hasło „Zasieki”, ale już pomija synonimiczny tu (wedle Lindego) wyraz „Zaręby” („Jeden oddział wpadł w ucieczkę do lasu, lecz zabrnąwszy we własne pułapki, zasieki, wilcze doły, zaręby, nie mógł się z matni wydostać”⁷). Autor tomu szóstego daje w nim hasło „Drabant”, nie bacząc na fakt, iż twórca *Wiatru od morza* z reguły używa słowa „Trabant”, co odnotował w swych emendacjach Goliński⁸.

Barbara Bartnicka w tomie zatytułowanym *Świat doznań zmysłowych* (*węch, smak, dotyk*), nie zapoznawszy się z moimi uwagami wydawcy o tekście *Popiołów*, pomija ważny składnik (*hapax legomenon*!) nazw pory posiłków; jest u niej hasło „Pośniadaniowy”, są też epitety „Przedobiedni” oraz „Przedobiadowy”, a nawet „Poobiedni”, a brak hasła „Poobiedzie”, czyli ‘sjeść’! Rafał Olbromski „**Poobiedzie**, aż do zmierzchu, [...] spędzał w ten sam sposób [...]”, co u Pigonia zniekształcono (łatwo to uczynić, bo doświadczyłem wiele korekt owego nieszczonego incipitu zdaniowego!) na: „**Poobiedzie** aż do zmierzchu, [...] spędzał w ten sam sposób [...]”⁹. Gdyby warszawska językoznawczyni czytała uważnie (co za wymagania!) moje emendacje do powieści napoleońskiej, to wpadłaby jej w oko restytucja zdania „Sosnowe lasy **zapachniały wiosennym obarem**”, które tak brzmiało jedynie w pierwodruku czasopiśmienniczym („Tygodnik Ilustrowany” 1902), bo we wszystkich wydaniach książkowych było banalniesze stwierdzenie:

„Sosnowe lasy zapachniały wiosennym **oparem**”¹⁰. Ta restytucja jest ważna w opisie wrażeń zmysłowych Żeromskiego: słowo „obar” powtarza się bowiem i w *Popiołach*¹¹, i w *Wietrze od morza*, gdzie mowa o bursztynie, mającym barwę „obaru żywego, ciekącego z sosen na wiosnę”¹². Jeśli obar jest **żywy i ciekący**, to musi roztaczać wokół siebie mocną woń! Pominiecie obaru, żywego i ciekącego, jest dużym błędem Bartnickiej!

Dawniej – myślę o czasach przedwojennych – w „Rocznikach Literackich” szerzej, dokładniej i odważniej (gdy już zaszła taka potrzeba) omawiano produkcję przemysłu literaturoznawczego, a Stanisław Pigoń wskazywał nawet literówki w edycji *Próchna* Berenta czy zleczenia pojedynczych słów w wydaniach Norwida¹³. Potrafił nazwać pominienia utworów w tomie *Pism prozą* Mickiewicza „obrzezaniem” czy „wydaniem poobkęsywanym”¹⁴. Nie tak skrupulatni i złośliwi bywali recenzenci w powojennych „Rocznikach Literackich” (od 1955 do 1983), może z wyjątkiem Juliusza Wiktora Gomulickiego. Degrengolada polonistów (i wiara w bezkarność!) doszła do tego stopnia upadku i dekadencji, że Irena Maciejewska (zmarła w 1994 roku) – przygotowując się do opracowania *Popiołów* w kolekcji „Biblioteki Narodowej” – nie wiedziała nic a nic o istniejącym od kilku lat moim wydaniu krytycznym tej powieści napoleońskiej! Po śmierci warszawskiej badaczki literatury młodopolskiej musiałem poprawiać jej wstęp oraz wprowadzić ustalenia właściwego brzmienia tekstu utworu (Maciejewska była przekonana, że ostatnie słowo w opracowaniu *Popiołów* należało do Pigonia, który zajmował się tą kwestią w latach 1948–1964).

Oczywistą oczywistością – by zacytować współczesnego złotoustego polityka – okazuje się degradacja Literatury pod koniec XX i na początku XXI stulecia. Nigdy, jeśli w ogóle można cokolwiek prorokować w naszych ciężkich czasach, nie powtórzy się szalona (niepoczytalna!) fascynacja Judymem i Siłaczką czy zgorzenie *Dziejami grzechu*! Nikt też nie będzie z zapalem i bez oporów studiował 40 tomów „Pism Zebranych” (Tadeusz Kłak żartował, że są to „pisma żebrane”!) Żeromskiego! Pozostaje nam, żeromskijcom, skoncentrować się na wybranych utworach autora *Turonia*. Na umiejętnym wyborze z *Dzienników* (próbował to uczynić Jerzy Kądzioła, ale i tu trzeba jeszcze rzecz skrócić!) oraz *Listów*, na badaniu pięknej gogolady nowel i opowiadań, na jednej li tylko powieści (*Przedwiośnie* kontra *Wierna rzeka* lub *Szyfowe prace*, bo *Popioły* pozostaną – ze względu na zadziwiające [profanów!] i niesamowite bogactwo leksykalne – tylko dla miłośników tysiącletniej [pisarz napisałby – tysiącoletniej!]

polszczyzny). A tak i tak będzie to stale bardzo dużo, jeśli pomyśleć o losie *Skotopasek* Stanisława Porębskiego bądź też o losie *Deiliady* Nikochara, którą niektórzy zowią *Deliadą*¹⁵! Nie muszę chyba dodawać, że oba utwory nie dochowały się do naszych czasów... ■

Przypisy

¹ J. Anderman, *W sepia. Co zostało z Żeromskiego?* „Gazeta Wyborcza” 2003, nr z 4–5 stycznia.

² R. A. Ziemkiewicz, *Drugie życie Żeromskiego*, „Rzeczpospolita” 2010, nr z 6–7 marca.

³ G. Genette, *Palimpsesty. Literatura drugiego stopnia*, tłum. T. Stróżyński i A. Milecki, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria Gdańsk 2014.

⁴ J. Z. Jakubowski, *Stefan Żeromski*, PWN Warszawa 1974, s. 102 (podkreślenia moje, J. P.).

⁵ S. Żeromski, *Wisła. Wiatr od morza. Między morze*, oprac. Z. Goliński, Instytut Badań Literackich PAN – Wydawnictwo, Warszawa 2012, s. 395 (*Uwagi wydawcy*).

⁶ R. Handke, *Walka, wojna, wojskowość*, Universitas, Kraków 2002, s. 20–21 („Słownictwo Pism Stefana Żeromskiego”, t. 6). Zob. też: S. Żeromski, *Duma o hetmanie i inne opowiadania*, ilustr. J. M. Szancer, Czytelnik, Warszawa 1957, s. 60 („Dzieła” pod red. S. Pigonia, wstęp H. Markiewicza, podseria „Nowele i opowiadania”, t. 3); Idem, *Duma o hetmanie i inne utwory epickie*, oprac. Z. Goliński, Czytelnik, Warszawa 1987, s. 50 („Pisma Zebrane”, t. 3).

⁷ S. Żeromski, *Wiatr od morza. Wisła. Między morze*, ilustr. M. Żeromska, Czytelnik, Warszawa 1957, s. 172 („Dzieła” pod red. S. Pigonia..., podseria „Nowele i opowiadania”, t. 5).

⁸ S. Żeromski, *Wisła...*, s. 489 („Pisma Zebrane”, t. 5).

⁹ S. Żeromski, *Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX w.*, ilustr. A. Uniechowski, Czytelnik, Warszawa 1956, t. 1, s. 85–86, podkr. J. P. („Dzieła” pod red. S. Pigonia..., podseria „Powieści”, t. 4); Idem, *Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku*, oprac. J. Paszek, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 85, podkr. J. P. („Pisma Zebrane”, t. 9).

¹⁰ S. Żeromski, *Popioły...*, Warszawa 1988, t. 3, s. 190, podkr. J. P.; Idem, *Popioły...*, Warszawa 1956, t. 3, s. 193, podkr. J. P.

¹¹ *Ibidem*, t. 2, s. 116 (edycja Pigonia: cedr libański „ze złotymi bulwami żywicznego obaru”) oraz t. 2, s. 115 (edycja Paszka: ten sam tekst).

¹² S. Żeromski, *Wiatr...*, s. 53; Idem, *Wisła...*, s. 59.

¹³ S. Pigoń, *Wznowienia literackie*, „Rocznik Literacki” 1933, s. 126; Idem, *Wznowienia literackie*, „Rocznik Literacki” 1934, s. 122 („czas” zamiast poprawnego brzmienia tekstu: „człek”).

¹⁴ *Ibidem*, s. 117 i 118.

¹⁵ Zob. Genette, *op.cit.*, s. 17 (tytuł miałby pochodzić od gry słów *Iliada* oraz „deilos” – ‘tchórz’); Arystoteles, *Poetyka*, przeł. i oprac. H. Podbielski, Ossolineum, Wrocław 1989, s. 8 („Nikochara, autor *Deliady*”).

Wojciech Brzoska chętnie opowiada anegdotę o tym, jak zapytano ucznia polskiej szkoły, kim jest poeta. „Poeta nie żyje” – odpowiedział dzieciak. Regularnie publikowane – w sieci, czasopismach literackich, wreszcie w kolejnych książkach – wiersze Wojtka zaprzeczają jednak tezie o śmierci poety. O ile oczywiście nie założymy, że są głosem z zaświatów, a autor, objawiający się na kolejnych spotkaniach i koncertach (należy do kilku zespołów muzycznych, wykonujących muzykę do jego tekstów), stał się zombie, wampirem czy duchem. Skoro zatem poeta nadal oddycha, je i pije (i to nie krew z tętnicy szyjnej), jak go zdefiniować?

Fuertemuerte zawiera blisko sześćdziesiąt wierszy. Sporo, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że poprzednie książki Wojtka ukazały się przed dwoma i trzema laty. Nie wszystkie utwory (zarówno z tej, jak i z poprzednich publikacji) zatrzymują mnie na dłużej. Są takie, które kwituję wzruszeniem ramion: „Aha, no tak jest”. Nie brakuje też jednak i takich, które wzbudzą znacznie żywszą reakcję: „Aaaaahaaaa! A więc to tak jest?!”. Czasami ożywienie łączy się z zadziwieniem, że autor dostrzegł (w reakcjach międzyludzkich albo języku) coś, czego wcześniej sama nie dostrzegłam, a co wydaje się bardzo trafne. W dodatku, że umiejętnie to nazwał. Czasami zaś wprost przeciwnie, zadziwia, że autor dostrzegł i nazwał dokładnie to, co mnie również kotłowało się w głowie, nienazwane. Może zatem poeta to ktoś, kto nie tylko żyje, ale też potrafi ożywić i zadziwić czytelnika? A może, by ten efekt uzyskiwać, musi sam wciąż na nowo się ożywiać, zmartwychwstać z rutyny i braku uważności, pozostawać zdolny do zadziwienia?

Co zadziwia Wojciecha Brzoskę? Arbuz, jego kolega z zespołu Piksele, nazywa Wojtka „opowiadaczem miejskich historii”. Często są to historie osadzone w konkretnych, katowickich i sosnowieckich lokalizacjach. Autor *Fuertemuerte* bada znaki wyryte na czerwonych ceglach, w ich poszukiwaniu zdrapuje tynk, zagląda pod porastający je bluszcz. „Mieszkam dokładnie w pół drogi / między niemieckim więzieniem // a cmentarzem żydowskim” – wyznaje podmiot utworu *Zaległości* (s. 11), a bohater wiersza bez tytułu (s. 24) „przez ćwierć wieku wychowywał się / i mieszkał na terenie byłego żydowskiego / getta. // kolejnych dwadzieścia lat pracował / w byłym niemieckim / więzieniu” (s. 24). Na poznawanie skomplikowanej, wielokulturowej historii Śląska i Zagłębia nakłada się odkrywanie historii rodzinnej podmiotu: „jego babcie cudem przeżyły: auschwitz-birkenau / ravenbrück i buchenwald // jedna z nich poznała w oświećmie dziadka / pochowanego po wojnie / na żydowskim cmen-

Stan zadziwienia

KSIAŻKI



WERONIKA GÓRSKA

tarzu” (s. 24). Bolesne i trudne okazują się także relacje w rodzinach współczesnych, które w zastępstwie wojen kaleczących je od zewnątrz, toczą wewnętrzne potyczki, doprowadzające do zaniku więzi. W wierszu *Ojciec (Bóg)*: „najpierw przestał dzwonić / potem także odbierać // wszyscy ludzie są źli // najgorszy jego // syn” (s. 19), zaś w utworze bez tytułu obserwujemy: „życie rodzinne na zerwanych / łączach. zrobione na drutach // wysokiego napięcia” (s. 21).

Mimo że poeta żyje, to jego wiersze wciąż powracają na nekropolie, by zadziwiać się, a czasem konstatować bez zdziwienia agonię i gnienie – biologicznego istnienia bądź relacji. Z lapidarnego *Testamentu* dowiadujemy się, że „podzielił wszystko / i wszystkich” (s. 63), *Zeszyt* opowiada o zgonie „w środku swatania”, którego skutkiem są „osierocone niepowstałe pary” (s. 33), a *Mat* mówi, że „między grobami / coraz ciśnie” (s. 32). Usytuowanie w klaustrofobicznej przestrzeni, „dokładnie w pół drogi / między niemieckim więzieniem // a cmentarzem żydowskim” zmusza podmiot *Fuertemuerte* nie tylko do przeciskania się między nagrobkami i zaglądania pod całuny, ale też raz po raz zamykania go za kratami. Książkę rozpoczynają słowa wiersza bez tytułu: „codziennie rano wychodzę / z więzienia do // więzienia” (s. 5). Bohater liryczny przechodzi przez kolejne „zakręty w drodze do więzienia” (s. 8), a w utworze *Liczyb ostatnie* zadziwia go księgowa pracująca tu obok tego budynku, która: „rozlicza / zbrodnię i narodzenie // liczby pierwsze // i ostatnie” (s. 13). W *Koszmarze* nawet na urlopie czy emeryturze śni, „że każą wracać do pracy // (...) jest alarm. i nie ma ludzi” (s. 12). Więzienie pełni tu podwójną funkcję – metafory

różnych form ograniczenia wolności oraz traktowanego dosłownie budynku najeżonego kratami i kolczastym drutem, dla wielu miejsca karnego osadzenia, a dla podmiotu *Fuertemuerte* miejsca zatrudnienia. Wojciech Brzoska, podobnie jak bohater jego wierszy, ma za sobą dwie dekady pracy wychowawcy w areszcie, gdzie między innymi opiekował się biblioteką, organizował koncerty, spotkania autorskie i Ogólnopolski Konkurs Poetycki imienia Jeana Geneta dla osadzonych. Motywy więzienne pojawiały się również w jego wcześniejszej twórczości.

Cmentarz, więzienie, indywidualne i zbiorowe dramaty, nieporozumienia – taka tematyka układa się w ponury, fatalistyczny krajobraz. W poezji Brzoski jest też jednak miejsce na całkiem odmienną scenerię i emocje, na zadziwienie pięknem czy po prostu różnorodnością świata, „cichy zachwyty / nad gęstością gwiazd” z wiersza bez tytułu (s. 41) albo na przyglądanie się „kolekcjonerom znaczków pocztowych / których dziwne wybory nigdy nie mają // końca” z utworu *Wolno* (s. 14). Może właśnie świadomość śmiertelności, a wręcz efemeryczności biologicznego istnienia, miłości, porozumienia, szczęścia, może rozkładanie na czynniki pierwsze przyczyn, przebiegu i skutków rozkładu pozwala tym mocniej doceniać ulotne zjawiska oraz stany? Może tym pełniej się oddycha, gdy na krótką chwilę opuszcza się nekropolię lub więzienną celę? ■

Wojciech Brzoska, *Fuertemuerte*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – Oddział w Łodzi, Łódź 2024, s. 66.

**SŁOWNIK
BIOGRAFICZNY**
MIESZKAŃCÓW CHEŁMU ŚLĄSKIEGO
XIX I XX WIEKU



W nurcie mikrohistorii

KSIAŻKI

HELENA SYNOWIEC

W grudniu ubiegłego roku ukazała się publikacja pt. *Słownik biograficzny mieszkańców Chełmu Śląskiego XIX i XX wieku*, która mieści się w nurcie badań mikrohistorii życia codziennego niewielkiej miejscowości na pograniczu śląsko-małopolskim (do roku 1966 noszącej nazwę Chełm Wielki). Wiadomo, że badania mikrohistorii skupiają się wokół rekonstruowania i opisywania zjawisk życia zwykłych ludzi w społecznościach lokalnych oraz ich funkcjonowania w różnych – zdeterminowanych m.in. politycznie, geograficznie, czasowo – uwarunkowaniach. W badaniach wykorzystywane są zazwyczaj – częściej niż obiektywne źródła (np. dokumenty urzędowe) – relacje ustne lub zapisane członków danej społeczności, pamiątki rodzinne, zdjęcia.

Inicjatorem opracowania *Słownika...* był ks. prof. Jerzy Myszor, pochodzący z Chełmu Śląskiego, wybitny uczony – historyk, autor licznych monografii, m.in. z dziejów Kościoła na Śląsku. Przychylność wobec jego inicjatywy przygotowania publikacji okazali miejscowi proboszcz ks. Piotr Guzy i władze samorządowe oraz pracownicy Urzędu Gminy, którzy także zaangażowali się w pomoc przy pozyskiwaniu materiałów biograficznych. Nadmienię, że już w wydanej w 2004 r. i wznowionej w wersji uzupełnionej w 10 lat później *Monografii Gminy i Parafii Chełm Śląski*, jej redaktor ks. Jerzy Myszor uwzględnił w *Aneksie* kilkanaście biogramów chełmian. Już wówczas

towarzyszył mu zamiar poszerzenia zakresu tego opracowania o życiorysy wielu osób, które szczególnie zaznaczyły swoją obecność w dziejach chełmskiej wspólnoty lokalnej czy to przez wykonywany zawód lub pełnione funkcje, czy przez różne inne formy działalności dla dobra tej wspólnoty, czy wreszcie ze względu na ich postawy życiowe i cechy osobowości. Urzeczywistnieniem tego zamiaru stał się odrębny, profesjonalnie opracowany *Słownik biograficzny mieszkańców Chełmu Śląskiego XIX i XX wieku*. Informacje o przyczynach jego powstania, pracach związanych z przygotowaniem oraz o warsztacie badawczym książd redaktor podał we *Wstępie*. Tam też omówił w sposób syntetyczny opracowania historyczne i materiały źródłowe dotyczące Chełmu – od lat najdawniejszych po współczesność.

Ambitne przedsięwzięcie leksykograficzne wymagało od księdza redaktora z jednej strony penetracji archiwów i wglądu do różnych dokumentów, m.in. ksiąg metrykalnych, schematyzmów, kronik szkolnych i parafialnych, artykułów prasy polskiej i niemieckiej, dokumentacji przechowywanej w Centralnym Archiwum Wojskowym. Z drugiej zaś strony konieczne było współdziałanie ze środowiskiem – nawiązanie kontaktów z rodzinami ludzi, których biogramy miały zostać opracowane, w celu pozyskania wiadomości i materiałów ze zbiorów rodzinnych.

Istotnym etapem prac było ustalenie kryteriów doboru sylwetek

osób, których życiorysy powinny się znaleźć w publikacji. Apel redaktora o współudział mieszkańców w tworzeniu słownika (dostarczenie życiorysów krewnych i przyjaciół), zamieszczony w ogłoszeniach parafialnych, gazecie „Światło” i katowickim dodatku „Gościa Niedzielnego” przyniósł pewne efekty: chełmianie przygotowywali informacje biograficzne o swoich bliskich, przekazywali fotografie i dzielili się wspomnieniami. Przy typowaniu haseł do słownika i sporządzaniu biogramów pomocą służyli również – związani ze społecznością lokalną – specjaliści z różnych dziedzin nauki.

Bogate materiały uzyskane w wyniku kwerendy archiwalnej, zaczerpnięte z różnych źródeł i opracowań naukowych poddano dokładnej analizie i weryfikowano (szczególnie opowieści wspomnieniowe). Na podstawie rzetelnie opracowanych danych faktograficznych zredagowano *Słownik...*, który zawiera ponad 280 biogramów nieżyjących już mieszkańców Chełmu Śląskiego. Ramy czasowe *Słownika...* obejmują okres od połowy XIX w., a nawet wcześniejszy (najstarszy bohater biogramu urodził się w 1794 r.), aż do początków wieku XX (najmłodszy spośród utrwalonych w publikacji żył w latach 1993–2016). Najliczniej reprezentowani są chełmianie urodzeni w I połowie wieku XX – przeważnie świadkowie i uczestnicy dramatycznych wydarzeń wojennych, wśród nich jest 53 żołnierzy. Wiele miejsca poświęcono w *Słowniku...* osobom duchownym – pocho-

dzącym z chełmskiej parafii i w niej posługującym (proboszczom, wikarym, rezydentom); sylwetki sióstr zakonnych (głównie sióstr służebniczek z klasztoru w Chełmie) przypominano w 25 biogramach. Ponadto uwzględniono w publikacji kilkanaście życiorysów przedstawicieli różnych zawodów: nauczycieli, organistów (mniej liczni są lekarze, ludzie świata nauki i kultury) oraz działaczy samorządowych. W *Słowniku...* upamiętniono wielu ludzi „zwykłych” – takich, którzy z oddaniem służyli parafii, np. organizatorów pielgrzymek, chórzystów, dzwonników, zaangażowanych w prace remontowe i porządkowe w kościele, obiektach przykościelnych lub na cmentarzu. Wszystkich, których sylwetki utrwalone zostały w hasłach *Słownika...* – zarówno wykonawców zawodów, jak i pełniących inne funkcje – łączy podkreślane w biogramach uczciwość oraz sumienność w wywiązywaniu się z obowiązków i zadań (np. położnej, fotografki, ogrodnika) oraz silna więź ze środowiskiem.

Lektura *Słownika...* (nie wybór, lecz kolejno – hasło po hasło) dostarcza ciekawych informacji nie tylko o losach bohaterów życiorysów, lecz także o złożonej historii regionu i wpisanych w nią dziejach miejscowości położonej strategicznie – na pograniczu Śląska i Małopolski. Poznajemy zatem tragiczne, a często i heroiczne fakty z życia wielu mieszkańców Chełmu, m.in. przymusowo wcielonych do Wehrmachtu, a potem, kiedy dostali się do alianckiej niewoli – ich służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Mikrohistoria spleta się i przenika z historią także w biogramach więźniów obozów koncentracyjnych i członków Tajnego Harcerstwa Krajowego, którzy po II wojnie doznali represji ze strony komunistów. Niektóre życiorysy ujawniają zdeterminowane sytuacją polityczną postawy ludzi, ale i przykłady wierności wyznawanym poglądom oraz niezłomności postaw (urodzony w połowie XIX wieku nauczyciel prowadził w szkole na przełomie XIX i XX wieku nauczanie wyłącznie w języku polskim).

W biogramach członków rodzin można odkryć pokrewne predyspozycje i zainteresowania, m.in. „dziedziczenie” profesji, np. Albert Janota (zmarły w 2016 r. dobrze zapowiadający się naukowiec biolog) był synem absolwenta Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, ogrodnika Czesława, który przejął zawód swojego dziadka Roberta, trudniącego się uprawą warzyw i roślin ogrodowych;

Jan Radwański – wójt gminy w Chełmie w latach 1899–1926 był ojcem burmistrza Mysłowic (również Jana) w latach 1919–1926.

Powiązania losów jednostki z zależnościami rodzinnymi można zauważyć, czytając historie rodów właścicieli restauracji: Domżółów i Pastwów (Pacwów). Warto ponadto zwrócić uwagę na kwestie onomastyczne – typy nazwisk popularnych w Chełmie, utrwalone w nazwiskach właściwości gwarowej wymowy (np. Jochymczyk obok: Jochemczyk, Czornik, Czyrwik), różne wersje zapisu danego nazwiska (jeśli takie się pojawiały w dokumentach), np. Synowietz/Synowiec, Tomaschik/Tomasik, Matziol/Maciol będące śladem wpływów administracyjnych – przystosowania pisowni za czasów pruskich do norm niemieckich.

Znaczącym dopełnieniem *Słownika...* jest *Aneks* z zamieszczonymi tam listami imion i nazwisk osób, których życiorysy powinny być się znaleźć w publikacji; nie udało się jednak ustalić pełnych danych biograficznych i wymagają one uzupełnień. Walorem *Słownika...* są włączone do *Aneksu* fotografie zbiorowe, na których mieszkańcy ukazani zostali w różnych sytuacjach życia rodzinnego lub parafialnego. Dane uwzględnione w indeksie osobowym, dołączonym do słownika, ułatwią czytelnikom ustalenie relacji pokrewieństwa między bohaterami haseł i mogą stać się pomocne w tworzeniu drzewa genealogicznego.

Publikacja ma wielkie znaczenie przede wszystkim dla społeczności Chełmu Śląskiego. Przybliży jej bowiem historyczno-kulturowe dziedzictwo rodzimej parafii i gminy. Równocześnie jednak może inspirować inne niewielkie środowiska do tworzenia podobnych leksykonów. O ile bowiem do tej pory słownikami biograficznymi mogą poszczycić się mieszkańcy większych ośrodków miejskich (m.in. na Śląsku – Piekary, Chorzów, Bytomia), ziemi cieszyńskiej czy subregionu pszczyńskiego, o tyle mniejsze jednostki administracyjne rzadko dysponują takimi profesjonalnie opracowanymi publikacjami.

Współuczestnicząc w pracach nad *Słownikiem...*, przekonywałam się, jak to przedsięwzięcie sprzyjało umacnianiu więzi międzypokoleniowej oraz rozwijało wrażliwość historyczną mieszkańców. Chełmianie (nawet mieszkający już poza rodzinną wsią) przekazywali – wprowadzając nie zawsze wyczerpujące i dokładne – wiadomości o wy-

darzeniach z życia swoich przodków, przywoływali *wspominki*, które mogły być pomocne w odtwarzaniu życiorysów krewnych, wydobywali z domowych archiwów zdjęcia lub ocalałe dokumenty najbliższych członków rodziny. Wartość publikacji trzeba zatem docenić w szerszym wymiarze – ożywiania zainteresowań przeszłością, zwłaszcza mikrohistorią oraz uzmysławiania roli pamięci historycznej, utrwalonej m.in. w zachowanych pamiątkach po przodkach. Sięganie do korzeni, rekonstruowanie dziejów rodzin, poznawanie historii miejscowości staje się obecnie szczególnie ważne w związku ze zmianami w strukturze demograficznej na terenach wiejskich (w tym w Chełmie), gdzie w nowo zbudowanych domach jednorodzinnych osiedlają się osoby spoza tych terenów. Podstawę budowania ich więzi wspólnotowej z rodowitymi mieszkańcami miejscowości stanowi poznanie środowiska. Prześledzenie zaś losów ludzi z tym środowiskiem związanych może stać się niezwykle ciekawym doświadczeniem nie tylko poznawczym, ale i emocjonalnym. Szczególna rola przypadnie też *Słownikowi...* w edukacji szkolnej – historycznej i regionalnej.

Zainteresowanie publikacją stale wzrasta, zwłaszcza po spotkaniu promocyjnym z udziałem jej redaktora ks. prof. Jerzego Myszo-
ra oraz ks. prof. Damiana Bednarskiego i twórców haseł do *Słownika...* Pierwszy nakład leksykonu rozszedł się błyskawicznie. Trzeba mieć nadzieję, że wydawnictwo będzie kontynuowane i – jak zapowiedział ksiądz redaktor we Wstępie – ukaże się suplement. Badacze bowiem – we współpracy ze środowiskiem lokalnym – będą prowadzić dalsze poszukiwania, które pozwolą poszerzyć *Słownik...* o nowe hasła i uzupełnić te, które tego wymagają. Mimo że zasięg *Słownika...* ogranicza się do mikrośrodowiska regionalnego, książka ta godna jest upowszechnienia także poza nim. Warto, żeby trafiła do zbiorów bibliotek w innych regionach, gdyż może zainspirować pasjonatów (mikro)historii do podjęcia podobnych inicjatyw, a co więcej – służyć im jako wzór profesjonalnego warsztatu badawczego.

***Słownik biograficzny mieszkańców Chełmu Śląskiego XIX i XX wieku*, red. ks. Jerzy Myszor. Wydawnictwo WueM, Katowice – Chełm Śląski 2024, s. 220, fotografie, indeksy.**

W *meandrach pamięci* Teresy Elżbiety Pyzik to kolejny – po *W lustrze babiego lata*, *W niepokoju myśli* czy *Wierszach nieplewionych* – zbiór liryków artystki będącej członkiem Mieleckiej Grupy Literackiej SŁOWO. Obrazy szczęśliwego dzieciństwa w podrzeszowskiej wsi Zaczerwie przenoszą nas do lat 50. i 60. XX wieku, a ich czystość i niezmacona upływem czasu żywotność barw skłaniają do podjęcia własnej podróży ku wspomnieniom, które – tak jak wiersze Teresy Elżbiety Pyzik – subtelnie i wzruszająco poruszają niezagasłą nutę najpiękniejszego okresu życia.

Mielecka autorka poprzez liryczne lokacje swej małej ojczyzny wpisuje się w twórczość innych poetów związanych z Podkarpaciem, którzy ostatnio pisali o rodzinnych stronach – Jakubie Pacześniaku (Boğuchwała) oraz Stanisławie Dłuskim (Dębowiec koło Jasła). Szczegółne oddziaływanie omawianej liryki na czytelnika jest możliwe dzięki takiej cesze przedstawionego materiału literackiego, jaką jest sugestywność przekazu. Otóż wczytując się w te wiersze, słyszymy, co się w nich dzieje, widzimy to, czego doświadcza podmiot, czujemy się współobecni w świecie, którego nie ma, ale który został mocą poetyckiego słowa przywołany do istnienia i w tym wyjątkowym słowie, niczym w najcenniejszej rodzinnej fotografii, utrwalony.

W inicjalnym utworze o tytule *Remedium* słychać echo Mickiewiczowskiej frazy z *Inwokacji*, a pierwsza strofa przenosi nas „do tych miejsc”, które u mieleckiej autorki tworzyły arkadię dzieciństwa. Zagłębiając się w początkowe wersy, nieoczekiwanie rozpoznajemy obrazy z naszej biografii, gdyż niektóre z przywołanych czynności były bez wątpienia częścią doświadczenia każdego, kto miał po prostu szczęśliwe dzieciństwo. Czyż nie są nam bowiem znane „Skoki w kopki liści jesiennych / Gry w klasy, zośkę, ciuciubabkę [...] / Szalone zjazdy z górki na tornistrach”? Niewątpliwą wartością liryki Teresy Elżbiety Pyzik są udane próby łączenia impresji historycznej z teraźniejszą. Owe przeskoki między „wtedy” a „dziś”, znakomicie widoczne choćby w finale utworu *Remedium*, mityzują świat przedstawiony, który w swej głębokiej warstwie zdaje się skrywać tajemnicę wiecznego istnienia. Poetka „w drewnianych deskach starej chaty”, być może gdzieś na ganuku lub w ciemnym zakamarku we-

„W przestrzeń, gdzie niedosyt trwania”

KSIAŻKI

randy, dostrzega więcej niż kiedyś, gdyż rozwinięty dar widzenia wewnętrznego pozwala wyodrębnić omeny światła będącego znakiem obecności dawnych mieszkańców.

W liryczne rozpoznania z *Remedium* wpisuje się utwór *On tam jest*, którego tematem jest właśnie rodzinny dom. Oniryczny opis jego lokalizacji wykorzystuje przerzutnię między „tu” a „tam”, sprawnie balansując na pograniczu rzeczywistości fizycznej i metafizycznej. Przenieśmy się na chwilę w to szczególne miejsce, wejdźmy do muzeum dusz szczęśliwych, po którym oprowadza nas jego mieszkanka i duchowoczuła przewodniczka. Czytamy więc: „mój dom wciąż tam stoi / daleko od szosy / na granicy światów / [...] podłoga szepce tajemnice wieczornej ciszy”. W środkowej części wiersza autorka ożywia wizerunki rodziców – widzimy ich w codziennych czynnościach, a utrzymanie deskrypcji w czasie teraźniejszym nie pozwala im odejść. Zabieg ten, znany choćby z tomu *Matka odchodzi* Tadeusza Różewicza, świadczy o miłości i więzi, których nie złamie upływ czasu. Czas bowiem został zatrzymany poprzez siłę lirycznego wspomnienia: „tam / kuchnia z drewnianym kredensem / pokój z bajkami dzieciństwa / moja mama wciąż piękna / układa równiutko dziecięce ubranka / tato poklepuje kosę przed żniwami”. Wierność i prostota poetyckiego przekazu sprawiają, że widzimy i słyszymy wszystko tak, jak było kiedyś, gdyż mamy do czynienia ujęciem osobistej historii rodzinnej.



TOMASZ PYZIK

Ostatnia część wiersza przywołuje obraz sadu – ogrodu będącego symbolem krainy szczęśliwości. Obecna w nim postać została w tym miejscu to, co najcenniejsze: „w dojrzewającym sadzie / zakopane moje serce / wiatr kołysze gałęziami / które nieba dotykają”. I znów mamy tu subtelny przerzut w opisywanej rzeczywistości, która w układzie wertykalnym wybiła z tego, co ziemskie ku temu, co niebiańskie, otwierając przestwór niepojętego bytu. Zakończenie utworu, zapisane już w konwencji realistycznej, pozostawia jednak charakterystyczny znak, który może być odebrany jako symbol przełamania nocy zwątpienia: „budzę się / i / na świetlistym promieniu słońca / witam dzień”. Dostrzeżona impresja niesie coś więcej niż tylko światło dnia. To światło jest także, w najgłębszym rozumieniu, przezwyciężeniem ciemności doczesnego niebytu, jest zwycięstwem życia wiecznego nad śmiercią. Swoistą kontynuację rzeczowego wiersza znajdziemy w utworze *W drodze do jesieni*, w którym obecność lirycznego „ty” objawia się następująco: „[...] ty wciąż mnie szukasz / w promieniach porannego słońca // w błękicie nieba / na plaży / wśród maków i chabrow w łąkach zbóż // w ogrodach pełnych kwiatów”. I choć lirycznej bohaterki już tam nie ma, to zarysowana relacja nieustannie zachodzi. Przenosi się jednak w nadnaturalną sferę ciszy będącej ostoją połączonych dusz.

W takiej atmosferze utrzymany jest fragment wiersza *Ta cisza wciąż*

jest we mnie, a wyznanie osoby mówiącej w ostatniej strofie rejestruje muzykę ciszy. Poetykę paradoksu dopełnia porównanie, które wpisuje się w poczynione przez nas rozpoznania z utworów *On tam jest* oraz *W drodze do jesieni*. Całość wygląda następująco: „Wszystko się zmienia / a we mnie wciąż gra... cisza. / Podąża za mną jak cień / bo cień jest wtedy / gdy świeci słońce / choć moje dawno zgasło”. Zmysłowa interferencja oddaje wielowarstwowe, pogłębione i uwrażliwione światoodczuwanie autorki, a finałowa metafora, mimo że dotyka odejścia najbliższej osoby, nie przysłania tego światła, które w ciemności świeci i ciemność go nie zagasi. Liryczne portrety o tytułach *Tato*, *Babcia Zosia*, *Dziadek Wojtek*, czy też utwór *Pamięci mamy*, który przedstawia wzruszające spotkanie ponad czasem, to medaliony pisane najcenniejszym atramentem – krwią serca, mieszaną miłości i tęsknoty. Konterfakty najbliższych, wydobyte z zakoli pamięci, zostały utrwalone w cennym tworzywie poezji, która unieśmiertelnia tak jak choćby rodzinna ekfrazja o tytule *W starym albumie*. Puenta utworu – „w albumie jesteśmy wieczni / bawimy się czasem” – wyciąga bohaterów z przeszłości i ponownie uobecnia teraźniejszym opisem. Rodzina znów jest razem, a poezja, owa mowa tajemna, wnika w drugą przestrzeń, by dostrzec mgnienie tego, co tu i teraz jest nieosiągalne, lecz „kiedyś przyjdzie” (*Kiedyś*).

Wiersze Teresy Elżbiety Pyzik należą do utworów nacechowanych autobiograficznym rysem, przebijają przez nie elegijna nastrojowość, ale także autentyzm emocji i wydarzeń. Ciekawym wątkiem twórczości zapisaną w zbiorze *W meandrach pamięci* są rozważania z przeznaczeniem w tle. Do najlepszych liryków obejmujących tajemnicę niespełnienia, a co za tym idzie – tajemnicę wyboru decydującego o kolejach życia, należy zaliczyć tekst o tytule *Decyzja*. Liryczna retrospekcja powraca do kluczowego momentu sprzed lat, który z perspektywy życiowego doświadczenia urasta do symbolu rozstajnych dróg. Niepoznane, alternatywne możliwości, hipotetyczne wydarzenia z kimś, kto kiedyś był blisko, powracają i odzywają się apostroficznym wyrzutem, czymś w rodzaju pretensji za zaniechanie kolejnego kroku, ale – co najważniejsze – przywracają inicjalne emocje i czyste, jeszcze nie skalane trudem wspólnego życia ideały z początku znajomości, która mogła przerodzić się w coś wię-

cej. „Może i dobrze / Że nigdy nie byliśmy / I nie będziemy / Ze sobą. // Marzenie powinno / Być doskonałe. / Już tak zostanie” – konstatuje poetka w pierwszych strofach. Liryczne „ty” pozostaje dla nas, czytelników, kimś anonimowym, ale pamięć o nim bez wątpienia wypełnia to zakole pamięci autorki, które przeznaczone jest na wspomnienie osób szczególnie przypisanych sercu. Liryk *Decyzja* kwalifikuje się więc do najbardziej osobistych i najbardziej tajemniczych wierszy Teresy Pyzik. Na jego bliskiej semantycznej orbicie znajduje się *Wspólna podróż* – wiersz będący emanacją tęsknoty za taką realizacją przeznaczenia, która choć trochę pokrywałaby się z ludzkimi pragnieniami i marzeniami. Przeto osoba mówiąca, po filozoficznym wprowadzeniu, metaforycznie nakreśla działania i myśli, chcąc jakby wypełnić niedopowiedzenia losu: „Ludzie przeznaczeni sobie / powinni zawsze się / odnaleźć / dlatego / rozciągają po naszym niebie / aby jawą się stały / niedomalowane do końca / tajemnice”. Eliptyczna fraza poetycka włącza nas niejako do uzupełnienia miejsc niedookreślonych, celowo opuszczonych po to, by – co niezwykle cenne – żywo współuczestniczyć w misterium bytu, w tej „podróży wspólnej”, w której – jak czytamy w finale wiersza – „ciągle jesteśmy spóźnieni / może tym razem zdążymy / na wspólne przemijanie”.

Wanitatywna refleksja snuje się po utworach mieleckiej artystki słowa wraz z pogłębionym, egzystencjalnym namysłem nad światem i za światem. Życie moje – to przykład utworu, który pełni funkcję skróconej autobiografii. Jego strofy – kadry ukazują wybrane sceny będące dla autorki obrazami granicznymi. Każdy z nas ma w swej pamięci takie zastygłe momenty. Przywołujemy je w chwilach szczególnego zastrzymania się podczas naszej egzystencjalnej wędrówki, w refleksjach o tych, których znaliśmy i kochaliśmy. Pojawiają się one wreszcie wtedy, gdy – jak mówi poetka w zakończeniu wiersza – „Scenariusz przeszłości / kruchy / jak zamki na lodzie / chwiejny / jak liście osiki // niepewny”. Na bazie niewiadomego losu rozrasta się jednak coraz większa ciekawość, która ogniskuje się na tym, co Inne. I właśnie w liryku *Ciekawość* autorka napisała: „Dać ponieść się / W przestrzeń / Gdzie niedosyt trwania”. Na co przełożył się tak sformułowany imperatyw? Odpowiedź znajdziemy w ostatnim dystychu wiersza. Otóż uwrażliwie-

nie na imponderabilia drugiej strony sprawi, że „Nadzieja nie spocznie / W alejach zimnego wosku”, lecz będzie sięgać dalej, bo – jak czytamy w utworze *Niewiadoma* – „[...] drugi brzeg / zapisany na płątku zimy wiecznej / który zawsze nadzieją”. Jak widzimy, twórczość Teresy Elżbiety Pyzik w sposób niezwykle subtelny potrafi wyłuskać nieskończoność skrytą w detalu natury, w impresjach światła i ciszy. Do najpiękniejszych lirycznych migawek mających cechy epifanii należy ta najkrótsza, z incipitem: *** „anioły / białe latawce / tańczące / w ciszy gwiazd”. Transcendujące pole semantyczne otwiera się na ostateczność, a poetka, wpatrzone w tę niebiańską rzeczywistość, widzi w niej przystań, do której sama zmierza. Mówi o tym w utworze *Jutro*, które „[...] jest czekaniem / do miejsc nienazwanych / gdzie wiatr rzeźbi dla nas / przystań dni // [...] a księżyc / drogę wśród gwiazd pospiesznie wymiata”.

Dojrzałe pogodzenie z przemijaniem miesza się w materiale literackim tomu *W meandrach pamięci* z retrospekcjami, które przywołują obrazy pełni życia, pełni szczęścia i pełni miłości. Do takich utworów należy wiersz *Zanim*, a jego liryczna bohaterka wyznaje: „chcę założyć jeszcze tę suknię / chcę pójść z tobą na bal / cały świat niech nam w oczach wiruje / serca zabiją mocniej / a ty / trzymaj mnie w swoich ramionach / nim ta noc piękna się skończy”. Bez wątpienia o autorce omawianego zbioru wierszy można powiedzieć, że jej dusza – jak jest napisane w utworze *Poza czasem* – „[...] nie mieści się / w ramach miejsca i czasu”. Poetka chce bowiem, jak sama mówi, „wędrować tam // gdzie wiatr mnie woła / gdzie dom rodzinny / znów pełny”. Twórcza wrażliwość Teresy Elżbiety Pyzik czule obleka swoich bliskich nadzieją wieczności, tworząc *Własny Eden*, którego emanacją jest przedstawiony nam w zbiorze liryczny ogród z urzekającymi kwiatami wierszy. Możemy się w nim poczuć jak u siebie, jesteśmy bowiem zaproszeni do kogoś, kto nas bardzo dobrze zna, bo bardzo dobrze zna życie. Jesteśmy zaproszeni „tam”, czyli „w przestrzeń, gdzie niedosyt trwania”, a z takiego zaproszenia po prostu trzeba skorzystać. ■

Teresa Elżbieta Pyzik, *W meandrach pamięci*, wyd. nakładem autorki, Mielec 2024, s. 66.

Gra z jedną szansą. Czołówka filmowa

ROMUALD CUDAK

– Panowie! Moja propozycja czołówki jest następująca. Plan ogólny. Szerokie pole uprawy ziemniaków. Po deszczu. Rozmokły grunt. Na polu pomiędzy bruzdami kałuże. Tuż za polem, niemal na wyciągnięcie ręki, las. Sto metrów? Nie więcej. Natomiast przed polem widoczne przydrożne zabudowania. Gdzieś-niegdzie na polu można dostrzec leżące postaci ludzkie. Powoli najeżdżamy na taki obiekt.

– Dziadku!

Cisza. Prawa rączka jest przyciśnięta, więc wolną, lewą, stara się pociągnąć go za rękaw koszuli.

– Dziadku! Już nie mogę. Musisz wstać, bo mnie przygniećiesz na śmierć!

Dziadek nie odpowiada, nie porusza się.

– Dziadku! Nie chcę już tak się bawić! Podnieś się! Troszkę!

Nadal cisza. Po chwili wkłada więc wolną rączkę pod piersi dziadka i obiema z wielkim wysiłkiem próbuje przynajmniej podnieść go nieco i wydostać się spod niego. Albo przynajmniej przesunąć ciut-ciut w prawo. Leży przytłoczona do ziemi ciężarem starego mężczyzny tak, że niemal jej nie widać. Ciało dziadka wgniata ją w grząską ziemię, nie pozwala oddychać, bo na usta i nos naciska jego pierś. Plecy uwierają kamienie i grudy ziemi. Czuje, że coraz bardziej brakuje jej powietrza i że musi wydostać się spod dziadka. Jeszcze raz i jeszcze raz próbuje podnieść lub zepchnąć dziadka, prosząc:

– Dziadku, proszę, pomóż mi. Już nie chcę się bawić, bo nie mam powietrza. Dziadku, powiedz coś! Powiedz, proszę. Pomóż mi. Nie dam rady.

Głosik więźnie w gardle, bo płuca nie potrafią zaczerpnąć głębokiego oddechu. Bolać wypowiedane słowa. Ale ponieważ nadal nie ma reakcji dziadka, ponawia próbę. Jeszcze raz stara się wyslizgnąć spod niego. Są wreszcie małe sukcesy, czuje to. Główna znajduje się już teraz bliżej miedzy, gdzie kończą się piersi dziadka. Podnosi jego zwisającą rękę, wykonuje jeszcze jeden sprężysty ruch i oczy zaczynają oglądać niebo, usta mogą wreszcie odetchnąć głębiej, a i poruszone ciało przesuwa się wyraźnie z dziewczynki na drugi bok. Uwolniona leży jeszcze przez chwilę, odpoczywając, potem próbuje usiąść. Orientuje się, że trzyma rękę dziadka w swojej rączce. Jego ręka jest zimna, jej – mokra. Puszczając rękę dziadka, a ta upada bezwładnie obok. Podnosi jeszcze raz i puszcza, a ręka ponownie opada. Dziewczynka siada i rozgląda się dokoła. Okazuje się, że leżeli oboje w kałuży wody i błota. Ma mokre i pobrudzone ubranko. I getry, i sweterek. Woda dotarła nawet głębiej. Przemoczone są rajstopy i bluzeczka. Teraz czuje, że pełen wody jest również warkoczek. Co ten dziadek narobił? – zastanawia się. Dziadek leży teraz plecami do góry z twarzą w wodzie. Jak nieżywy.

– Dziadku, przecież się utopisz – mówi dziewczynka, nachylając się nad nim. Zauważa, że oko, które nie jest zatopione w wodzie, to widoczne dla niej, jest szeroko otwarte. Widać też otwarte usta dziadka. Ale dziadek się nie rusza. Co się stało? Wygrali? Kto wygrał? – zastanawia się dziewczynka.

Pamięta. Uciekali przed żołnierzami, którzy strzelali do nich. I coś krzyczeli. Dziadek trzymał ją mocno za rączkę. Biegli dość długo, ale nie szybko, bo błoto przeszkadzało w ucieczce i potykali się o grudy ziemi. Rodzice również biegli, przed nimi, bardziej z przodu. Trzymali się także za ręce. Dziadek nagle wyprostował się, odchylając mocno głowę do tyłu, jakby potknął się, potem przystanął, złapał ją jeszcze za obie rączki, przytulił do siebie i oboje przewrócili się na ziemię. To znaczy, dziadek runął na nią. Przycisnął mocno do ziemi, że aż zabolalo. Leżeli tak dłuższą chwilę, bo bała się cokolwiek zrobić. Słychać było krzyki żołnierzy, dziadek nic

nie mówił. Potem krzyki ucichły. Zrobiło się duszno, ciemno, zimno i mokro. Wtedy powiedziała:

– Dziadku, ja już nie chcę uciekać. Nie podoba mi się ta gra. Nie chcę być w ukryciu.

Dziadek mówił, że trzeba uciekać. Szybko biec. Że to taka gra. Trzeba biec, żeby wygrać. Nie dać się złapać żołnierzom. Było głośno, kiedy grali. Ale teraz jest cicho. Czy to jest już koniec gry? Nie ma żołnierzy. Więc kto wygrał?

– Dziadku, kto wygrał?

Ale dziadek nie odpowiada. Leży nadal z otwartym okiem, z otwartymi ustami i nie rusza się. Dziewczynka zauważa, że na koszuli na plecach dziadka są dwie czerwone plamy ze świeżą krwią. Jedną tworzy krew wyciekająca z jego głowy, drugą – krew, wypływająca z pleców. A w zasadzie już zastygła. To dlatego dziadek nie mówi – myśli dziewczynka. – Jest skaleczony. Trzeba mu pomóc.

Przeżona rozgląda się dokoła. Zauważa, że nieopodal leżą rodzice i też się nie ruszają. Oni również bawili się w grę o życie. Babcia nie bawiła się z nimi. Nie uciekała, bo ma chorą nogę i nie mogła biec. Ale gdzie jest? Została przed domem, kiedy zaczęli uciekać. Może jeszcze tam jest? Może trzeba do niej wracać? Powiedzieć, że dziadek jest skaleczony, nie rusza się i nic nie mówi. Że trzeba mu pomóc.

– Dziadku, idę do rodziców. Nie gramy już w grę o życie, dobrze? Wstajemy i idziemy do babci. Spróbuj się poruszyć, pomogę ci. Koniec zabawy.

Ale dziadek nie odpowiada i nie rusza się. Leży z otwartym okiem i ustami jak nieżywy. Plamy już przestały się powiększać. A może dziadek umarł? – wpada nagle do głowy dziewczynki okrutna myśl. To znaczy, przegrał? – przypomina sobie punkt regulaminu gry o życie: „to jest gra z jedną szansą”. – Nie, to niemożliwe!

Wstaje.

– Dziadku, ty żyjesz, prawda? Nie przegrałeś? Idę do mamy i taty. Oni powinni nam pomóc, bo babcia pewnie pozostawała w domu.

Rusza w stronę rodziców. Kiedy podchodzi do nich blisko, spostrzega, że oni też leżą plecami do góry, z buziami w ziemi. Trzymają się za ręce i nie ruszają się, jak dziadek, jakby byli nieżywi. Nawet wtedy, kiedy usiłuje z nimi rozmawiać i pertraktować koniec gry o życie. Nie wie, co zrobić. Zaczyna się bać, bo przecież nigdy tak nie było. W żadnej zabawie i w żadnej grze. W tych naumyślnie i na serio. Czy gra o życie jest inna? I co teraz robić? Czy powinna iść sama do babci? Może rodzice też nie żyją?

Kiedy tak stoi nad rodzicami i półgłosem medytuje, aby słyszeli, jeśli mogą, nie zauważa, że od strony ulicy zbliżają się żołnierze z karabinami. Trzech. Nie upływa nawet minuta, jak są już na polu, przy niej.

Jeden z nich, pewnie dowódca, pokazuje kolegom rodziców dziewczynki i coś mówi w jakimś innym języku. Oni bez słów podchodzą do mamy i taty i zaczynają przeglądać ich dłonie, a potem ubrania. Szukają czegoś. On zbliża się do dziewczynki. Dziewczynka po raz pierwszy widzi żołnierza z bliska. Nie naszego żołnierza, takich przecież już kiedyś widziała. Innego żołnierza. Tego, z którym gra się o życie. Dziwnie wygląda. Ma szeroką twarz, trochę skośne oczy, duży nos. Młody, jak wujek Michał, który jest studentem. W ręce trzyma karabin.

Patrzy teraz przez chwilę, zdziwiony niepomiernie, na dziewczynkę.

– Ty żywa? Dlaczego? – pyta, próbując mówić po polsku. A potem zwraca się do kolegów w swoim języku. Oni odbezpieczają karabiny, ale powstrzymuje ich podniesioną ręką. Mówi dalej do niej, niby po polsku.

Dziewczynka nie do końca rozumie, co żołnierz powiedział, więc reaguje:

– Dziwnie mówisz. Nie rozumiem.

Żołnierz też reaguje:

– Co to „dlinie”? Ja – pokazuje palcem na siebie – ja, po polski, komendant, tak? A ty? Ile tobie lat? No, lata, ty, lata, a?

Wydaje się, że zrozumiała. Mówi:

– Mam sześć lat i dwa miesiące.

Pokazuje poglądowo wiek na paluszkach, myląc z wrażenia ilość palców potrzebną do wystawienia. Żołnierz patrzy zdziwiony:

– Szest? – pyta, ale widać, że nie zamierza ustalać prawidłowego wieku. Dopytuje dalej:

– A twoje imie, jak? Kasja? Krysja? Olja?

Zrozumiała, odpowiada, jak uczyła ją mama:

– Jestem Kasia Mrówka, mieszkam w Będzinie przy ulicy Kolejowej, numer 44. – I dodaje: – Jestem Polką. I umiem śpiewać polski hymn. A w kosmetyczce mam przyczepkę z polskim orłem. Rozumiesz? Polski orzeł.

Teraz dopiero orientuje się, że torebka, którą w czasie biegu miała przełożoną przez ramię, ta torebka od babci w prezencie, została w błocie, pod dziadkiem, kiedy próbowała się wydostać. A tam były przecież skarby, rzeczy najważniejsze: chusteczki, nawilżacz do ust, klamerka, spinki do włosów, różdżka niosąca moc. I obrazek z Królową Łodu. Zaniepokoili się. Trzeba wrócić i poszukać.

– Kasja? Mrówka? – żołnierz w tym czasie chce potwierdzić, czy dobrze zrozumiał dane. – No, w porządku. Gymn, polski, tak? A po chuj mi twój polski gymn, a? Tu – wskazuje na rodziców – to twoja mama i tata, tak?

Zrozumiała.

– Tak – odpowiada. I jeszcze: – A tam – wskazuje paluszkami – leży mój dziadek. On także nic nie mówi. Może umarł? Nie wiem tylko, gdzie jest babcia. Graliśmy z wami w grę o życie, ale nie wiem, kto wygrał, czy my, czy wy. Trochę się boję.

– Jakże to? – dopytuje żołnierz w tym swoim języku polskim tak, by dziewczynka zrozumiała. – Jaka gra? Za życie? Z kim? Z nami? Kto tobie tak mówił, on? – wskazuje na dziadka. – Mama? Oni..., oni..., no, umierli, rozumiesz, a? Ich już nie. My ich ubili. Trach, trach, trach. I koniec. Przegrali za życie! – śmieje się.

Dziewczynka nie potrafi zareagować, bo niewiele jednak rozumie. Ale martwi ją to „trach, trach, trach” i „koniec”, i „umierli”. To dziadek jednak umarł? Dlatego nic nie mówi i nie rusza się? A rodzice? Też? Jeszcze nie tak dawno dziadek opowiadał jej reguły tej gry. Dziadek jest mądry i zawsze mówi prawdę. Oni będą nas gonić i strzelać do nas z karabinów – mówił. My musimy uciekać. Jeśli uciekniemy, to wygramy tę grę. Musimy biec przed siebie, szybko, jak najszybciej. Musimy ratować ży-

cie. Mamy w tej grze tylko jedną szansę. Pamiętaj, trzeba uciekać. To jest prawdziwa gra o prawdziwe życie.

No i trzeba jeszcze odzyskać torebkę. Tam jest przecież różdżka dająca moc.

Żołnierz, spocony rozmową i wymyślaniem polskich słów, traci nagle zapał do konwersacji.

– No, w porządku. Ty ze mną. Rozumisz? Ze mną – pokazuje palcem siebie, dziewczynkę, a potem na otwartej dłoni rysuje palcami drugiej ręki ich wspólny marsz.

Podchodzi do dziewczynki i łapie ją mocno za rączkę. Dziewczynka nie chce, próbuje się wyrwać, oswobodzić i uciekać. Najpierw do dziadka. Po torebkę. A potem szukać babci. Trzeba uciekać, tak mówił dziadek. Wtedy żołnierz uderza ją w twarzyczkę. Mocno. Boli, a z noska zaczyna kapać krew. Płacze, próbuje wywinąć się z uścisku jeszcze raz. Uciec. Wtedy żołnierz łapie ją za warkoczyk i mocno przyciąga do siebie. I patrząc w jej oczka, mówi:

– Teraz ty moja, rozumisz? Jak u was, po polski – dobytca, a? Idziemy grać. U mnie także za życie. Uwidzisz.

Mówiąc to, żołnierz układa z palców lewej ręki kółko i przerzuca je kilkakrotnie palcem wskazującym ręki prawej. Koledzy się śmieją. On odwraca się ku zabudowaniom i ciągnie dziewczynkę za sobą. Krzyczy do kolegów, a ci zakładają karabiny na ramiona i idą za nimi.

Mocno boli. I nos, i szarpnięcia za włosy. Jest zimno i mokro, teraz dziewczynka czuje to w dwójnasób. Idzie więc za żołnierzem, drobiaź kroczy, aby przynajmniej dorównać jego krokom, bo wtedy jest nieco lżej. Idzie za nim, kątem oka przyglądając się jeszcze zwłokom rodziców, potem dziadka. Chce zapytać, czy oni tutaj zostaną, ale boi się, że żołnierz znów będzie ją bił. Traci też nadzieję, że na ich osiedlu, do którego teraz zmierzają, znajdzie jeszcze babcię. Kiedy jego dłoń zaciska się na warkoczyku i ponawia ból, przekrzywia głowę, żeby nieco zelżał. I myśli, że żołnierz ma jednak rację. W tej grze, której teraz już nie lubi, przegrali chyba, skoro nie żyją i rodzice, i dziadek. Babcia może też. A ona? Żeby chociaż nie ciągnął tak mocno za warkoczyk. I gdyby miała torebkę. Dziwne – dodaje w myślach – dziadek chyba coś pokręcił! Może źle przeczytał regulamin gry z jedną szansą na życie? ■

– Panowie! W tym momencie kamera zostaje w miejscu, z którego oddalają się żołnierze. Kadrujemy jeszcze pola, na których leżą rodzice i dziadek, i powoli przechodzimy do ujęć pobliskich zabudowań, do których wędrują żołnierze, ciągnąc ze sobą za włosy małą sześciolletnią Kasię. Za chwilę, kiedy grupa niemal niknie w oddali, zaczynają pojawiać się napisy.

Z cyklu: Scenariusze.



W pułapce ideału



AGATA KUSTWAN

Agata Kustwan, młoda artystka, urodzona w 2001 roku, obecnie studentka ostatniego roku Grafiki na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach oraz Interdyscyplinarnego kierunku Arteterapia. W swojej praktyce artystycznej bada postrzeganie własnego wizerunku. Twórczyni eksploruje własne kompleksy, lęki i niepewności, bliskie są jej tematy operacji plastycznych oraz nadmiernego konsumpcjonizmu produktów upiększających. Kustwan sztukę traktuje autoterapeutycznie, jednak poruszane przez nią tematy mają charakter uniwersalny.

Wybrane wystawy zbiorowe:

Ludzie Ogrody, Rondo Sztuki, Katowice 2024.

Czarny obraz na czarnym śnie, Zakład Żeństwo, Szczecin 2024.

Zdolność Negatywna, Prześwit, Warszawa 2024.

Dziwność Granic, Komuna Warszawa, 2024.

Re-recovery, Rondo Sztuki, Katowice 2024.











O (nie)słuchaniu muzyki (III)

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Z pokorą przyznaję, że nic nie rozumiem. Może jakiś dociekliwy językoznawca – rzecz jasna najlepiej strukturalista! – potrafiłby rozszcześcić te słowne konstrukcje na cząstki narratywne, rozwiązać węzłki gordyjskie każdego z tych wierszy, wyłuskać znaczenia i treści, lecz ja nie daję rady. Czytam, czytam, jeszcze raz czytam – i nic. Za cholerę nie mogę ich zrozumieć. Mogę się tylko domyślać o co chodzi, przedzierać się ścieżkami dedukcji przez gąszcz znaków w stronę semiotycznych ustaleń i z tryumfem osiągnąć badawczy orgazm, ale czy warta gra świeczki? Nie.

Marcowy numer *Śląska*, Nr 3 (354), przynosi wyjątkowy moim zdaniem debiut poetycki w postaci trzech wierszy osiemnastoletniej (w 2025 roku) Żywczanki Julki A. Cierniak. Od dawna „czegoś takiego” nie widziałem i mam niepłonną nadzieję, że z biegiem lat Julka wejdzie do elity polskiej poezji, byle nie zaczęła się powtarzać – „samopowielać” – w wyniku niewątpliwego i zasłużonego sukcesu swoich wcześniejszych utworów poetyckich. Co prawda będąc członkiem starej daty mam (jedno) zastrzeżenie w związku z autoprezentacją poetki, w której oznajmia, iż „[t]worzenie jest jej pasją...”, boć pasję kojarzę z wściekłą reakcją na bolesny (negatywny) bodziec, który nas wyprowadził z równowagi i zmusił do wyrażenia złości – a nie przypuszczam, by Julka tworzyła swe intrygujące wiersze opętana furią – wszak w tym przypadku po prostu czepiam się byle czego, za co Autorkę z radością i przyjacielskim mrugnięciem oka przepraszam.

Trzy wiersze, których nie potrafię odcyfrować. Trzy wiersze, których nie rozumiem. Trzy piękne wiersze, których pojmować nie trzeba, ponieważ w naturalny, bezpośredni a przy tym zapładniający sposób otwierają wyobraźnię, pobudzają fantazję, uwalniają zmysły przedąc sploty bogatych skojarzeń. Czytać więc tę poezję można bez rozumienia tego, „co autor(ka) chce przez to powiedzieć”. Każdy, jak myślę, jest w stanie pojmować/interpretować ją na swój indywidualny sposób. Te trzy wiersze to, innymi słowy, dzieła otwarte, w których prostą (spłyconą) ekspresję dosadności zastąpiono złożoną (wyrafinowaną) domysłowością interpretacji. Czyli dzieła nie tylko otwarte, ale też ezoteryczne, co w moim słowniku (systemie wartości) jest zawsze pochwałą. Wchłaniam ich atmosferę i wręcz fizycznie ją odczuwam, rozkoszuję się nią, choć nie są to wiersze „jasne” tylko zdominowane przez paletę ciemniejszych barw egzystencjalnego niepokoju: strachu, smutku, nostalgii, niepewnej siebie, kruchej miłości.

Mówię o tym, gdyż zauważam silne związki między sposobami intelektualnej i emocjonalnej absorpcji takiej otwartej, ezoterycznej poezji oraz sposobami aktywnej, dogłębnej i uczuciowej („odczuciowej”) absorpcji nowoczesnej – nie „współczesnej” a właśnie „nowoczesnej” – muzyki, którą określamy też jako awangardową, eksperymentalną, nowatorską. (Nb. rozumienie terminu „postmodernizm” rozciągnięto do tak niedorzecznych rozmiarów, że zupełnie nie ma sensu używać go; byle pismak głupkowato przerabiający dawną muzykę na nową – a fe! – może teraz stwierdzić z dumą, że jest postmodernistą i wszystko mu wolno – jak to robią nasi rodzimi surkonwencjonaniści.)

W kontekście najnowszej muzyki, prowadzącej w obszary słuchowo jeszcze ledwo zbadane lub wręcz niezamieszkałe (tak samo jak w kontekście najnowszej, otwartej i ezoterycznej poezji), muzyki, która stara się co najmniej zreformować, zmodyfikować, a najlepiej ominąć i zastąpić nowymi tradycyjnie akceptowane i nadużywane modele formalne, strukturalne, techniczne i narracyjne, także mówimy o dziełach otwartych, ezoterycznych, nie raz, nie dwa – a jakże! – oskarżanych o niezrozumiałość.

A przecież tych dzieł wcale nie trzeba „rozumieć”. Dokładnie tak, jak w opisanym wcześniej przypadku niestandardowego podejścia do operowania dykcją poetycką i jej spontanicznego (odruchowego), intuicyjnego, podświadomego odbioru, tak i tutaj jakiegokolwiek opieranie się na skostniałych zasadach słuchowej „interpretacji”, używanie zastałych analogii, szukanie „wspólnego mianownika” z muzyką przeszłości doprowadzić może tylko do rozczarowania, poczucia zagubienia i przekonaania o własnej „niedoskonałości” (tak!), a co z tym idzie do niechęci wobec danej konstelacji dźwiękowej, którą pośrodkujemy o wrogość. Mamy wrażenie, iż nie dysponujemy instrumentarium umożliwiającym swobodne drażnienie danego fenomenu akustycznego – a wówczas najłatwiej jest zanegować znaczenie i wartość tegoż. W rezultacie nie chcemy podróżować w nieznane i badać dalekie, nieznanne, niebezpieczne akustyczne uniwersum. W przeciwnym razie doświadczamy braku bezpieczeństwa, psychicznej niewygody oraz swoistego bólu – związanych z konfrontacją zagadki nowego estetycznego wyzwania.

Jednakże niektórych sytuacjach narzuca sobie a priori wzory myślenia i postrzegania nowych estetycznych zjawisk są okrutnie szkodliwe. Zatem najlepiej „nic nie myśleć” tylko przeprowadzić eksperyment słuchowy i poddać się tej muzyce, zespolić się z nią, dać się jej ponieść niczego nie kwe-



stionując (jak w modlitwie, gdyż modlimy się, by tak rzec, bezkrytycznie). Może się to skończyć rozczarowaniem, niemniej im częściej będziemy ten proces powtarzać, tym łatwiejszym będzie osiągnięcie estetycznej iluminacji. Przykład: kiedy Ornette Coleman, stuprocentowy samouk, po setkach godzin pracy z Guntherem Schullerem – nie „pod kierunkiem” – w nagłym przebiegu inspiracji wreszcie pojął pewne akademickie zasady muzyczne, zareagował tak gwałtownie, że musiał pobiec do toalety i – dosłownie – zwymiotować dotychczasową niewiedzę. To właśnie była jego iluminacja. Zresztą sam mówił, że słuchając nie należy opierać się na wyuczonych manierach odbioru dawniejszej muzyki (określam to terminem „słuchania wstecz”), tylko skupiać bezwiednie (instynktownie) na tym, co brzmi tu i teraz.

Proszę mi wierzyć, w przeszłości nabażrcono potwornie dużo złej muzyki, może nawet więcej niż obecnie, kiedy na szczęście pisze się mniej, albowiem kompozytorki i kompozytorzy zmagać się muszą ze znacznie większym asortymentem możliwości oraz wyborów niż np. w XVIII stuleciu. Dzisiaj, kiedy nie ma sensu (według mnie) nagrywanie po raz tysięczny Ballad Chopina lub fortepianowych sonat Brahmsa, istnieje cała kategoria muzyków specjalizujących się w ekszhumowaniu „zapomnianych arcydzieł” – a te niewątpliwie znalazły się na cmentarzu przeciętności, bo na to zażyły. Trzecio – czy czwartorzędny kompozytor barokowy, lub klasycystyczny, lub romantyczny to nagle autor „arcydzieł”, dlatego że nie trzeba żadnego wysiłku, żeby ich (nie) słuchać: ich idiom jest bardzo dobrze znany, obcowanie z nim zupełnie bezkonfliktowe; czas zaś stopniowo niweczy różnice pomiędzy rzeczywistymi arcydziełami tamtego okresu a ich mniej lub bardziej (nie)zręcznymi kopiami. Nudy na pudy. O ileż ciekawsze jest kosztowanie nowego niż przeżuwanie starego. Z tym że trzeba na to odwagi.

Nadzieja prowadzi do Itaki

KALMAN SEGAL

Nad rzeką prześliznął się powoli oślepiający blask reflektora. Zarechotał karabin maszynowy. Odpowiedział mu czyjś zdławiony krzyk – i znów było cicho.

Tafla rzeki wygładziła się i uspokoiła. Lśniły w niej jesienne gwiazdy, zimne jak woda i nierzeczywiste jak sen, niepotrzebne – nikt nie zwracał na nie uwagi.

W łożach nadrzecznych zaszeleścił ptak, w pobliskiej wiosce ujadał bezsenny pies, a w moczarach, na łąkach i w płytkich zamulonych zatokach rzeki żaby rechotały chwałę ciepłej jesiennej nocy.

Z mroków pobliskich pól i zarośli wynurzały się ciemne, prawie niewidoczne sylwetki zgarbionych ludzi. Stawiali kroki ostrożne i ciche, najcichsze, by nie zbudzić drzemiącego psa lub sowy tkwiącej na suchej gałęzi jabłoni, ani człowieka o złych zamiarach, który mógł być gdzieś blisko przyczajony.

Pojedynczo lub grupkami podchodzili do brzegu, pochyleni pod ciężarem tobołków, zdejmowali z nóg obuwie, na palcach wchodzili w rzekę.

Rzeka była cicha i nieruchoma, lecz oni słyszeli jej szum; sicutowie było spokojne i nieruchome, lecz oni wyławiali z niego podejrzone szmery; noc była ciemna, lecz w ich oczach gwiazdy błyszczały zbyt jarko, a czerni rzeki była zbyt rzadka i przejrzysta. Chwilami milkły wszystkie dźwięki, te rzeczywiste i te urojone, i rozlegał się tętent nieznośny, uderzający w skronie i we wnętrza czaszki – uszy pełne były niepokoju, wydawało się, że te uderzenia są w stanie obudzić wszystkie złe moce świata. A to biło tylko serce.

Zanurzali nogi w zimnej jak lód wodzie, która podchodziła coraz wyżej – do kolan, do brzucha, do piersi i chłodziła szyję po której ściekały strumyki potu, płuca kurczyły się w piersi. Brakło tchu.

Rzeka nie była zła. Czyniła ciało lekkim, prawie powiewnym. Nie była zła, a jednak jej bulgot przerażał i paraliżował ruchy, a jej brzegi oddalały się od siebie – wydawała się być przestrzenią bez końca, otchłanią bez dna.

Tobołek na plecach był coraz cięższy. Gwiazdy na niebie chwiały się i krążyły po szalonych orbitach. Kamienie na dnie rzeki były porośnięte florą i śliskie lub twarde i ostre, po to, by zadawać ból.

Gdy zabłysło poziome światło reflektora, rzeka nabierała bacznej krasy. Była srebrna i lśniła milionami jasnych żywych lusek. Zimne martwe gwiazdy bładły. Nieziemskie przygaszało w obliczu elektrycznej iluminacji.

Człowiek skurczył się i zanurzył w wodzie po szyję. Chciał zająć jak najmniej miejsca na srebrnym lustrze. Chciał być małą płótką, wodnym owadem, gałązką wodorostu. A kiedy ognisko światła na nim właśnie się zatrzymało, pochylił się jeszcze bardziej i ukrył głowę w wodzie. Ach, brakło mu doświadczenia. Zakrztusił się i wychylił, by nabrać powietrza.

Gwiazdy chwiały się na niebie i gasły. Było znów cicho. Tobołek, podskakując lekko na falach, popłynął z biegiem rzeki.

Dokoła wypływających na powierzchnię baniek powietrza, rozbiegały się okrągłe fale – kółeczka małeńkie, rosnące i uciekające od siebie, coraz rzadsze, coraz spokojniejsze.

Do świtu było daleko. Noc była długa. Noc godna zaufania – życzliwa opiekunka. Oto przywiodła ku rzece nowych ludzi.

Syn prowadził sędziwego zgrzybiałego ojca o latających rękach i oczach oślepiłych ze starości i strachu. Matka trzymała w ramionach dziecko i szorstką dłoń kładzie mocno na jego usta, by swym płaczem lub śmiechem, krzykiem lub zapytaniem nie wywołało z ciemności złych mocy, czyhających w zdradliwej ciszy.

Rzeka była czarną czeluścią, morzem szerokim, otchłanią bezkresną i bezdenną. Minuta trwała wieczność. Cisza skłaniała do podejrzeń, przekłety był księżyc, który na chwilę wychylił się zza chmury.

Strach.

Reflektory smagały rzekę biczami światła. Karabin rozpruwał ciszę, jak zbój rozcinający pierś napadniętego. Czasami zrywał się wiatr i w giętkich wierzbach nadrzecznych wył po-nure requiem. Woda unosiła zabawki dziecka i kapelusz starca i znów było cicho.

Rzeka jest pełna tajemnic. Życie jest pełne tajemnic. Prosta jest tylko śmierć, albowiem ona jest zaprzeczeniem i kresem wszystkiego. Nicością najprostszą. Niczym.

Rechotały żaby i czekały psy w jakiejś bliskiej wiosce. Wodne ptactwo budziło się chwilami ze snu. W sitowiu szczupak mącił ciszę, nie mogąc dopaść swojej ofiary. Lecz do świtu było jeszcze daleko.

W krzakach niedaleko brzegu pojawiała się coraz więcej ludzi z dziećmi, starcami i tobołkami. Przychodzili z bliska i z daleka. Pragnęli czym prędzej zanurzyć się w ciemnym biegu rzeki.

Bogacz pragnął przez nią przebrnąć ze swoim złotem, nędzarz – oclicić życie.

Syn był dobrym przewodnikiem ślepego ojca, matka unosiła trwożnie swoje dziecko, a jej serce było bijącym tętnem świata.

W rzece perliły się zimne gwiazdy. Komu przyniosą życie? Komu – śmierć?

Daleko jeszcze do brzegu? Kłopotowały w ciemności czyjeś ramiona – jak skrzydła wielkiego niewidocznego nietoperza – i klasnęły o powierzchnię wody. O, nieszczęsny. Zdradziłeś się, zdradziłeś towarzyszy. Za chwilę reflektor otworzy oczy. Za chwilę dosięgnięcie kresu.

Ludzie, nie bądźcie bezlitośni. Podajcie rękę – nie mogą ruszyć się z miejsca. Skurcz sparaliżował mi nogi. Dlaczego udajecie obojętność? Czy nie dociera do was mój szep? Oddalacie się. Nie rozumiem – zawsze byliście tacy dobrzy. Wasze serca były pełne Boga...

Do brzegu daleko. Ciało jest wiotkie i bezsilne. W słodyczy bezwładu człowiek odkrywa samotność śmierci. Czy nikt nie poda mi ręki?

Na Boga, nie zatrzymuj się, człowieku. Czy ty też chcesz zginąć? Czy chcesz, bym została sama z dzieckiem? Weź je, nie mogę już więcej. I przytrzymaj mu usta dłonią.

Zdaje się, że widać już drugi brzeg. O tak, to już całkiem blisko. Drzewa, domy, ludzie. Czy ty naprawdę nie widzisz?

Nie oglądaj się za siebie. Idź naprzód. Tylko naprzód. Nie szukaj tu przyjaciół. Nie wymagaj, by ci podali rękę. Spotkasz ich na brzegu. Jeśli kogoś zabraknie, będziesz mógł pójść w dół rzeki – odnajdziesz tam w szuwarach jego tobołek, łaskę, lub kapelusz. Jeśli kogoś zabraknie, nie rozpaczaj. Żyjąc, nie będziesz samotny. Jutro tą samą drogą przyjdą inni. Ilu ich będzie? Może stu, a może tysiąc. Rok ma wiele ciemnych nocy. Nie będziesz samotny. Będzie was sto tysięcy, milion, dwa miliony. Nie będziesz samotny. Samotność jest tylko dla umarłych.

Żywi wynurzają się z wody. Dno rzeki podnosi się stopniowo coraz wyżej. Kroki stają się pewniejsze, ruchy bardziej stanowcze.

Brzeg jest już blisko. Jeszcze tylko kilkanaście kroków, najwyższe kilkadziesiąt. Jeszcze tylko jeden raz oświeci was reflektor. Jeszcze tylko jeden raz zagrucha karabin maszynowy. Ach, głupcze. Dlaczego odwracasz się? Czy to nie wszystko jedno, gdzie utkwili rehot karabinu – w sercu, czy w plecach?

Czy to nie wszystko jedno, o kim myślisz w tej chwili? W tym miejscu nie ma już bólu, ani cierpienia. Jest kres. Żaden z was

teraz już nie cierpi. Ci którzy dojdą do brzegu, tam zmartwychwstaną dla cierpień. Lecz nie wszyscy dojdą.

Karabin maszynowy nie milknie.

Ojcie nasz – któryś jest – w niebie, święć się – Imię Twoje...

Czy nie wszystko jedno w jakim języku ten natarczywy szept? Niech trwa wiecznie, jeśli komukolwiek przynosi kroplę siły, ziarno pociechy, łaskę ulgi.

Wyszli na brzeg. Chłód nocy ogarnął ich mokre ciała. Szczękali zębami z zimna. Dotykali się wzajemnie, nawoływali zagubionych, śmiali się i płakali, całowali się ze szczęścia.

To przechodzenie przez rzekę było straszne. Myślałam, że umrę – ze strachu, albo od kuli.

To ci się tylko tak zdaje. To wcale nie było takie straszne.

Człowiek jest silniejszy od żelaza.

Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą wszystkich.

To u was ktoś pozostał w domu?

Tak, moja matka. Ma sześćdziesiąt lat i ma chore nogi.

Jak można zostawić matkę, która ma sześćdziesiąt lat i chore nogi?

Ach, nic jej się nie stanie. Takiej starszej kobiecie oni przecież nic nie zrobią, Niemcy są kulturalni.

Ależ ja chciałem ją zabrać, tylko ona sama nie chciała. Położyła się na próg i zaczęła płakać, że nie zostawi swojej pracy. Mówiła, że chce umrzeć we własnym domu.

No, tak. Ona też miała rację. Każdy człowiek ma swoją rację.

Ciemno. Reflektor zrobił swoje i przymknął ślepią. Nie widać ludzkich twarzy. Na brzeg wychodzą wciąż nowi ludzie. Ich sylwetki majaczą w ciemnościach, oddychają ciężko, rzucają na ziemię zamoczone tobołki. Drżą. Przeklinają, lub modlą się – któż to wie. Okrywa ich gęsta jesienna noc.

Chwiejąc się i zataczając posuwa się wolno naprzód człowiek – mężczyzna, czy kobieta? – na jego wyciągniętych ramionach spoczywa bezwładnie stygnące ciało. Pieta. Jak to dobrze, że jest ciemno. Dlaczego milczycie?

Człowiek, który nie podał ręki, odmawia modlitwę.

Ojcie nasz, któryś jest w niebie...

Ach, nie o to chodzi.

Milczcie lepiej. Nie zakłócajcie ciemnej ciszy, Do świtu, na szczęście, jeszcze daleko. Naszymi śladami idą inni. Niech ich Bóg strzeże.

Na ciemną taflę wąskiej rzeki kładą się upiorne białe światła niemieckich reflektorów.



Nie widziałem ich przez wiele długich dni i nocy. Czyż można było mierzyć tamten czas normalną skalą kalendarza? To był przecież czas niesamowity. W jednej godzinie rozpadało się w gruzy to wszystko, co pokolenia tworzyły w okresie wieków. Minuty trwały wieczność, a w ciągu jednego dnia można było wątpić o tym, co przez długie lata było ostoją i pewnością, gwarancją i zaufaniem.

Nie widziałem ich od tygodni. Tęskniłem do nich – do matczynego uśmiechu, którego dobroć miała zniewalającą siłę, i do ojcowskiego spojrzenia, które było poważne i mądre, lecz nigdy surowe.

Stałem na brzegu rzeki i z daleka widziałem dom, ogród, w którym złożyły się wysokie palmy kukurydzy, a kwiaty dałii tryskały pysznym szkarłatem. Widziałem szosę biegnącą obok domu i skręcającą wzdłuż rzeki – kolumny niemieckich samochodów toczyły się nieustającą lawiną, na motocyklach mknęły patrole, czasami zatrzymywały się ostro przed którymsz z domów i wówczas drżałem o los mojej matki i bałem się nieugiętej stanowczości i dumy mego Ojca: wiedziałem, że nie potrafi być uległym, ani pojednawczym i nigdy nikomu nie puścił płazem żadnej obelgi.

Znajomy, jeden z tych, którzy wyłaniali się nocą z rzeki, spotkał mnie na brzegu i powiedział: „Nie wracaj do domu. Tam jest piekło – a ja ci mówię, że to jest dopiero przedsionek piekła. Bądź spokojny i czekaj”.

O tak, byłem spokojny. Byłem spokojny, jak ktoś, kto siedzi na pogorzeliisku swego domu i odkrywa prawdę, która



Jerzy Duda-Graczy, Portret Kalmana Segala, 1968, tektura, olej, MHK Sz 4613

jest straszna i niepojęta, przerastająca możliwości jego myśli i doznań.

Byłem młody i pełen najlepszych intencji. Miałem usposobienie łagodne i ufnie. Spokojem obdarzył mnie zapewne krajobraz naszego miasteczka. Leżało ono w dolinie, nad rzeką wijącą się u stóp dwóch wysokich łańcuchów leśnych, które zbiegały ku nam łagodnymi wzgórzami. Był to krajobraz ufności. Na horyzoncie wierzchołki gór ginęły wysoko w chmurach, ich widok nastrajał optymistycznie, łagodne zbocza pagórków zdawały się być stopniami po to stworzonymi, by człowiek mógł sięgać po nich ku szczytom.

U samych stóp wzniesień rozciągały się płaskie łąki – one to wyryły w pamięci mego dzieciństwa pierwsze trwałe wspomnienie: aksamitna zieleń, przetykana złocistymi kwiatami dmuchawców. Zapewniał was – nie róże są ozdobą wiosny, lecz właśnie one, pogardliwie przemilczane, skromne dmuchawce, zwane u nas mleczkami.

Mieszkańcy miasteczka byli rojni i hałaśliwi, jak dzieci. We wszystkich swych poczynaniach mieli niewiarygodną czupurność i naiwność, które obserwowane z boku skłaniały czasem do uśmiechu lub ironii, czasem do pobłażania. Widzę ich jeszcze dzisiaj, jak żywych. Biedni mali ludzie, odurzeni trucizną powagi i zadufności, nieświadomi proporcji świata i jego spraw – dzieci o zgarbionych plecach, siwych skroniach i pomarszczonych starczych obliczach. W mieszczańskich tużurkach i w żydowskich szabasowych kapotach, pełni pośpiechu i zaferowania. Cóż dziwnego? Świat był taki wielki, sięgał od doliny rzeki, aż po pierwsze wzgórze podmiejskie i miał w sobie tyle zawiłych spraw codziennych. Trudno byłoby je rozwiązywać bez ingerencji i pomocy Boga. Za Jego błogosławieństwem rodziły się dzieci i chowały zdrowo. Z Jego niepojętej woli zapadały na błądź i umierały. On uczestniczył w codziennych zawiłych transakcjach handlowych, w sklepach i na targowicy. On skłaniał chłopca do taniej sprzedaży cielęcia lub owieczki i za Jego sprawą resztką spłówałego perkalu znajdowała upodobanie w oczach klient-

ki, na placu, gdzie rzędem obok siebie stało pięćdziesiąt zawzięcie konkurujących ze sobą straganów.

Bóg był tu wszędzie. Był stałym mieszkańcem miasteczka. Był cierpliwy i podzielał poglądy swoich wyznawców. Był dobry i okrutny, litościwy lub nienawidzący, przebaczący albo niesprawiedliwy. Uzurpowano Go sobie i imputowano mu rolę szerzenia wśród ludzi miłości lub nienawiści. Był wszędzie, w gotyckim kościele i w bizantyjskiej cerkwi, a także w starej skromnej bożniczce, mieszczącej się w sąsiedztwie.

Brakło Go w umysłach i sercach niektórych młodych ludzi, mądrych i nad wiek swój dojrziałych, zbuntowanych i cierpiących – szukających nowego sensu życia. Ach, oni też byli sfanatyzowani, tak jak jest nim każdy przekonany o tym, że jego wyłącznym udziałem stała się jedyna prawda, ta, której nikt niczym nie podważy. Tak samo zapewne myślał Prometeusz, Spinoza i Wolter, Lew Tołstoj i Lenin. Gdybym był poetą, lub przynajmniej trubadurem, śpiewałbym chwałę myśli młodej i zbuntowanej, która jest zaprzeczeniem bezwładu i obumierania.

„Nie ma kompromisów” – tak mówili zbuntowani, szlachetni i nieliczni, i rozpraszali się wśród tłumów, by stawić czoła ludziom, którzy nie znali ich języka ani serca.

„Nie ma kompromisów” – mówili ich ojcowie, gniewni i oburzeni, nadając tym samym słowom wręcz przeciwny sens i usprawiedliwiając nimi czasem nawet gwałt i przemoc.

„Świat jest właśnie pełen kompromisów, życie jest pełne kompromisów” – mówili chwiejni i usiłowali znaleźć jakiś sposób bytowania dla wszystkich, dla dobrych i złych, dla mądrych i błądzących, dla tych co byli zaślepieni starością i dniem dzisiejszym – i dla tych, których porывały młode burze.

Jakże łatwo jest tworzyć nowe religie, gdy się ma osiemnaście lat. Wystarczy mieć otwarte oczy i uszy, wystarczy wejść w gąszcz życia – wszędzie można go znaleźć – w czeluści nocy i w jasności dnia. Trzeba tylko nie lękać się nikogo i nikim nie gardzić. O, ma się w tym wieku wyczulone, jak nigdy, zmysły, które potrafią odróżnić dobro od zła, ludzkie od nieludzkiego, prawdę od fałszu. Tyle jest dobroci na świecie, ile z niej ujrzyć i pojąć zdołamy. Miałem znakomity wzrok i widziałem tyle dobrego, że starczyło go na to by nawet najgorszych ogarnąć współczuciem i litością. I nie ważcie się powiedzieć, że ta litość była jałmużną. Była prosta jak bicie serca, naturalna jak tchnienie wiatru i skromna jak powszedni chleb.

Wyemanowałem ze spraw małego miasteczka to, co było w nim dobre i wyrozumiałe – skojarzyłem rabi Hilela ze świętym Augustynem – i stworzyłem sobie nową religię. Przyznaję, nie była zapewne najmądrzejszą, nie doceniała wagi rozumu ani żelaznych praw społecznych rządzących ludźmi, lecz przynajmniej – który z religijnych systemów nie popełnił tego samego błędu?

Domyślałem się, że z takim nastawieniem do ludzi, musiałem ich kochać. Nie było w tej miłości żadnego współczynnika boskiego, żadnych nieziemskich rekwizytów. I jeśli to, mimo wszystko, było mistyką – była to mistyka ludzka, chodząca w podartych butach po zabłoconych uliczkach małego miasteczka.

Kochałem rubasznego tragarza, który słynął w miasteczku z tego, że miał paskudną chorobę skórną i kłął jak z nut – gdybyście słyszeli, jak czule potrafił mówić do swojej wychudzonej kłaczki, którą wtajemniczał we wszystkie kłopoty i doświadczenia. Biedną prostytutkę, którą całe miasteczko gardziło, ponieważ była już stara i brzydka. Świątobliwego rabina o twarzy bladej jak księżyc – on również był biedny, ponieważ nie umiał korzystnie sprzedawać swego towaru i tkwił zawieszony w jakiejś nieokreślonej sferze między niebem a ziemią. Za murami klasztoru wędli w swoich celach zadumani zakonnicy, skazańcy z własnej woli, jeszcze bardziej współczucia, podziwu i zastanowienia godni, niż ci, którzy w drugim końcu miasta tkwili, winni lub niewinni, za kratami powiatowego więzienia. W bajecznie biednych domkach przy ciemnych cuchnących uliczkach młodzi ludzie o gorejących

oczach spalali się w ogniu intymnych namietności, które ktoś nazwał grzechem. Kwiaty wędły niedostrzegane, w klimacie który nie był ich klimatem. Ludzie błądzili na oślep w poszukiwaniu miłości, która była obok nich, byli spragnieni, choć w każdym z nich żyło bijące źródło. Kochałem ich wszystkich. W jaki inny sposób mógł znaleźć wyraz mój stosunek do ludzi? Ufałem im. Jeśli do kogoś czułem wstręt, to tylko do policjantów, żandarmów i strażników, i to też było zrozumiałe.

Jednego razu siedzieliśmy późnym wieczorem – Irena i ja – na ławeczce w małym ogródku przed domem. Był to piątkowy wieczór – miasteczko uśpione jak na obrazku Chagalla, zdawało się być opuszczone przez mieszkańców, lecz była to pustka tylko pozorna. Przez otwarte okna dochodził monotony, lecz wcale nie smutny śpiew – modlitwa i pieśni na chwałę świętej soboty.

Nawet głos chorego tragarza, wybijający się ponad inne, brzmiał dostojnie i mistycznie; on również wznosił się pod bramy niebios, na niego również padał ciepły blask świętości. Gdyby tu był Chrystus, znalazłby w nim jeszcze jednego apostoła.

Objąłem Irenę ramieniem. Była szczupła i czarna jak dziewczyna z „Pieśni nad pieśniami”. Tuliłem ją do siebie, była taka mała, czułem jej trzepocące serce, spływał na mnie żar jej gorącego oddechu, całowałem jej policzki. Wtedy też świeciły gwiazdy, były bliskie i ciepłe. Lśniły w czarnych oczach mojej przyjaciółki i zapewne, w moich oczach. „Czy ty to potrafisz zrozumieć? Czasami zdaje mi się, że mam w sobie tyle miłości. Tyle miłości. Chciałbym przygarnąć do siebie cały świat. I kochać. Kochać.” „Boję się ciebie – powiedziała – Bo mnie się zdaje, że jak ktoś kocha wszystkich, wtedy nikogo nie kocha. Pomyśl, jak można kochać wszystkich? To jest tak, jakbyś chciał wszystkich obdzielić tym, co masz, sercem, czy chlebem – to wszystko jedno. Nie starczy. Zastanów się nad tym, Bernardzie”.

Nie zdążyłem się zastanowić. Wybuchła wojna i wszystko, co było przedtem nabrało niepojętej odległości.

W cieniu pikujących bombowców po raz pierwszy odczułem samotność. Czy ocaliłem coś z młodych uniesień i ufności?



Słońce wzniosło się wysoko, był złoty ciepły dzień. Na nadrzecznym plasku i na płaskiej spalonej łące biwakowali ludzie. Suszyli przemoczoną odzież, rozpakowywali walizki i tobołki, dzielili się chlebem i herbatą z termosów, ktoś usiłował rozniecić ognisko, matki karmiły niemowlęta, wszyscy czuli odprężenie. Byli znów życzliwi i uczynni, tak jak zawsze, tak jak p r z e d t e m. Znów byli gotowi i chętni pomagać sobie w drobnych potrzebach. Poczucie bezpieczeństwa napawało ich nie tylko radością, ale i dobrocią.

Na drugim brzegu, na tym, z którego nocą wyszli, stało kilku Niemców. Widać ich było stąd bardzo dokładnie. Jeden z nich podszedł ku rzece i usiadł na kamieniu. Przez dłuższą chwilę bawił się rzucaniem płaskich kamyków na spokojną taflę wody. Kamyki podskakiwały gęsto, a potem tonęły, pozostawiając po sobie kręgi fal. Niemiec rychło znudził się tą zabawą, chusteczką wytarł ręce i podniósł do oczu lornetkę, zwisającą mu na szyi.

Ludzie na brzegu rzeki czuli jego obmacujące spojrzenie i nie bali się. Uśmiechali się drwiąco, z poczuciem bezpieczeństwa. Byli poza strefą osiągalności kuli, choć od prześladowców dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt kroków.

Nareszcie byli więc bezpieczni. Opanował ich spokój – świadomość ocalenia. W pobliskim lasu obozowała wojskowa jednostka rosyjska. Można było podejść do tych żołnierzy, przywitać się z nimi, wypalić papierosa i poprosić o kęs chleba lub o chochlę gorącej kawy. Rosjanie byli prości i towarzyscy, uśmiechali się dobrodusznie i nie rozumiejąc bezładnych opowiadań przybyszów, powtarzali swoje życliwe „charaszo, charaszo”.

Poszedłem w dół rzeki. Ogarnął mnie pachnący las. Ścieżka wspiwała się coraz wyżej ku wiosce ukrytej za górą i w pewnym

miejsu przemieniła się w dość szeroką dróżkę, wijącą się głębokimi koleinami. Było ciepło i parno. Ziemia dyszała wilgocią i zapachem gnijących liści. Gałązki rzadkich brzoźek chwiały się, poruszone wzniołym splotem ptaków, a po szorstkich pninach świerków toczyły się zwinne wiewiórki.

Odwrociłem się – u stóp góry wiała się maleńka rzeczka, wąska i kręta, jak niedbale porzucona nić. Chałupki podmiejskie tonęły w promieniach słońca. Miniaturową szosą toczyły się zabawnie małe samochody, a w nich ludzie – tacy sami jak wszyscy ludzie na całym świecie. Jednakowo pięknie błyszcząły w słońcu cebulasta kopuła cerkwi, gotycka wieża kościoła i skromny bezstyłowy daszek starej bożnicy. Radośnie piał gdzieś koguty, ujadły psy. Błogi spokój panował nad światem. Ludzie byli braćmi, nie było wojny, ani bomb i nikt nie tonął ciemną nocą w milczących falach rzeki. Było cicho. Lecz był smutek tak wielki, że chciało się usiąść na jakimś zwalonym pniu, zdać się na łaskę cieplej, jesiennej melancholii i zapłakać.

Po stromej dróżce potoczył się kamyk, poruszony czymś stąpnięciem i zatrzymał się u moich stóp, uniosłem wzrok – oparta o pień, stała dziewczyna w niebieskiej sukience, o smagłych opalonych łydkach. Poczulem wzruszenie – Irena... Serce biło mi mocno, nie śmiałem spojrzeć w jej twarz. Odszedłem w pierwszym dniu września, nie zdążywszy się z nią pożegnać i ani razu do dzisiaj nie myślałem o niej. W tak krótkim czasie wszystko co było z nią związane, oddalało się i zacierało, błędło jak tysiące innych rzeczy i spraw, które były przedtem. Zapewne nie przestałem jej kochać, lecz zmieniły się proporcje świata i zmieniło się jej miejsce w tych proporcjach, wszystko było dalekie i prawie nierzeczywiste – maleńki sklepik, w którym sprzedawała papierosy i słodycze, i to moje wielkie zdumienie, kiedy znając ją już kilka lat, lecz nie dostrzegając jej wcale, odkryłem pewnego dnia, że jest piękna i miła – najmiłsza.

Otrząsałem się z zadumy. Odczułem przypływ radości i nadziei. Była więc znów ze mną i być może, uda nam się przeskoczyć lukę tamtych strasznych kilkunastu czy kilkudziesięciu dni, i być znów takimi, jakimi nas zaskoczyła wojna.

Uśmiechnąłem się do niej i – zawstydylenie zgasiło mój uśmiech. Nieznajoma patrzyła na mnie zdziwiona. Miała śniadą twarz o subtelnych rysach i ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami. Była starsza od Ireny. Niebieska sukienka opinała ciasno jej dość pełne kształty i krągle piersi. Irena była młodą dziewczyną, ona – młodą kobietą.

Stałem przed nią zmieszany i rozczarowany. Uśmiechnęła się wyrozumiale i obserwując mnie badawczo i ciekawie zapytała:

– Czy pan jest Bernardem Laskowskim?

Nie mogąc wydobyć słowa ze zdumienia, skinąłem głową. Ucieszyła się. W ciszy lasu wybuchnął jej śmiech.

– Więc to naprawdę pan? Strasznie się cieszę. A widzi pan – od razu pana poznałam. Właśnie tak sobie pana wyobrażałam.

I zmieniając ton, dodała poważnie:

– Znam pana z opowiadań pańskiej matki. Jesteśmy razem w tej wiosce, w jednej chałupie. Ubiegłej nocy przeszliśmy przez rzekę. Pańscy staruszkowie są zrozpaczeni, ktoś im powiedział, że pan zginął.

I znów ten jej promienny, choć tym razem nieco wstydlawy uśmiech.

– Zapewniałam ich, że pan żyje. Sama w to wierzyłam. Byłam prawie pewna. Przeczenie. Czy pan też czasem coś takiego odczuwa? No, niech pan teraz idzie za mną.

Pobiegła naprzód swawolnym truchcikiem, jak mała dziewczynka, która z poczuciem ważności śpieszy się, by spłacać komuś przyjemnego figla.

Przyśpieszyłem kroku. Kiedy wyszedłem z lasu na gościniec ciągnący się przez wieś, matka wychodziła już na moje spotkanie. Widziałem jej drżące usta, zmagające się z płaczem, i dwa sznurki łez spływające po jej policzkach. Zwarły się nade mną jej ramiona, przygarnęły mnie i zbliżyły ku mnie zapomniany, cudowny smak dzieciństwa.

Tuż obok stał ojciec.

– Już nie mamy domu – powiedział cicho, patrząc w ziemię.

– Wszędzie jest dom, jeżeli rodzina jest razem – miękko powiedziała matka. Dlaczego myślisz o domu? Pomyśl o tym, że twój syn żyje. Moje dziecko. Nie zginiemy.

Młoda kobieta w niebieskiej sukience stała na progu chałupy. Miała mocno ściśnięte usta. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, opuściła wzrok, a potem uśmiechnęła się.

Matka przywołała ją skinieniem ręki, podeszła do nas ociągając się, z jakimś wewnętrznym wahaniem, jak ktoś kto nie chciałby być natrętnym.

– Chodź do nas, moje dziecko – czule powiedziała matka – Wszyscy jesteśmy jedną rodziną.

Powoli dzień chylił się ku końcowi. Gospodarz, wąsaty chłop w średnim wieku o spalonej od słońca twarzy, zakrzętnął się na podwórku i rozpałił ognisko pod żelaznym trójnogiem. Matka i kobieta w niebieskiej sukience szykowały skromną wieczerzę. W kącie izby siedziała nieruchomo gospodyni, miała oczy utkwione w szarym gościńcu, ginącym w wieczornym zmroku. Oczekiwała nadejścia syna.

Oczekiwała jego powrotu, choć wiedziała, że zginął wiele dni temu. Jest wiele rodzajów cierpienia – ona była milczącym cierpieniem. Nie mogłem o niej nie myśleć – ona również stawiała się moją matką, lecz ja nie do niej wróciłem. Tam gdzie opłakują umarłych, każde życie bywa wyrzutem sumienia.

Podszedł do mnie ojciec i dał mi skróconego papierosa. Usiedliśmy na progu chaty i zdawało nam się, że to jest nasza chata i nasz próg. To samo niebo było nad nami i te same gwiazdy. Na podwórku wesoło trzaskał ogień, rzucając różowe światło na nasze twarze, pachniało żywicą i suchym sianem. W pobliskim lesie rosyjscy żołnierze grali na akordeonach i śpiewali banalne, lecz wzruszające piosenki.

*Ja ciebie poransze wyjdu wstrieć,
ty ułubnieszśa mnie w otwiet
i perestanu ja škuczać', s trewoj dumat'ò tiebie...*

W żelaznym garncu na trójnogu bulgotały kartofle, zjedliśmy je siedząc na pieńkach dokoła ogniska. Żar przyciągał wzrok i wprawiał w jakąś nieokreśloną zadumę. Ojciec przerwał milczenie, rzucając przygaszonym głosem powolne pytanie.

– Jak to teraz z nami będzie?

Wiedziałem, co matka odpowie:

– Nie martw się. Nie zginiemy.

Kobieta w niebieskiej sukience zakryła rękami twarz.

Kiedy ognisko zaczęło przygasać, ojciec i matka weszli do chałupy.

– Jak chcecie, to możecie sobie jeszcze trochę posiedzieć – powiedziała matka. – Chyba, że też już jesteście zmęczeni.

Nie byłem zmęczony. Miałem tylko chorą duszę.

Młoda kobieta także pozostała na swoim miejscu. Usiadłem obok niej i ująłem ją za ramię. Odkryła twarz, przygaszoną cierpieniem – bólem, czy samotnością? Była piękna. A może tak mi się tylko wydawało – blask wygasającego ogniska spoczywał na jej policzkach i ramionach, dodawał im niezwykłego uroku i ciepłych barw.

Położyłem usta na wglębieniu jej dłoni i objąłem ją. Przytuliła się do mnie i powiedziała:

– Jesteś taki kochany.

– Przecież nie znasz mnie – odrzekłem cicho. – Widziałas mnie dzisiaj pierwszy raz.

Uśmiechnęła się lekko i szepnęła:

– Jak długo trzeba kogoś znać, żeby go kochać? Można kogoś znać całe życie. I można znać tylko jeden dzień.

Z tłącego ogniska wydobywały się ostatnie jaskrawozłote iskry. Siedzieliśmy zwarci ramionami. Całowałem jej usta – znałem ją tysiące lat i rozumiałem każdą minutę jej milczenia.

Potem, kiedy leżałem na jej ramieniu, wpatrzony w gwiazdy, pomyślałem o tym, że nie ma samotności, skoro człowiek może człowiekowi uchylić nieba.

Tuliła się do mnie i prosiła:

– Powiedz, że mnie kochasz, że mnie bardzo kochasz. – I do-

dała żarliwie – Powiedz, nawet gdyby to nie było prawdą. Chcę to po prostu słyszeć.

Od strony rzeki rozległ się terkot karabinu maszynowego. Rzeczywistość sprowadzała nas na ziemię. Zakryłem rękami uszy i kryjąc głowę na jej piersiach, zaszlochałem.

Nazajutrz rano, kiedy się zbudziłem, matka powiedziała.

– Teraz jesteście sami.

– A ona? – zapytałem, siłąc się na spokój.

– Odeszła o świcie. Kazała cię pozdrowić. Nie chciała cię budzić. I dodała:

– Szkoda, że odeszła. Taka dobra dziewczyna. I taka sama.



W fosach leżały wywrócone samochody osobowe, wojskowe ciężarówki, połamane motocykle i chłopskie wozy z wiklinowymi półkoszkami. Psy błąkały się po polach i rozciągały cuchnące już, robaczywe ścierwo zabitych koni. Stada wróbli wydziobywały z błota resztki owsa, rozsypanego przez jakiś rozbity furgon wojskowy. Wiejskie wyrostki włóczyły się po szosach, w poszukiwaniu porzuconych walizek i tobołków, i wydierały sobie z rąk to, co w nich było. Wiatr powiewał zerwanymi drutami elektrycznymi i telefonicznymi kablami. Podobnie wyglądało na drogach kolejowych. Zgruchotane parowozy, setki spalonych wagonów i podziurawionych cystern – stosy zdeformowanego żelaza, wygięte szyny, głębokie leje, a nad tym wszystkim – zapach spalenizny, który pozostał po niedawnych pożarach.

Jeszcze mieszkańcy przydrożnych chałup wiejskich mieli żywo przed oczyma obraz Wielkiego Marszu – to było tak niedawno, zaledwie kilka tygodni temu. Szosa wezbrała jak wzburzona rzeka w czas ulew i powodzi, potok ludzki bezustannie w dzień i w nocy przewalał się na wschód. Młodzi i starzy, kobiety i dzieci, dostatnio ubrani i biedni, milczący i skupieni, jeszcze nieśmiało proszący o kęs chleba dla głodnego dziecka, o szklankę wody dla zwilżenia warg, o łyk mleka dla niemowlęcia. Podróżni nie byli jeszcze doświadczeni, nie znali jeszcze – poznawali dopiero smak słowa exodus. Za nimi przewalały się po górach głuche echa detonacji, a różowe łuny oświeślały zachodnie wybrzeże nieba. Przed sobą mieli bezdomność, lecz nie lękali się jej. Lękali się tego, co widzieli w dzień, lękali się tego co szło za nimi, co z każdą godziną było coraz bliższe, coraz groźniejsze.

I oto ciche drogi drzemiące w cieniu wierzb, ożyły na nowo. Znów wlekli się po nich zmęczeni ludzie, obciążeni ciężarem różnych trosk i ciężarem tych resztek dobytku, jakie zdolali ze sobą unieść. Nie było ich teraz zbyt wielu – o wiele mniej niż we wrześniu. Nie biegli tak jak tamci na oślep, nie szukali osłony nocy i nie spoglądali z lękiem w jasne niebo. Przeszli przecież przez rzekę i w niej pozostawili cały lęk.

Szli tylko w dzień. Czasami wynajmowali u chłopów furmankę i kazali się wieźć do najbliższego miasteczka. Chłopi układali się z nimi długo i roztropnie – nie było już w nich owego wielkiego współczucia z września. Zobaczyli już od tamtego czasu wiele nędzy i wiele śmierci, stwardnieli i zobojętnieli na los ludzi wędrujących. Zaczęli cenić grosz i okazję jego zdobycia. Zresztą ludzie z szosy nie byli skąpi. Ci, których nie stać było na wydatek, szli pieszo, lecz inni nie byli drobnostkowii. Cieszyli się zdobytą wolnością – ocalili życie, jakże więc mogli żałować napitku biednemu, bosemu chłopu.

Czasem toczył się szosą wojskowy furgonik i zabierał ze sobą kilka kobiet i dzieciaków. Żołnierze z czerwonymi gwiazdkami na czapkach wyciągali niekiedy z chlebaków bochenek razowca i obdzielali pasażerów. Żołnierz na furgonie, miał szczeciniastą chłopską twarz, z gruba ciosaną i zgoła nie subtelną. Pachniał potem, jego ręce były jak dwie ciemne bryły a mundur – pożał się Boże, lecz chleb, który jedli z jego ręki, był dobry, spożywali go z namaszczeniem, tak jak się spożywa Ciało Pańskie, i czuli w nim całą życzliwość tego prostego człowieka, który śmiał się głośno i powtarzał ze zrozumie-

niem! „Kuszajcie, kuszajcie na zdrowie”. Na bezdomnych wygnańców spływała łaska ufności.

I byli też tacy, którzy szli pochmurni i milczący, pełni żaloby i trosk. Nie uspokajał ich widok dobrej pięcioramiennej gwiazdy, ani jasny błękit pogodnego nieba. Szli ogarnięci obawą, ich chód był niepewny, czuli się zbiegami z kraju, w którym był wróg, lecz tutaj również nie czuli się wśród przyjaciół. Bali się czerwieni, w której inni widzieli symbol miłości i wyzwolenia. A może bali się bezdomności i mglistych chłodnych poranków, które zwiastowały zbliżającą się zimę. Kiedy wyszli na szczyt wzgórza i zobaczyli miasteczko leżące u swoich stóp, ich serca były bardzo niespokojnie.

Ach, wstydźcie się waszej trwogi. Jeszcze nie wygasła dobroć w ludzkich sercach, wchodźcie śmieiej w uliczki miasta – ono jest małe, lecz gościnne, jego mieszkańcy są biedni, lecz ktoś lepiej od nich zrozumie waszą dolę?

Ożyło nagle to małe letargiczne miasteczko, zaroilo się od nowych twarzy, napełnił je gwar tysięcy ludzi. Nabralo ważności. Tu była pierwsza przystań dla wszystkich, którzy nocami wychodzili z rzeki. Zrobiło się ciasniej, lecz i raźniej – w czasach próby ludzie garną się do ludzi. Przybysze z dalekich miast zamieszkali w parterowych domkach, napełnili ulice głośnymi rozmowami, zbliżyli odległe sprawy świata do maleńkich izdek i zabierali ważki głos w dyskusjach i przepowiedniach. Wiedzieli kiedy skończy się wojna i kiedy powrócą do swoich domów. Powtarzali sobie z ust do ust wiadomości radiowe z Londynu i Moskwy, wydzielali sobie z rąk gazety, nadchodzące z wielodniowym opóźnieniem; a starzy Żydzi czytali księgę Jeremiasza, a inni wspominali przepowiednie Wernyhory i nie widzieli przed sobą nic poza klątwą i karą za grzechy.

Opiekowano się uchodźcami, których liczba z dnia na dzień wzrastała. Dawano im chleb i strawę, dach nad głową, miejsce na postanie i okrycie przed chłodem nocy. A kiedy zabrakło chleba do syta, stawali wszyscy w kolejce przed piekarnią i wówczas ludzie poznali przedsmak głodu. Piekarze pracowali dniem i nocą, wyrzucali przez okienka gorący chleb, który pachniał tak samo jak za starych dobrych czasów. Lecz kolejka nie malała, a rosła, rosła bezustannie, od świtu do nocy, od nocy do świtu. Czym więcej było przybyszów, tym większy był tłum wokół piekarni. Czym więcej było przybyszów, tym mniej było chleba na głowę, a wraz z jego brakiem rosła chciwość. Chleb był z każdym dniem droższy. Litość topniała. Lecz byli także ludzie uparci i niezmienni, którzy zawsze gotowi byli własny kęs oddać płaczącemu dziecku, i czynili to chętnie w każdej potrzebie. Zapisuję w tym miejscu ich dobroć, zapisuję ją na chwałę Miasteczka i na chwałę jego mieszkańców, tych którzy jeszcze żyją rozproszeni na pięciu kontynentach. A także na chwałę tych wszystkich czyje prochy rozsiane zostały na cztery wiatry.

Żył się więc wspólnie, tubylcy z przybyszami, dzielono się czym można było i na ile kogo stać było. Kobiety rodziły dzieci, a starzy odchodzili ze świata. Radość spletała się z żalobą. Nadzieja z rezygnacją.

Żołnierze rosyjscy zatrzymywali się na rynku, dokoła nich zbierała się zawsze grupa chętnych do pogawędki. Skręcano grube papierosy i dokonywano wymiany grzeczności. A kto? A skąd? Żołnierze byli dobrzy i zapewniali: „Wszystko budyet charaszo”. Opowiadali o swoim kraju, w ich słowach było dużo dumy. Ich rozmowy dopomagały przetrwać niewygodę bezdomności i trudność zdobycia chleba.

Pewnego dnia mocno chwycił przymrozek. Lecz przestraszeni ludzie z tamtej strony rzeki wciąż jeszcze nadchodzili. Przynosili teraz coraz gorsze wieści i wielu z nich miało odmrożone nogi. Słabsi zapadali na zdrowiu i kaszleli. W miasteczku było coraz więcej pogrzebów.

W kościółku i w starej bożnicy było gorąco od modłów.

Fragment nieznannej powieści Kalmana Segala, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” w maju 2025 r.

Niebo

Gdy patrzę na niebo, czuję wolność, wieczność, bezgraniczność, za którymi kryje się coś więcej.
Błękitne, szare, pomarańczowe, różowe, czerwone...
Nie da się wymienić wszystkich kolorów nieba.
Wydaje mi się, że niebo jest pełne emocji...
Lubię patrzeć na to, jak płacze, gniewa się, czy się raduje.
Jest piękne...

Słońce

Słońce świeci zawsze.
Nawet kiedy jest najciemniejsza noc albo najgroźniejsza burza.
Może nie zawsze widzimy je, ale ono świeci cały czas, nieustannie i wiemy, że znowu się pokaże.
Zawsze się raduje niezależnie, od tego, co się dzieje wokół niego.
Myślę, że tego możemy się uczyć od słońca.
Jest piękne...

Deszcz

Deszcz to mokre buty, błoto, mokry parasol, który musimy ze sobą nosić...
Ale może też być ciepła herbatka, książka w ręce, kocyk i ta deszczowa melodia za oknem, która jest lepsza od wszystkich piosenek. Kiedy pada deszcz, myślę o tym, że tu na ziemi wszystko przemija, a więc warto pamiętać, że po deszczu wróci słońce.
Warto też wspomnieć o tym czarującym zapachu deszczu, jest wyjątkowy.
Chciałabym mieć takie perfumy...
Jest piękny...

Śnieg

Potrafi całkowicie zmienić otaczający nas świat.
Jego biały, lśniący puch przykrywa ziemię jak miękka kołderka,
otulając krajobrazy ciszą i spokojem.
Chrupiący śnieg pod stopami. Bałwan, rękawiczki i ciepła czapka.
Tak czysty i nieskazitelny...
Jest piękny...

Góry

W górach jest coś niezwykle duchowego - cisza, świeże powietrze, rytm wędrówki.
To miejsce, gdzie znikają wszystkie troski codzienności.
Góry to miejsce ukojenia i bliskości z naturą, miejsce inspiracji.
Są piękne...

Kwiaty

Delikatne i pełne życia, a także ulotne, co czyni je jeszcze bardziej wyjątkowymi.
O nic się nie troszczą, nie pracują, a są tak idealnie ubrane.
Każdy kwiat ma swój urok - od dzikich polnych kwiatów, po eleganckie róże.
Są piękne...

Polina Kaznovska jest studentką kierunku Komunikacja internetowa na Uniwersytecie Bielsko-Bialskim. Mówi o sobie: „Mam wiele pasji, a jedną z nich jest pisanie. Gdy piszę, odpoczywam i tracę poczucie czasu. Dobieranie właściwych słów, które układają się w zdania, a zdania – w całą historię... To magiczny proces!”.



Studium miasta

JACEK DURSKI

Kiedy miałem 16 lat fotografie wywoływało się w ciemni a do aparatu wkładało się filmy. Nie ruszałem się nigdzie bez mojego Zenita E. Sporo eksperymentowałem. Lata mijały. Aparaty się zmieniały. Tematy zdjęć także.

Wychowywałem się wśród sztuki nowoczesnej. Do tego, od zawsze, uwielbiam spacerować po muzeach oraz galeriach sztuki współczesnej. Obcowanie z płótnami, grafikami jest dla mnie bardzo inspirujące. Każda kolejna wystawa nasycza mój umysł wykreowanymi przez mistrzów światami. To procentuje gdy wychodzę z aparatem w miasto.

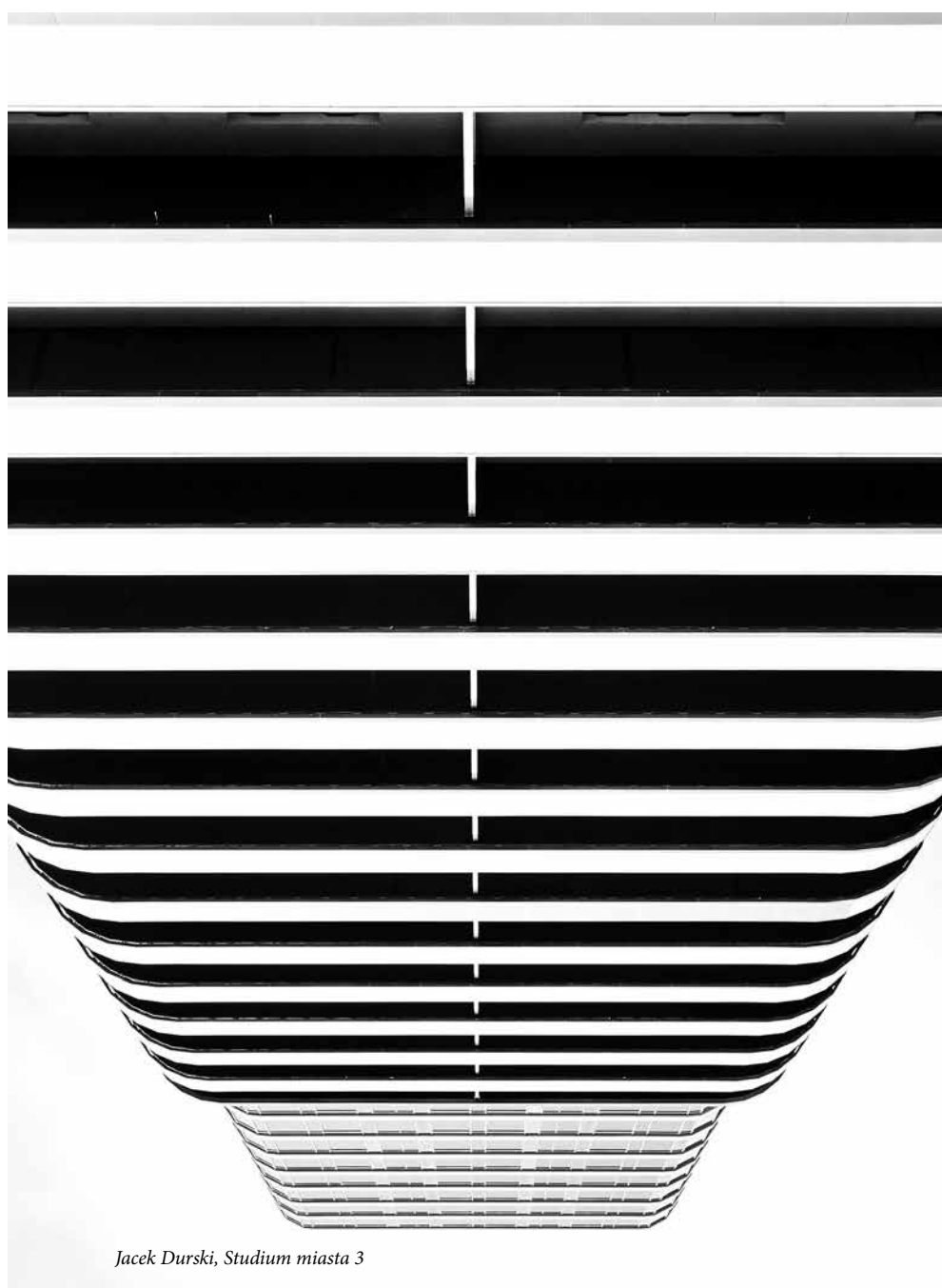
Fotografując architekturę czasem koncentruję się na całej bryle, czasem na detalu. Czasem ważny jest dla mnie konkretny kształt, innym razem chodzi o uchwycenie światła czy faktury materiału. Niektóre zdjęcia są bardzo kontrastowe, prawie jak grafiki, a inne subtelne. Staram się, by finalnie zdjęcie było pracą plastyczną, nie dokumentem. Na części moich zdjęć widz dokładnie wie, na co patrzy. Jest to dosłowne odwzorowanie budynku, łącznie z jego funkcjonalnością. Inne zdjęcia można traktować jako czystą abstrakcję.

Dlaczego czarno-białe? W ten sposób odcinam widza od какофонii kolorów. Wszystkie reklamy, znaki drogowe czy różowy rowerek na balkonie rozpraszałyby tylko uwagę. Zielony klomb na balkonie, staje się w ten sposób kolejną monochromatyczną formą, którą uwzględniam w swojej kompozycji.

Robiąc zdjęcie układam sobie w głowie koncepcję – określam co będzie „bohaterem” zdjęcia. Gdy stoję przed budynkiem oglądam go przez wizjer. Jeszcze nie fotografuję. Rozkładam na czynniki pierwsze, analizuję, wybieram. Obracam się wokół własnej osi. Zmieniam perspektywę. Czasem patrzę

przez obiektyw w górę, wręcz za siebie. Szukam. Kiedy znajdę – naciskam spust migawki. Sprawdzam, czy zarejestrowałem to, co miałem w głowie.

Tworząc kolejne prace nigdy nie odnoszę się do wcześniejszych. Każda fotografia jest samoistnym bytem. Tak powstał cykl „Studium miasta”. ■



Jacek Durski, *Studium miasta 3*



Jacek Durski, Studium miasta 1



Jacek Durski, Studium miasta 2

DORMITORIUM

Tomasz
Górnicki

Muzeum Śląskie w Katowicach / Galeria jednego dzieła

29.03.2025 – 29.03.2026



Muzeum
Śląskie



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl